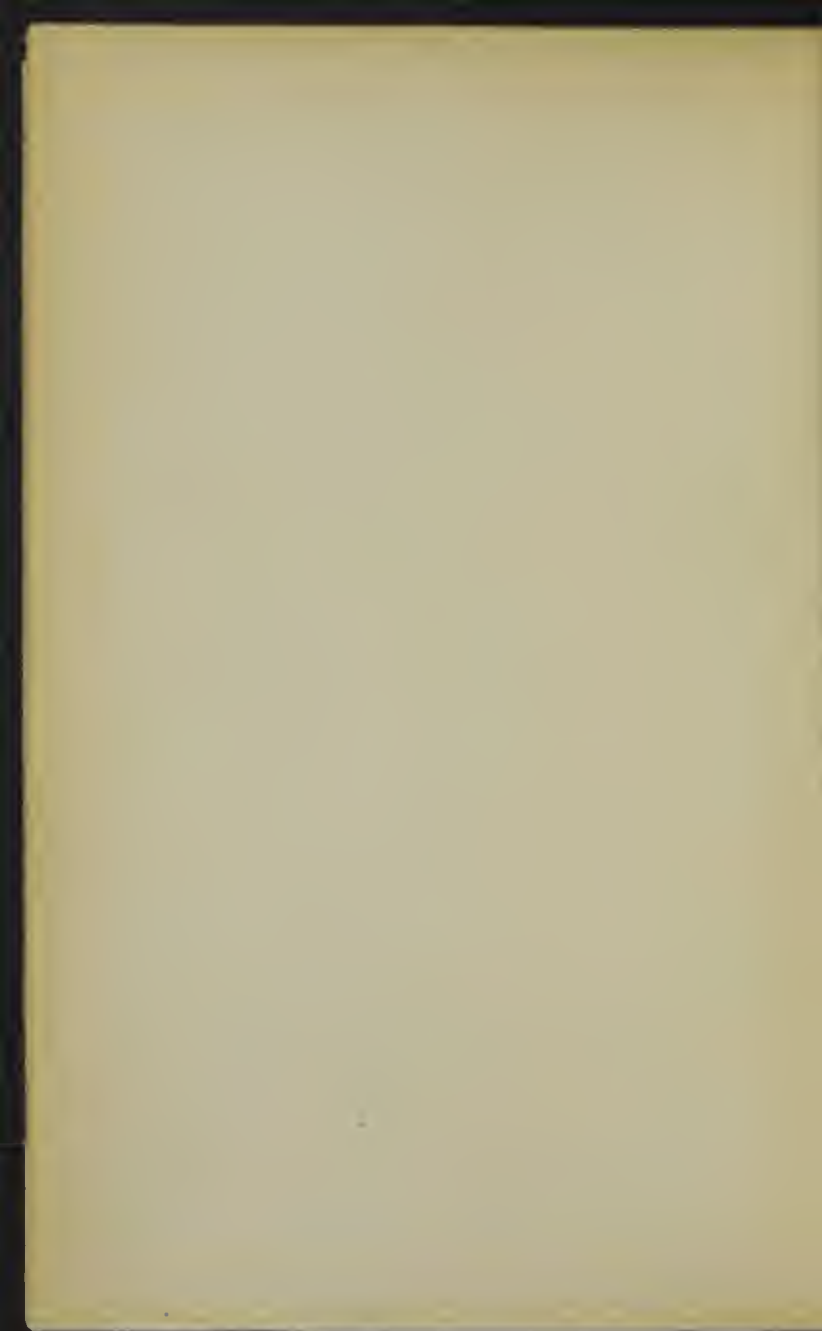


STACH Z KONAR.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VIII.

STACH Z KONAR.

Powieść historyczna

z czasów Kaźmierza Sprawiedliwego.

Tom III.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

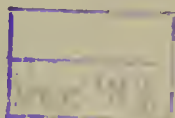
Maurycy Orgelbranc.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1879.



W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1926 X 26

1.

Kraków, ku któremu niedawno jeszcze życie płynęło strumieniami wartkimi ze wszystkich ziem, ze wszystkich Polski krańców, téj pamiętnéj wiosny drętwiał zwolna i pustoszał.

Przychodziło to nieznacznie, stopniowo, ale wszystkim się czuć dawało; w powietrzu cisza była jak przed nadchodzącą burzą. Nikt o niej dobrze nie wiedział z kąd przyplynie, a przewidywali ją wszyscy z mnogich znaków, które zwiastują gromy; wszystkim ciężko oddychać było.

Wieści jakieś chodziły dziwne, niezrozumiałe, groźne, ludzie się jacyś pokazywali i znikali jak ptacy co wróżą nawałnice.

Opieszałość, zwątpienie ogarniały wszystkich. Bojaźliwsi chcieli już bezpieczniejszego szukać przytułku. Najwięcej trwożyło to, że ziemianie

i rycerstwo, którzy tu dawniej tłumami przybywali i przebywali ciągle, lud co na zamek płynął, duchowieństwo co się na rady do Biskupa zbierało, zwolna niknąć zaczęło.

Wojewoda Szczepan, który tu przemieszkował i był dawniej na zawołanie Mieszka, wyciągnął ze swemi pułkami i nie powrócił, dom jego stał zamknięty. Biskup uszedł, w dworcu jego kilku ledwie księży zostało.

W rynku i po ulicach rzadko który z ziemian się pokazał, na krótko, przejazdem, jakby mu tu było nie miło i niebezpiecznie — z konia prawie nie zsiadając, zawracali do domów.

Kupcy stali z założonemi rękami przed sklepami i straganami, wypatrując oczy; nie było w rynku i ulicach nikogo oprócz swoich. Cudzoziemcy, kramarze włoscy, którzy tu stawali po dni kilka, musieli towar sprzedawać kupcom, bo do nich się nikt nie zjawiał.

We dworakach ziemian ledwie pozostali odźwierni i stróże. Gdy ich o panów pytano, milczeli, ruszali ramiony, nie wiedzieli o nich nic. Po kościołach w niedziele i święta obcego człowieka z okolicy widzieć nie było.

Do koła zamku szczególnie — pustynia się stawała coraz większa, dzika, głucha, martwa. Kiełtlich, który jeszcze za rozkazem pańskim po dworach i osadach szukał kogoby do sądów pochwycić, nie znajdował żywego ducha. Cudem jakimś

zawsze ci co byli obwinieni a mieli być ujęci, podparwszy kolew wrota, zawezasu z domostw uchodzili.

Urzędnicy dworsey których posyłano na zwia-
dy, powracali nie dostawszy języka, niektórym
po drodze grożono tak że uchodzić nazad mu-
sieli. Nieposłuszeństwo i opór rosły. Niewystępy-
wały one do walki, cofały się, zdaly czekać aż
wybije naznaczona godzina.

Ci na których najwięcej rachowano na Wa-
welu, albo jak panowie z Tęczyna przybywali
chmurni i zasępieni, lub się już nawet całkiem nie
pokazywali.

Z rozkazu księcia Kietlicz nie zmieniał postę-
powania, nie popuszczono oków żelaznych, któ-
remi spętanych trzymać chcieli. Ale Mierzwa na
sądy przychodził najczęściej nadaremnie, bo nie
było sądzić kogo, a biedota zaciągnięta pod ła-
wę sędziowską, Skarbnemu tylko swą skórę dać
mogła.

Ten niemy a twardy opór całej ziemi, gniew
Mieszka obudzający, Kietlicza z natury swój srogie-
go, czynił okrutnym, niemal go do wściekłości
rozjatrzaając.

Lecz gniew księcia był zimny i zacięty, nie
wybuchał nigdy, gdy Kietlicz miotal się w nim
bezsilny, sobie więcej szkodząc niż drugim.

Po nastąpieniu Wojewody i nieczce Biskupa
szczególniej, czuć się dało na zamku że wężły

wszelkie łączące go z ziemianami podległemi, zerwane zostały.

Kietlicz rozsyłał na zwiady, przynoszono mu wieści groźne, albo niezrozumiałe. Rycerstwo skupiało się i kędyś ciągnęło, nie na Kraków jednak i nie przeciw księcin otwarcie, wysuwało się i znikało. Sprawy ziemiańskie były w rękach duchownych, oni dawali hasła, oni kierowali tą jakąś robotą podziemną i skrytą.

Ze dworu Mieszkowego oddziały które po gościńcach i dobrach duchownych idąc, przewodu i strawy żądały, wedle obyczaju — w kilku miejscach zuchwale odparto siłą. Kietlicz natychmiast biegł pomścić nieposłuszeństwo, ale nie znalazł na kim, uchodzili mu winowajcy.

Groźby straszne latały w powietrzu. Nie napastował jeszcze nikt, ale cofało się wszystko.

Co najdziwniejsza, na zamku samym posłuszne strażę, urzędnicy, służba pańska, czeladzie co dawniej skinieniu były uległe, stawały się kruąbrne, mileżące, leniwe — karać nie było można, bo i ztąd zbiegało wielu.

Kietlicz z przerażeniem postrzegał że mu ubywało ludzi. Nikt nie wiedział gdzie się to podziewało. Powoli, z więzień i ciemnie zaczęli uchodzić ci, których trzymano za nieopłacone kary. Część ich, gdy ją wysłano pod strażą do kopalni Olkuskich, razem z przystawami zginęła.

Każdy dzień położenie to pogorszał. Mieszek

nie pytając, widział i czuł co się stało. Kietlicz nie donosił mu, ale się rzucił i złościł napróżno. Naostatek stanu tego ukryć nie było podobna, codzień wybitniej dawał się widzieć nawet obeym, na zamku pustoszało jak w mieście; w zastępstwo tych co zbiegali, nikogo zaciągnąć nie było podobna.

Zięć Mieszka, Czeski Książ, sam już wygnany, z pomocą przyjść nie mógł, niemieccy czekać kazali, bo w domn mieli niepokoje.

Bez walki z rąk wymykało się wszystko.

Gdy Mieszek wyjechawszy na łowy i kilkanaście dni na nich spędziwszy, po spotkaniu z Kaźmierzem na zamek powrócił, zastał go ogłoszonym z ludzi bardziej jeszcze, a Kietlicza upojonego gniewem.

Najgorliwsi pomocnicy jego, Bereza jednooki, Skarbny Juchim, Mierzwa podszedzia, gdy ich do rady przyzywał, milczeli wymównie, nmywali ręce, stawali na stronie jako podwładni. zrzekając się współnictwa czynnego we wszelkiej robocie. Słuchali jeszcze, ale biernie i kwaśno.

Serb Bereza stanowił wyjątek, ten się rzucił, ale mu się nie wiodło.

Kietlicz czuł iż niewidzialne niebezpieczeństwo rosło, ale że na jego rękach było wszystko, nie śmiał żalić się, aby nań nie spadła wina.

Starzy ludzie cicho szeptali, że w ten sam

sposób zmuszono do ustąpienia Szczodrego, i że Mieszek jak on wynosić się będzie musiał.

Po powrocie księcia w następną niedzielę, zamkowy kościół czasu nabożeństwa nie mieścił w sobie nikogo oprócz szczupłej garści dworskich. Ziemianina na mieście nikt nie zobaczył, do księcia nie zjawił się żaden, nawet z żałobą. Posłano po bliższych, nie przybyli. Jedni na łowach być mieli, w podróży drudzy, inni chorzy. Mieszek znosił to z dumą milezącą, jakby wiedzieć nie chciał.

Starszy syn jego, z Elżbiety pierwszej żony, Otto, na którego pomoc rachował ojciec, niechętny macosze i rodzeństwu, znikł także ze dworu nadąsany, i, mówiono że gdzieś ruszył ku Wielkopolsce. Ojciec niepokoił się nim i gryzł, Kietlicz więcéj jeszcze, ale syna pańskiego imać nie mógł, choć czuł że od niego téż gotowało się nieposłuszeństwo a może spisek z nieprzyjaciół.

Tak z dnia na dzień szło coraz gorzej.

Na zamku snuli się ludzie, których tu nikt nie znał. Przychodzili niby do kościoła, niby za jahużną, opatrywali wszystkie kąty, rozgadywali się dlugo ze strażami po wałach, ze służbą, z parobkami, a potem znikali. W ich umiejsu uza-jutrz stawili się inni.

Kilku kazał Kietlicz uwięzić jak włóczęgów, innych przepędzić za wrota, wyświecić za miasto..

Niewiele to pomogło. Pod wrotami ze strażą ciągle kupki jakieś przychodniów gwarzyły.

Zamkowi ludzie służyli inaczéj, gorzéj, a gdy Kietlicz groził, Bereza się mordował z niemi, najczęściej zbiegostwem się kończyło.

To uciekanie coraz groźniejsze przybierało rozmiary; jednooki codzién przychodził z oznajmieniem że dwu, pięciu i dziesięciu ludzi w nocy zabrakło. Wrota stały zaparte, spuszezali się z tyków i wałów. Posyłano pogoń, ci co z konimi i orężem wyjechali, nie powracali już więcéj.

Kietlicz obliczał z trwogą, że wkrótce zamku nie będzie już kim obronić.

Nakonec Juchim oświadczył, że gotów zdać urząd i pieniądze, bo niemał co robić, nikt nie płacił. Mierzwa dał znać że srodze opuchł i na zamek nie przychodził. Czeladź pańska wystraszoną, przerzedzoną oglądała się tak jakby z dnia na dzień ją i pana ztąd przegnać miano.

Pomiędzy resztą załogi chodziły wieści osobliwe. Mówiono że ziemianie krakowscy tłumami płynęli do Sandomirza, inni na drodze nad Wisłą stali obozami, jakby na coś czekali. Oddziały ich miały się gromadzić w Mogile, Opatowcu, Polańcu, Osieku, aż do samego Sandomirza. Szeptano że Biskup i Wojewoda pojechali da Kaźmierza i zabrawszy go, mają z nim ciągnąć na Kraków.

Gdy jednego z tych ostatnich dni trwogi, Be-

reza znown obliczając ludzi, co dzień w dzień teraz musiał czynić, znalazł znown ubytek w nich znaczny, a z resztą pozostałą w zatarg wszedłszy zlażany i wyszczuty szyderstwy ujść od niej musiał, przybiegł do Kietlicza strwożony i wściekły.

Kietlicz i tak już od dwóch dni potajemnie wozy swe słał do Budziszyna — nie będąc pewien czy się tu ostoi. Panu jednak nie donosić nie śmiał. Teraz już lub nigdy pora była się rozmówić.

Jedno tylko dodawało meztwa Serbowi, to że Mieszek go nie tracił. Jak był chmurny, milczący a spokojny tak pozostał, choć nie mógł nie wiedzieć co się działo około niego. Trwogi nie okazywał najmniejszej.

Gdy Kietlicz wszedł doń, zmierzył go oczyma bystro.

— Miłościwy książę — odezwał się Serb — dłużej już mileczeń się mi nie godzi. Żle z nami, źle u nas! Ludzie nas odstępują. Biskup i ziemianie na gardła nasze nastają, wszystkich do siebie przeciagnęli. Żle z nami, uchodzą wszyscy a teraz już słyszę że Kaźmierza na nas prowadzą z siłą wielką.

Mieszek zbył go pogardliwym mileczeniem.

Wytrzymawszy go n progu chwilę nie małą, nie na to nie odpowiedziawszy, począł pytać głosem ostrym a groźnym ile jeszcze Kietlicz miał ludzi? zkađ o zbliżaniu się Biskupa i księcia były wieści?

— Nawet języka już dostać trudno — odparł namiestnik. — Kogo poślę, ginie, albo go pochwyć lub uciecze... Wszyscy się na nas spiknęli, nikogośmy dziś nie pewni.

— Gród zaprzec, ludzi niepuszczać, gotować do obrony --- rzekł Mieszek zimno.

— Nas i ci co są zdradzą — odezwał się Serb. — Jeśli wczas nie ujdziemy, to nas tu pochwyć jak borsuka w jamie.

Mieszek ruszył ramionami, popatrzał na Kietlicza i odezwał się głos podniósłszy.

— Gród zamknąć! rozumiesz! kogo podejrzasz o zbiegostwo, powiesić na wałach. Bronić się musimy. Kaźmierz choćby przyszedł, nie porwie się na mnie siłą — nie.

— Ziemianie się rzucą bez niego.

— On nie dopnie!

Serb chciał coś mówić jeszcze, Mieszek ręką skinął i usta mu zamknął. Ustępować nie myślał.

W południe tegoż dnia, Bereza na zwiady wysłany, bo jego jednego Kietlicz był pewien, przybiegł czwałem napowrót, strwożony, ozuajmiając że ogromne ziemian tłumy obozują pod Mogiłą, i wyprzedzając Biskupa Gedkę z Kaźmierzem, ciągnąć mają na Kraków sami. Stało się co Kietlicz przepowiedział, co chwila przednich straży ich spodziewać się było można.

Mieszek posłyszawszy to, zbroję sobie tylko gotować kazał.

Kietlicz już bez wiadomości jego wozy powy-
ciągać i skarbiec pański na nie ładować rozrzą-
dził, księżna, niewiasty, dzieci, potrwożone płą-
czem i narzekaniem napełniały podwórze, księżę
siedział spokojny niemal, nie bolało go nic oprócz
tego iż syn Otto opuścił go.

Postawiono na noc silne strażę, zaparto wro-
ta, nikt do snu kłaść się nie myślał. Bereza zno-
wu poskoczył z kilku wiernymi w stronę Mogiły
i powrócił nazad przed brzaskiem oznajmiając iż
wielka moc ludzi już jest w drodze do Krakowa.

Tymczasem z rana, mimo że gród na Wawelu
był szczelnie zamknięty, ludzi tylu nie stało, że
wrót i głównych miejsc nie było kim obsadzić.

Mieszek wyszedł sam ich obliczać, nie powie-
dział nie, dał rozkaz wozy gotować, a reszcie
ludzi w godzinę potem na konie siadać. Gro-
madka około księcia tak nieliczna była, że na
osłonę wozów prawie nie starczyła. Mieszek się
i tém nie strwożył, zbroję wdział, szyszak wło-
żył, miecz przypasał, na pozór obojętnie tc
czyniąc.

Sam potem obszedł nie wielką garść, która
na zamku zostać musiała, przykazując jej aby
zamku nie oddawała.

— Ja wyciągam, ale powrócę rychło — rzekł
— na niewiernych i zdrajcach pomszczę się stra-
szenie. Nie dłużej tu będzie obce panowanie.

Gdy uszczuplony bardzo orszak książęcy z wo-

zami, księżną, dziećmi młodszymi i Kietliczem wyciągnął z zamku, z dawnych slug nikt go nie przeprowadzał, nie pokazał oczów — znikli i ci.

W milczeniu wyjeżdżał Mieszek tak spokojny na pozór, jakby jechał na łowy. Powtarzał ciągle.

— Powrócę! gardłem mi odpowiedzą za wszystko!

Gdy przez podzamecz, miasto i przedmieścia przyszło jechać, żywa dusza w progu domostw się nie okazała. Gród stał jak wymarły z okiennicami pozamykanemi, psy tylko w podwórcach pozamykane za bramami ujadaly.

Cisza ta grobowa trwała czas jakiś, aż Mieszek, jego żołnierze, wozy, czeladź długim ciągnące się sznurem, wywlekły precz na pola.

Dopiero gdzieś na dachach pokazały się ludzkie głowy, tu i owdzie ostrożnie zaczęto otwierać wrota, odsuwano okiennice. Ludzie bojaźliwie rozglądając się wysuwali na ulice.

Szmer jakiś poszedł po mieście, rósł, powiększał się, zmienil w gwar jakby szumiały lasy, jakby morze mruczało.

Niewiedzieć zkąd, jak z pod ziemi wyrastali ludzie, na wałach zamkowych roilo się już.

W ulicach stawały kupki gwarząc, niektórzy wyszli poubierani świątecznie. Czegoś zdawano się wyglądać i czekać.

W tém od Mogiły gościńcem, w tumanie pyłu z wrzawą jak wicher wtargnął oddział ziemian

z proporczykami u włóczęgi. Było ich kilkuset, za nimi szedł drugi okrzykujący coś niezrozumiałe; wprost się rzucili ku wrotom, na zamek. Tu wszystko stało otworem, nikt ani myślał się bronić; tylko po ciszy długiej buchnęło wrzawą, hałasem, okrzykami radośnemi, wśród których brzmiało ciągle Kaźmierzowe imię.

Zamek już, bez walki, bez oporu zajmowali na księcia, Jaksa, stary Żyra, Cholewa i inni ziemianie.

W podwórzu na którem ślady kół od wozów Mieszka świeże jeszcze były, nowi ludzie stali się już obozem, a starszyzna po zamku pustym gospodarzyła. Pozostała czeladź otwierała drzwi, pokazywała drogi, służyła żwawo; na wszystkich twarzach widać było radość, usta się śmiały. Nikt koso nie patrzył, nikt się nie chmurzył, księcia co tu wczora panował, śladu ni pamięci już nie było w ludziach — nikt ani stęknął po nim.

Nowe sitko wieszano na kołku ochoczo i wesoło.

Miasto w jednej godzinie jakby zmartwych powstało, w rynku obozował oddział inny, dworaki ziemian się pootwierały, mieszczanie szeroko rozkładali wrota swe i w progach częstowali spragnionych.

Rozpoczęły się jakby gody weselne. Na pozostałych zausznikach Mieszka i Kietlicza nikt się nawet nie myślał mścić, nie srożył na nich

i nie odgrażał, bo i ci nowemu panu służyć byli już gotowi.

Coraz to gościńcem wpadał wiejąc proporczykami, wołając, trąbiąc, swawołąc nowy oddział rycerstwa. Jedni szli zwiększać załogę zamkową i tak już liczną, drudzy się rozkładali obozami u stóp góry, rozgaszczali na placach przed domostwy, które im gościnnie otwierano.

— Jedzie zbawca nasz z niewoli!

Wolaniem takim oznajmowano Kaźmierza.

Wieczorem spodziewano się jego przybycia, kościół na Wawelu stroił się w zieleni, posypywano drogi liśćmi i kwiatem; duchowieństwo przybywało gromadnie na dworzec biskupi. Wrota jego długo zaparte, otwarły się na oścież, dwór Gedki, którego nie było wprzód widać, chodził strojno i zbrojno.

Toż samo na Wojewodzińskim było, w mieście kto co miał warzył, dym słupami walił z dymników, beczki dobywano z piwnic, w rynku jak w wielkiej izbie rozkładali się ziemianie, wnosząc sobie ławy i stoly.

Ale największe ludu zbiorowisko było na drodze, którą Kaźmierz do zamku miał jechać z Biskupem. Tu nie tylko postrojeni w kozuchy i długie szaty mieszczanie, kupcy swoi i cudzoziemcy w strojach różnych, żydzi w kapeluszach śpiczastych, rycerstwo we wzbrojach, ale mnóstwo po-

ubieranych jak łątki niewiast w oknach siedziało, stało we wrotach, cisnęło się nad gościńcem.

Najpiękniejsze twarzyczki występowały na przedzie, a około nich śmiechem bujało i słówkami strzelało raźnie, bo rycerstwo rade na świeże mieszczańskie dziewczuchy wytrzeszczało oczy na nie i zaczepiało słowy śmiałymi. Żadna z nich niby nie słyszała i nie rozumiała, nie spojrzała, ale po białych ich twarzach rumieńce migwały jak błyskawice i śmiech drgał na ustach choć je sznurowały.

Bogate baby i dziewczki wyglądały tak okazałe jakby rycerskie niewiasty. U nie jednej łańcuch się zwieszał na szyi, czołko stało na głowie od złota, ręce błyszczały w pierścieniach całe, pasy świeciły od kamieni; nie jedna też więcej oczyma jaśniała niż klejnotami. Więc młodzież rycerska wołała sobie.

— Ej! tę z brzega, to bym wziął i miłował mocno!

— A i ta w pośrodku z kosami złotymi, choć ją zjedz!

— Mnie ta biała jak pieróg do smaku, żeby ją choć pocałować.. człek by czuł miód na ustach do trzeciego dnia!

Wszystkie do których się to stosowało, rozumiały dobrze do kogo pito, płonęła każda a oczy spuszczały, a piersi podnosiły się żywo, zaręczyć

nie można żeby z ukosa patrząc nie szukały z kąda głosu wychodził.

Z drugiego szeregu mężczyźni tak naciskali napastliwie, że tu i owdzie krzyk się dał słyszeć ale ze śmiechem wesołym zmieszany. Tylko panom mieszczanom koło serea było nie dobrze, choć im to pochlebiało że ich niewiasty tak pięknie występowały — ale zazdrość kąsała.

Zmierzchało już a ów zapowiadany Kaźmierz się nie ukazywał, natomiast coraz nowe poczty przybywały.

— Oto ciągną! oto idą! — wołano poznając okolicznych ziemian.

Oczy się obracały ku gościńcowi tęskliwie, na którém za pyłem ledwie coś szarzało zdala.

Tuż, jakby na dany znak, z dzwonnicek po kościołach zaczęło dzwienceć radośnie na jakąś weselną nutę. Rozkołysały się dzwony, rozśpiewały coraz ochoczej, coraz żywiej, coraz głośniej, ze dwu, ze trzech urosło tyle na raz dźwięku, iż ludzie stojący obok siebie, rozmówić się już nie mogli.

Wszystkiemi głosy wołały dwony jak ludzie.

— Zbawca nasz z niewoli!

Jasne, cienkie, grube, ciężkie wołania ich zlewały się w chór jeden.

— Bogu na chwałę, Kaźmierz przybywa!

Na twarzach jak w dzwonów śpiewie radość była niezmierna, wszystkie mówiły.

— Zbawca z niewoli!

Rycerstwo siadało na konie, włącznie z porczykami niosząc do góry.

Na gościńcu tuman się wzbijał i opadał.

Ujrzano naówczas przodem jadącego na okrytym koniu Biskupa Gedkę, który w bok się lewą ręką ująwszy, prawą trzymał podniesioną jak do błogosławieństwa. Na twarzy jego był wyraz zwycięstwa i dny. Obok niego jadący w ciemnej sukni z jednym łańcuchem na szyi, Kaźmierz blady, strwożony, z oczyma na dół spuszczone, wydawał się jak więzień lub żaczek, którego szkolnik wiedzie ze sobą.

Przecież te oczy spuszczone i pokorne oblicze były tak piękne i tak ujmujące, po twarzy ponuręj Mieszka, iż wszyscy ujrzawszy go z uniesieniem wołać zaczęli.

— Zbawca z niewoli!

Krzyk się wzniósł taki, że zagłuszył dzwony, widać było jak Kaźmierz zbladł trupio, zachwiał się na koniu, głowę spuścił jeszcze, ku zamkowi na który go prowadzono, nawet spojrzeć nie śmiejąc.

Tam z wałów wiały już chorągwie i okrzyki leciały ku niemu. Biskup pochylił się szepecząc jakieś słowa które go pokrzepić i orzeźwić miały, ale Kaźmierz nie dźwignął głowy, jechał ciągle jak winowajca na opróżnioną brata stolicę, z truczizną w sercu.

Za nim na koniu dzielnym ciągnął Wojewoda Szczepan wąsa podgryzając, dalej co najprzedej krakowscy ziemianie, stare rody tutejsze, ojczyce odwieczni, co razem z Piastami tu przyszli, albo przed nimi się poczęli.

W orszaku księcia jechał i Stach, któremu oczy błyskały weselem razem i łzami, dalej Wichfried szczęśliwy i co żyło przyjaciół tego który dotąd nie miał wrogów.

Ten dzień miał mu ich uczynić.

Po drodze ciągle stawać było potrzeba, zachodzili mu ją i zajeżdżali mieszczanie, duchowni panowie, żupani zamków sąsiednich, którzy już je na imię Kaźmierza pozdawali.

Powtarzano ciągle — Żyw bywaj, zbawco nasz!

Strwożony w sumieniu gwałtem jaki na nim popełniono, pół żyw wjechał Kaźmierz i stanął u progu kościoła na Wawelu. Tu stał archidjakon w szatach uroczystych, z krzyżem i wodą święconą i duchowni wszyscy nucąc hymn ambrozjański, hymn tryumfu i dziękczynienia, któremu przygrywały dzwony.

Przodem wszedł Biskup, za nim ksiązę do ołtarza wielkiego, przed którym padł na kolana, twarzą na ziemię i płakał.

— Odwróć panie ten kielich odemnie!

Gdy się to działo, dworek Skarbego Juchi

ma, po nad samą wjazdową drogą, którą książę przeciągał stał tak zamknięty i zabity szczerze, jakby w nim wymarło wszystko, lecz ktoby był zajrzał do środka po nad wysokie z dylów grubych parkany, zobaczyłby przez szpary przypatrzących się pochodowi a drżących, bladego Juchima targającego rzadką brodę siwą i bledszego jeszcze Mierzwę, trącego niespokojnie twarz ściągniętą trwogami i troską. Oba milczeli, jakby się lękali wydać głosu, by ich nie zdradził.

Z nich dwu Juchim jeszcze się zdawał odważniejszy, Mierzwa choć męztwa sobie dodawał popijając potrosze, choć się krzepił na duchu filozoficznemi argumentami, chwilami zimnym oblewał się potem.

Wśród tych co z Kaźmierzem przeciągali poznawał ludzi których sądził. Juchim liczył tych których odzierał i mękami zmuszał do oddania ostatniego grosza. Wszystko to teraz zwyciężkie zapanować im miało!

Poprzeciągały już oddziały, zdala słychać było tylko huki, wrzawę, wołania na zamku i dzwony, a w mieście tłumne okrzyki — na gościńcu pusto już było, a oni stali jak wkuci i patrzali jeszcze.

Juchim w orszaku dojrzał po za księciem jadącego Stacha, zdziwił się mocno i pomyślał.

— Winien mi grzywny, ja mu się ich nie-

upomnę — alem go zwolnił, mógłby o tём pamiętać!

Gdy oba o padającym już mroku zeszli ze stanowiska, Skarbny i Mierzwa spojrzeli sobie w oczy i głowami potrzęśli.

— No, a co teraz będzie? — zamruczał Juchim.

— Co ma być! — odparł Mierzwa, ndając wielce śmiałego — nie boję się niczego! Sądziłem jak mi sądzić kazano!

— Cóż ja gorszego? — zawołał żyd — jam te pieniądze pobierał, któreście mi brać kazali!

— No, tak! tak — rzekł Mierzwa — ale nie chciałbym być w waszój skórze! Ja siedziałem na ławie z prawem w ręku, wy jak przyszło wycisnąć grzywny, i na mękiście brali.

— Czy to z niemi można było inaczej? — zawołał żyd — albow to ja grzywny dla siebie ściągał? Hm, Ja w waszój skórze nie chciałbym być. Gdyby nie wasz sąd nie byłoby moich grzywien.

— Słuchaj, Juchim — przerwał Mierzwa — ani ty mnie ani ja ciebie, nie powinniśmy się zdradzać i oczu sobie wykalać.

— Na co my mamy zdradzać? po co mamy kłuć! — rzekł Juchim.

Mierzwa po chwili powtórzył co już mówił nieraz.

— Oni się bezemnie nie obejdą! kto tak zna wszelki zakon jak ja!

— A z kąd oni wezmą grzywny, gdy ja im niepokażę kędy one są? — dodał Juchim zadumany.

Pocieszali się a jednak zadumali wiece niepokojni.

— Kogo ty masz? — spytał Mierzwa.

— Ja? nikogo! samego siebie!

I Juchim stuknął palcem w głowę.

— To mało, ja muszę kogoś szukać.

— Jak ja szukać zechcę, może też znajdę! — rzekł żyd.

Przyjaciele stali jakby nieufni naprzeciw sobie, jeden chcąc wybadać drugiego.

— My powinni iść razem, a nie na siebie zrzucać winy! — dodał Mierzwa.

-- Który z nas zaszkodzi drugiemu — rzekł żyd — albo to niema czém mu oddać!

Mówili jeszcze urywanemi słowy, gdy do wrót silnie dobijać się zaczęto.

Był to Stach, który choć w orszaku księcia z innemi przybył, dla wielu oczów i świadków nie chciał na zamku nocować. Szukał sobie na uboczu miejsca, z któregoby mógł pana swojego strzedz, niewidziany bronić go i osłaniać. Tymczasowo trzeba mu było kąta, w którymby stałą gospodą.

Dworek Juchima w sąsiedztwie zamku nastre-

czył mn się i choć nie wiedział kto w nim mieszkał, obyczajem ówczesnym przybył prosić o przyjęcie, próbując czy mu się tu wcisnąć nie uda.

Wrota były zaparte, biegł już do nich odrapany sługa, gdy Juchim przelekły, obawiając się aby go na niebezpieczeństwo głupotą nie naraził, z gniewem go odepchnął i sam do bramy pośpieszył.

Pomimo mroku mógł jeszcze dojrzeć kto się dobijał i osądzić czy wpuścić go było można, wypraszać się lub bodaj opłacić.

Przyłożył więc oko do wąskiego otworu i pilno przypatrywać się zaczął. Poznał Stacha. Był mu na rękę. Trwoga i nadzieja razem go objęły.

Stach dobijał się ciągle jak pan, wołając aby otwierano. Juchim zapytał po cichu czego żądał?

— Czego? a to się rozumie że gospody! — odparł przybyły. — Przyszliśmy z księciem, na zamku dla wszystkich miejsca niema. Otwierajcie a żywo! Niewiele mam ludzi i koni. Jest nas trzech, zapłacę za wszystko, dachu mi tylko i stajni potrzeba.

Gdy się to działo, Mierzwa niepewny kto przybywa, ukrył się ale nasłuchiwał.

Wahał się jeszcze Juchim.

— To gospoda nędzna, licha — zawołał — niema gdzie postawić koni, dla miłości waszćj wygody nie będzie.

— Ja jej niepotrzebuję — mówił Stach na-

legając — koniom byle dachu kawał, aby im na grzbiet nie ciekło. — Otwieraj.

Po krótkim namyśle Juchim kazał wrota otworzyć, a Stach z Żegciem i służbą natychmiast w dziedziniec wbiegli. Wrota z obawy aby się kto więcéj nie przypytał, co rychléj zaparto.

— Będziecie mnie od drugich bronili — rzekł Juchim przystępując i kłaniając się. — Hej! hej! my z miłością waszą nie od dziś znajomi, to się dobrze złożyło!

Stach poznawszy Skarbnego ramionami ruszył.

— A no — rzekł, — jeśli myślisz że ja ci grzywny przywiozłem, omylisz się srodze.

— A! a! ja żadnych niepotrzebuję — rękami strzepując odezwał się Juchim. — Co za grzywny! One pojechały z tym co go tu niema!

I wskazał w stronę, w którą się Mieszek oddalił.

Stachowi z powodu grzywien i żyda gospoda się nie zbyt miłą wydała, lecz gdy raz tu wpadł a pod noc sobie innego kąta szukać nie mógł, musiał przyjąć co los narail.

Trochę zakłopotany Juchim go do izby prowadził.

— Mówilem miłości waszój, że u mnie wygody mieć nie będziecie. Na postanie chyba siano i kobierczyk lichy, dla koni niema nic. Jadło! a! jakie u mnie jadlo! nędzne — ja człowiek ubogi.

— Ubogi? wy? — rozśmiał się Stach wchodząc za nim.

Uśmiech szyderski do żywego tknął Juchima, który wprost z obojętności chłodnej przeszedł do największego roznamietnienia. Posądzenie go o za-
możność było dlań najstraszniejszą groźbą.

Podniósł obie ręce wychudłe wskazując na istotnie nędzną izdebkę do której weszli.

— Wasza miłość nie chcecie wierzyć ubóstwu
mojemu! Albo mnie Mieszek i Kietlicz nie darł
ze skóry jak innych — zawołał. — A! gorzej
niż innych! Na wyjezdnem ostatni im grosz oddać
było potrzeba! Ja z głodu mogę umierać! Kto
mnie dziś pożywi, kto się ulituje?

Stach zlekka go uderzył po ramieniu.

— Bądźcie dobrej myśli — odezwał się —
pan nasz nowy, którego wam przywiedliśmy, spra-
wiedliwy jest, bogobojny, litościwy, z nim i wam
lepiej będzie i wszystkim. A ci co z tym panem
jadą. nie drapieżne sępy są, ale ptactwo spo-
kojne.

Juchim skłonił głowę z poszanowaniem.

— Słżyliście księciu Mieszkowi, — dodał
Stach.

— Ja? — przerwał Juchim — a kto mu nie
musiał ze strachu służyć? każdy człowiek życie
ratuje.

Tak się rozpoczęła rozmowa, poczem Juchim
mimo ubóstwa na które skarżył się, postarał

o godne gościa przyjęcie. Sam poszedł po chleb biały, wino i jakieś słodczyce, które na miedzianej tacy w saraceńskie wzory rysowanej przyniósł Stachowi.

Ten więc potrzebował spoczynku niż pokrzepienia, miał też do myślenia wiele. Uzbierało mu się na duszy i dobra i złego dostatkiem.

Najgorętsze życia jego pragnienia były dopięte, Kaźmierz wszedł na stolicę. Lecz na tém się nie kończyło. Tu dopiero oczekiwać go miały największe niebezpieczeństwa, zdrady ludzi, podstępny, knowania, walka z Mieszkiem i rodzeństwem jego; chciwi połowni przyjaciele, chciwe panowania nad panem niewiasty.

Od tego wszystkiego chciał go bronić. Czuł dobrze że teraz stanęli dopiero na placu boju, gdzie największego potrzeba było czuwania i pilności. On, jak sobie z dawna ślubował, stać musiał na straży nie ukazując się, być wszędzie niewidocznym, nie oddalać się na chwilę, czuwać, szpiegować, zabiegać. To była życia jego pokuta.

Jak temu podola? sam niewiedział, Bogu się oddając, który na czyste patrzył serce i na niebezpieczną drogę aniołów stróżów miał zesłać.

Westchnął, zostawszy sam, o pomoc do niebios.

Troska już jedna kamieniem na sercu mu leżała. Nie mając innego celu w życiu, nad wywdzięczenie się panu swojemu, śledził wszystko

pilno co go otaczało. Nie uszło oka jego i ucha, że Dorota zastawiła sidła na słabego pana. Od pierwszego spotkania z nią na Skalach, Stach powziął do niej wstręt i obawiał się zalotnicy. Dojrzał już jak w Sandomirzu zabiegała, aby sobie do księcia utorować drogę. Wiedział że Wichfried był u niej, że ją wieczorem na zamek prowadził i że tam długą chwilę przebyła.

Trwożyło go to wiele.

— Zła niewiasta — mówił w duchu — zalotnica przebrzydła życie mu zatruje, troski i srom nań ściągnie, opanuje nazbyt dobrego pana!

Wszystko co słyszał o wdowie, co widział sam, przejmowało go wstrętem. Znając z młodości Kaźmierza, widział że urokowi niewieściemu oprzeć się nie uniał, i że im napastliwszą tém była dlań niebezpieczniejszą.

I o tém posłyszał Stach, że jój kazano za Kaźmierzem jechać do Krakowa. Pierwszą więc robotą jaką sobie zadał było, księcia od niej uwolnić, ale jak to uczynić? niewiedział jeszcze.

Gdy mu siano i kobierczyk przyniesiono, a Żegieć zniósł juki i pościelać przyszedł, Juchim stał jeszcze na uboczu, czekając czy czego niezapotrzebują. Na myśl przyszło Stachowi wszystko wiedzącego żyda zapytać o wdowę, którą z jój szaleństw w Krakowie znano. Sądził że się dowiedzieć może od niego, gdzie Dorota w Krakowie zamieszkać mogła, bo był pewnym że na

zamek nie będzie śmiała się weisnać. Począł trochę z przelaju, o panów z Tęczyna zagadując go, którzy z Mieczkiem trzymali.

— Trzymali oni z nim — odpowiedział Juchim — ale pod koniec i oni już, gdy ich wołał, jechać do niego nie chcieli. Możni są, przecież z panem i całą ziemią do wojny nie staną.

— A co się z siostrą ich stało? — dodał Stach.

Juchim ze wstrętem ramionami ruszył.

— Któż ją wie! — bąknął.

— Pono zamknąć ją chcieli?

— No — rzekł Juchim — aby ona teraz tylko ich nie pozamykala! Wszystkim wiadomo że stary Wojewoda, choć żonę ma, choć go za to Biskup laje, bardzo się w niej rozmiłowuje... A ona by córką jego mogła być!

Juchim splunął nieznacznie.

— Onaby tu w Krakowie dom swój mieć powinna? — spytał Stach.

— Jakżeby nie miała, ma, jeżeli bracia nie zabrali. Dwór był bardzo paradny! Będzie w nim teraz wesolo! — rzekł żyd szydersko.

A gdy Stach pytał więcej, zakończył stary.

— Wielkiego rodu pani, ale to jest niewiasta o jakiej król Salomon nasz, który wiele od nich wycierpiał, powiedział że gorszego nad nie na świecie nie ma nic!! Niech Bóg od niej broni każdego pocziwego człowieka!

II.

Nad ledwie uśpioną stolicą, wstał ranek letni, złocisty, pogodny, jasny, ciepły, jakby uroczystości nieba błogosławiły. Miasto, które uczkowało noc całą, teraz odpoczywało.

Ledwie czeladź pilniejsza poruszała się gdzieś, gdzieś ziewając i wyciągając się, konie podróżą popodbijane ciągnąc i pędząc do wody.

Wczorajszego przyjęcia wszędzie jeszcze widne były ślady. W ulicach tam i sam stały ławy, powynoszone wieczorem dla chłodu, stoły pooblewane miodem i piwem. Na ławach pod domami, na przyźbach, ci co się do środka dostać nie mogli, albo nie chcieli, leżeli pookrywani ładajako, chrapiąc na twardych deskach jakby na najmniejszym posłaniu. Nie wszędzie drzwi pozamykano i pozasuowano okna. Wozy które się pod

szopami nie zmieściły, stały w rynku i na ulicach, a konie do nich poprzywiązywane resztek siana w głębi szukały.

Spało miasto, tylko po kościołach o swój godzinie dzwonki się już odzywały po jednemu, cicho, jakby nie wszystkich budzić chciały.

Na zamku tłumno było. I tam jeszcze po wczorajszym wieczorze nieład panował; tylko ziemianie troskliwi aby ich kto nie ubiegł, ostawiliwały ludem do koła, gęsto ponrządzali strażę, a we wrotach oddział cały wnijsćia pilnował. Podwórza na obóz wyglądały, tak w nich pełno było koni, wozów, różnego ludu i broni. Bezludnie ale gęsto porozkładali się ci co tu przywiedli Kaźmierza do koła budowli, pod wałami, u szop i wszędzie.

Choć cisza panowała na zamku dużo ludu ruszało się już i krzątało. Starszyczna w obawie jakiego podstępu i zdrady, chodziła opatrując wszędzie kąty i zaglądając ludziom w oczy.

Chociaż miłość dla księcia Kaźmierza okazała się wczoraj tak powszechną, tak wielką iż nigdy może żaden z książąt tryumfalińej nie wjeżdżał na stolicę, witany z taką radością i uniesieniem, zawsze się Mieszka i jego stronników obawiano.

Wojewoda ze swojemi ludźmi częścią na zamku stał, częścią pod nim. Biskupiego dworu rycerskiego znaczny oddział z pułkownikami się tu znajdował.

Pilnować się musiano nietylko od Mieszka ale

od samego Kaźmierza, z którym sprawa nie była dokonaną. Wzięto go wprawdzie i na stolicę wprowadzono, ale opierającego się i zarzekającego. Widział że zdobywać jej nie potrzebował, bo mu się wszystkich serec same rzucały pod nogi, bramy same otwierały, ale Biskup czuł że dobrowolnie ciężaru jaki mu na ramiona wkładano nie przyjmie, że na skinienie brata ustąpić gotów, a nawet dopomódz do odzyskania władzy. Był panującym z musu nie dobrej woli, posłusznym losowi, nie przekonauym jednak aby powinnością jego było panować i by miał do panowania prawo. Musiano więc stać przy nim na straży i zmusić go by cugle wziął w ręce.

Zadanie to głównie przypadało Biskupowi. W istocie nie Kaźmierz panował tu ale Gedko z ziemianami krakowskimi. Kaźmierz był jakby w niewoli u nich, z której nie powinni go byli wypuścić.

Z kilku słów, z całego obejścia się wnosili, iż najlżejszego starczyłoby pozoru w tej chwili aby ustąpił do Sandomirza, którego żałował.

Naradzano się po cichu jak go tu strzymać, jak przekonać i umocnić. Nadewszystko z oka go spuszczać, ani sobie samemu zostawić nic było można. Ułatwiało zadanie to że Biskup miał za sobą i księżną Helenę i wszystkich przyjaciół Kaźmierza, Jakśę, Goworka, Wichfrieda. Najbliżsi serec jego chcieli go widzieć na stolicy i gotowi

byli pomagać aby się na nią utrzymał. Wszyscy w tym pobożnym spisku byli z Biskupem.

Jeden Kaźmierz opierał się swojemu przeznaczeniu. Ze łzami wjechał na ten zamek, płakał modląc się w kościele, powtarzał to że się przywłaszczoną brzydził władzą, i że się tu nie za pana, ale za czasowego uważa tylko dzierżawcę.

Musiano czuwać nad nim.

Od wczorajszego wieczora jawném było że się tu za gościa uważał. Pustka w której wszędzie jeszcze ślady żywe po Mieszku zostały, lzy mu z oczów i westchnienia wyciskała. Wichfried dopominał się aby rozporządził pomieszczeniem, wybrał komnaty, naznaczył te które miał zająć. Kaźmierz odpowiedział mu niecierpliwie że gdziekolwiek obozować może a siedlić się nie myśli.

Wieczorem gdy odszedł na spoczynek słowa się z niego dopytać nie było można. W nocy ci co spali w izbach sąsiednich słyszeli go modlącego się głośno i wzdychającego ciężko.

Nim książę wstał, Jaksa, który się tém niepokoił pobiegł na radę do Biskupa. Tu już, mimo godziny ranniej, ludzie byli na nogach, a sam Gedko za stołem siedząc listy rozpisywać kazał, wzywając Biskupów na radę.

Ziemiańskie stały czekając na rozkazy Pasterza, gdyż ztąd płynęło wszystko. Kaźmierz nie chciał się rozporządzać, ani za pana uważał. Był to ro-

dzaj bezkrólewia, wśród którego duchowieństwo z ziemianami władzę dzierżyć musieli.

Ze dworu biskupiego pisma się rozchodziły na całą ziemię. Naprzód Arcybiskupa Gnieźnieńskiego zawiadomić musiano, aby go mieć z sobą. Nie było to wątpliwem.

Do dworca biskupiego przybywali jedni, wysyłano ztąd drugich, czynność i ruch były wielkie. Gdy Jaksa nadszedł, mimo że Gedko mocno był listami zajęty, zobaczywszy go wstał zaraz ku niemu.

— Ojczy — odezwał się Jaksa — co myślicie dalej? Zdawało się nam żeśmy już dopięli celu, a najcięższe pono dopiero teraz przychodzi. Książę nie swój, pomieszany, przybity wyrwać się nam gotów.

Całą noc, jak mi komornicy mówili, przetrwał na modlitwie i niepokoju. Sumienie gryzie go. Do dnia już pobiegł do kościoła, — poznać go trudno tak mu się twarz mieni trwogą i frasunkiem. Dziś też rano kazał sprzęty i zasoby wysłać które po Mieszku zostały, a komornikowi wyprawionemu z niemi, poufne dał zlecenie by uspokoił brata iż władzy przywłaszczać sobie nie myśli i pracować będzie dla pojednania. Zdaje się że i sprzęt wyprawił tylko aby poselstwo to wysłać.

Biskup westchnął i zmarszczył się nieco.

— Radzić na to musimy, — odpowiedział, —

nie z nagle, ale powoli i stopniowo. Sprzeciwiać mu się wręcz na nic nie zdalo, czas wiele dokona, my też nie zaśpiemy. Książę lubi mądrych i uczonych ludzi, rad biesiaduje z nimi, musiemy mu dać takich coby go uspokajali w sumieniu i nauczali o obowiązkach. Znajdziemy ich, a i sami nie zostaniemy beczynni. Główna rzecz spełniona, reszty pan Bóg dopomoże dokonać.

Piękną jest rzeczą ta miłość braterska i praw starszeństwa poszanowanie — dodał — lecz tu dla miłości większej nas wszystkich, dla losu ziemi tej, dla sprawy religii świętej, książę się poświęcić musi..

Zwolna ukolyszemy to sumienie poczciwe a nie-spokojne.

Mówiąc to Biskup zdawał się Jakse chcieć pocieszyć, sam z bezpoczuciem patrząc w przyszłość.

Jaksa po ludzku biorący rzeczy, rozrywkę, zajęcie, ludzi i spraw użyć radził, aby księcia wciągnąć i niejako zmusić do panowania, nie dając mu spocząć. Użył nawet porównania tego iż gdy łowiec ptaka unosić chce, spać mu ani tchnąć nie daje, wrzawą go upajając.

— To wasza rzecz — odparł bystro poglądając Gedko. — Czuwajcie tylko nad tem, aby rozrywki godziwe były a nie płocheł, bo najlepszej rzeczy zlemi środkami czynić się nie godzi.

Naradzali się więc, choć Biskup nie zdawał

się trwogi Jaksy podzielać i rachował że Kaźmierz uledez musi. Tém téż i jego uspokoił.

Mowa była jeszcze o tém że dopóki książę milezącym jest i w sobie zamkniętym, zawsze się obawiać oń należy, a lepiej zmusić go do jawnego wypowiedzenia myśli, ażeby ją pokonać argumentami, którymby oprzecz się nie mógł. Biskup rachował na duchownych, na ojca Lucjusza, schołastyka Lamberta, nawet na młodego ulubieńca Wincentego, których wszystkich na zamek wysłać miano..

Jaksa i z tém się wydał na koniec że posądzal księcia o zamiar ucieczki z Krakowa, tak że straż kolo niego stawić było potrzeba.

Biskup zlecił to jemu i przyjacielom, tymczasem inni pasterze przybyć mieli aby dopomódz Gedce do działania na opornego. Rozmowa z Jakszą trwała dość długo; a owocem jęj było że czuwać postanowiono; biskup wlał w niego otuchę jaką sam był ożywiony, iż wszystko da się zwolna po myśli ułożyć.

Wyszedł ze dworca Jaksa z daném mu hasłem, i zarządził tak iż dnia tego ani na chwilę prawie Kaźmierza samym nie zostawiono. Coraz nowe przybywały ziemian gromadki przynosząc mu hołdy, dziękczynienia i skargi boleściwe na Mieszka. Z przykrością i zdumieniem słuchać musiał Kaźmierz żalób tych na brata i ludzi któremi się posługiwał..

Zaprzeczał czasem i uniewinniać się starał, lecz dowody były zbyt jawne, i składanie winy na Kietlicza, oczyścić Mieszka nie mogło.

Żale te, utyskiwania, opowiadania o rządach i sądach, czyniły na księciu wrażenie tём boleśnniejsze, iż się co chwila bardziej przekonywał jak wprowadzenie napowrót Mieszka, trudnem było, niemal niepodobnem. Jedni obawiali się zemsty, drudzy uraz i krzywd nie mogli przebaczyć, wszyscy błogosławili Boga, iż ich wyzwolił z tój kaźni.

Tak spłynął ten pierwszy dzień, bez wytechnienia prawie dla Kaźmierza, a gdy późnym wieczorem wymknął się do pustej komnaty swej dla spoczynku po tym gwarze i pisku, Wichfried który mu towarzyszył znalazł go tak godnym politowania, że radby był czémkolwiekbyś weselszą myśl, rozrywkę poddać jakąś.

Zdało mu się, iż przypomnienie pięknej wdowy, potrafi rozbić te mroki. Wichfried wiedział już o jój przybyciu i nie wahał się z lekkomyślnością, do której książe był z jego strony nawykły, oznajmić mu pocichu, z uśmiechem, iż Dorota rozkazów usłuchała i w Krakowie się już znajdowała, a dom jój nie zbyt daleko położony, łacono było odwiedzić, gdyby książe życzył sobie tego. Namawiał nawet na to, powiadając, że po dniu takiej pracy ciężkiej, należała chwila lepszej myśli.

Każmierz odtrącił tę pokusę z jakimś wstrętem mając zbyt wielki ciężar na sercu, a głowę czém inném zaprzątniętą — ale, Wichfried znalazł go, nieustąpił.

— Niemożliwa to — rzekł — aby się księciu Dorota niepodobała — grzechu przecie wielkiego niema posłuchać szczebiotania i popatrzyć w oczy.

Każmierz głową potrząsnął.

— Niewiasta i piękna i urokliwa — rzekł — tem też więcej obawiać się jej trzeba, bo napaśliwa jest, nieopatrzna i ludzie o niej prawią nadto.

— O! miłościwy panie—przerwał Wichfried— co ludzie prawią, to najczęściej potwarz, zazdrość i zła wola. Więcej w tém kłamu niż prawdy. Książę byś przynajmniej zmuszony był się rozchmurzyć, bo my tu w Krakowie pomrzemy od smętku.

— A po cóżecie mnie tu przywiedli? — odparł żywo Kaźmierz chwytając go za słowo — nie prosiłem się wam, abyście mnie zostawili w spokoju...? Tak jest, i Biskup i Wojewoda i wy wszyscy uczyniliście co chcieli ze mną — ale mnie zrobiliście najnieszczęśliwszym z ludzi.

Nie mogę spojrzeć na zamku ściany, nie rumieniąc się upokorzony, bom tu przywłaszczy-cielem nieprawym. Cień Mieszka chodzi za mną — cień ojca wyrzeka mi nieposłuszeństwo!

Wichfried zbliżył się doń żywo i pochwycił za rękę.

— Wszakże ksiązę — zawołał — nie nastawiałeś ani na władzę jego, ani na panowanie — byłeś zmuszonym. Mieszko winien sam — Ojcowie duchowni żądali tego, domagali się i rozwiązali smnienie, możesz więc być spokojnym i czuć się niewinnym!

Wszystko co Wichfried mógł znaleźć w sobie dla uspokojenia go, pozostało bez skutku. Każmierz milczący i pogrążony nie dal znaku przyzwolenia.

Do wieczery Gedko umyślnie zesłał scholastyka Lamberta, opata Benedyktynów z Tyńca Kaźmierza, Wincentego młodego i kilku duchownych.

Lepiej to pomogło niż wszelka pociecha, na jaką Wichried się mógł zdobyć. Czoło się nieco rozchmurzyło, wzrok stał jaśniejszym. Duchowni przyszli już uprzedzeni, niosąc z sobą twarze wesole i myśli swobodne.

Nie potracano w rozpoczętj rozmowie o sprawy terażniejsze, nie mówiono o tēm co się stało, unikano rzeczy obecnych, ale składało się tak jakoś, iż z historyi starożytnej ciągle przychodziły przekonywające przykłady, jako po wszystkie czasy tyranom władzę odbierano, nowych do panowania powołując książąt, a gdzie *vox populi, vox Dei*

przemówił, poddać się jego wyrokowi koniecznością było.

Szczególniej młody Wincenty obfitym był w przytoczenia historyi dawnych państw różnych, których mu niesłychana pamięć jego dostarczała. Słuchał Kaźmierz z zajęciem. Wśród opowiadań i inne przedmioty przychodziły na stół, odwracając myśl od teraźniejszości, książę zwolna ożywił się, zdał zapominać o sobie i cały zajął rozprawami, które się jedne z drugich rodziły.

Scholastyk przywodził pismo święte, Wincenty pisarzy świeckich. a opat Kaźmierz wesołym humorem ucztę zaprawiał.

— Błogosławiona ta chwila, — mówił — gdy Bóg ześle narodowi pomazańca wedle serca swego, naówczas ziemia kwitnie, lud się weseli, podnoszą miasta, stroją sioła, rosna świątynie, mnożą klasztory i gród niebieski przedstawia państwo szczęśliwe!

— A wszystko to — dodał scholastyk — miłość i łaskawość tworzą, nie groza i surowość niezłagana, które tylko przeciw zbrodni orężem są koniecznym.

— Ziemi tej naszej — wtrącił Opat — jakże potrzeba miłościwej ręki, aby w niej zakwitła i ona jako sucha różyczka w ręku Józefowem.

Kaźmierz, gdy mowa wyrażniej do niego się zastosować dawała, spuszczał oczy. — Frasunek powracał.

— Sprawiedliwego męża potrzeba nam — dodał scholastyk.

— Ale sprawiedliwość — przerwał książę, nie łacna jest, bo każdy jój gdzieindziej sznka, inaczéj widzi a oczy ludzkie mylą się często.

— Co i historye stare dowodzą — wtrącił młody Wincenty. — Jedna z nich opowiada, jako za panowania Cezarowego¹⁾ prawo było postanowione, iż: ktoby niewiastę porwał gwałtem, w mocy jej będzie albo dlań żądać śmierci, lub zmusić do poślubienia bez wiana. Mówią tedy, iż się raz przygodziło, iż mąż pewien, w jednym i tym samym dniu dwie niewiasty porwał i krzywdę im na czei uczynił. Pochwycono go i przed sędziego stawiono, gdzie obie niewiasty przyszły z żałobą. Jedna nań śmierci, druga ślubu żądała. Cóż postanowił sędzia rozumny? oto przyznał téj niewieście pierwszeństwo, która miłosierniejszą była.

Wszysey słuchacze przyklasnęli powieści Wincentego, a Kaźmierz żywo zdał się nią zajmować.

Co widząc Wincenty, wkrótce o żywocie ludzkim i losach człowieka drugie opowiadanie rozpoczął.

— „Był raz władzca pragnący wielce poznać i zbadać ludzką naturę. Znajdował się podówczas w królestwie jego mędrzec niektóry, ludziom

¹⁾ Gesta romanorum.

radami swemi wielce pomocny. Zasłyszawszy o nim król, posły wyprawił, aby natychmiast przybywał. I rzekł mu — Mistrzu mój — chcę od ciebie mądrości i nauki zaczerpnąć. Powiedz mi naprzód: Czém jest człowiek? Mędrzec odpowiedział na to:

— Człowiek nędzarzem jest przez cały ciąg swego żywota. Patrzcie na początki jego, na czasy pośrednie i koniec, ujrzyście iż wszystkie one pełne nędzy i dolegliwości.

Dla tego czytamy u Hioba: „Człowiek z niewiasty zrodzony, przepelnion jest nędzą wszelką.

„W początkach biedny jest i bezsilny; w średzinie życia utrapiony a na duszy bolejący, w końcu ziemia go pożera. Przeto królu miłościwy dumnym się być niegodzi“.

— Rzekł król — odpowiedz mi jeszcze na cztery pytania, a uczynię cię dostojnym i obsypię bogactwy. Pierwsze pytanie: Co jest człowiek? drugie, komu on podobny? trzecie, gdzie on jest? czwarte, z kim?

Na pierwsze pytanie odparł mędrzec: niewolnikiem śmierci, gościem na ziemi, przechodniem wędrownym.

Do kogo podobien? powiem do lodu, który się od gorącości roztopia, w niwecz idzie i w ziemię wsiąka.

Trzecie pytanie: gdzie on jest? wśród wszelkiej wojny, przeciwko światu, szatanowi i ciału.

Czwarte: z kim? odpowiem: siedmiu ma towarzyszów, co go trapią ciągle, a ci są: głód, pragnienie, gorąco, zimno, znużenie, choroba i śmierć.

Zabawiano tak księcia, który się wielce powieściami temi zajmował ucząc ich cheiwie i gdy tak do późna gwarzyli, udało się w końcu chmury rozpedzić i przywieść do tego, że na ustach uśmiech się zjawił.

Postrzegł jednak Wichfried, gdy sam na sam zostali, że po krótkiej chwili zaduma i troska wróciły. Na Niemca, jako najpoufalszego i najśmielszego, zdali wszyscy staranie o rozrywki, o utrzymanie w Krakowie księcia, okazującego do pobytu w nim wstępną a za Sandomirzem tęsknotę.

Nazajutrz Wichfried rano łowy za Wisłą w lasach przygotował, a że ziemian ofiarowało się w pomoc wielu, najraźniejszych i najweselszych wybrano, ruszając w lasy ku Tyńcowi, gdzie Opat za obfitość zwierza zaręczał.

W istocie powiodło się polowanie i książę pochwycony niemi, otoczony śmiejącymi się twarzami i sam też poczynął być dobrej myśli, ale w powrocie do Krakowa, gdy sami z Wichfriedem pozostali, Niemiec już z trudnością dobyć mógł z niego słowo. Dojrawszy zdala Wawel, Kaźmierz wzdrygnął się i oczy spuściwszy milczał.

Wichfried naówczas ważył się znowu przypomnieć mu wdowę.

— Miłościwy książę — odezwał się — towarzysze nasi zdala pozostali za nami, my ich o wiele wyprzedzamy, na zamku u nas strasznie jeszcze pusto, ja tu gospodę znam, w której nas przyjmą radzi!

Książę nie odpowiedział, jechał dalej. Tak się sami do miasta dostali, a Wichfried pokierował wprost do dworu Doroty. Wprawdzie się ich tu nie spodziewano, ale z obawy braci, wdowa się oddalić nie mogła, pewien więc był, że ją zastaną.

Tak było w istocie, od przybycia bowiem do Krakowa, Dorota się ciągle księcia spodziewała, wiedząc, że zatęskni za nią, nie ruszała się nigdzie, w oknach i na wyglądach próżnych całe dnie spędzając. Ujrawszy dwu jeźdźców zbliżających się do dworu, poznała w nich zaraz, a raczej domyśliła się Kaźmierza z jego towarzyszem i wybiegła uradowana na ich przyjęcie. Zsiadali w podwórzu z koni, gdy Dorota skłaniając się do kolan Kaźmierza, z wielką natarciwością zapraszała do ubogić chaty, jak ją nazywała.

W istocie przepychu tu nie było, gdyż oddawna we dworze nikt nie mieszkał, lecz na służbie ze Skał sprowadzonej i na wygodach nie zbywało.

Kaźmierz jak gdyby nie wiedział dokąd przybył, zobaczywszy ją, uląkł się nieco i do Wichfrieda zwrócił się z niemą wymówką, lecz oprzeć się nie mógł zaproszeniu i wszedł do środka.

Milczącego księcia niemiec zastępywał, opowiadając że z łowów wracali, a książę pamiętny przyrzeczonej opieki, zboczył na chwilę, aby się dowiedzieć, czy jakiego przeciwnictwa od braci nie miała Dorota. Kaźmierz się nie odzywał jeszcze, a wdowa ze śmiałością wielką poczęła i żale swe wywodzić i z wdzięcznością dla dobrego pana się oświadczać.

— A! gdyby nie wy miłościwy panie — mówiła — nie mówię już że mnie czekałaby niewola gorsza śmierci, ale i innych dostojniejszych życie byłoby na włosku. Bracia moi teraz się już w Krakowie pokazać nie będą śmieli, ale kto wie co być może gdy ze strachu ochłona?

— Chociaż ja się tu za pana nie mam i brata mojego zastępuję tylko — odezwał się książę — pocznę jako opiekun, przywołam braci waszych do siebie, wysłucham ich i was, aby uczynić zgodę.

— Zgodę! — zakrzyknęła wdowa — między niemi a mną! Prędzej się świat skończy niż ona nastąpi, a co od nich posłyszycie o mnie, miłościwy książę, to mnie w oczach waszych zabije! Nie chcę, aby nszy wasze kalali potwarzami... niech się dzieje co Bóg da...

— Cóż więc dla was uczynić mogę, abym wam pokój zapewnił? — spytał Kaźmierz.

— Pozwólcie mi zostać pod opieką swoją — odezwała się wdzięcząc Dorota — ja o to tylko

proszę. Rzućcie czasem na mnie okiem laskawém, więcój nie pragnę.

Książę chcąc wedle sumienia postąpić i broniąc się przeciw napastliwój niewieście, która go niepokoiła, dołożył z powagą.

— Nie lepiejżby było, gdybyście wybór uczyniwszy, męża wzięli, co by was w nienstannój miał straż? odebraloby to braciom niechętnym wszelkie do opiekowania się wami prawo?

Wdowa spojrziała na Kaźmierza i smutne przybrała oblicze.

— Nie, miłościwy książę — odparła głowę potrząsając — męża nie chcę, ani imgo opiekuna nad was.

Wichfried w czasie rozmowy, namyślnie trzymał się zdala, książę chłodnym się być starał, a wdowa tém usilniej wszelkiemi sposoby chciała przełamać te lody, przynilając natrętnie. Przy pierwszém posłuchaniu poznała Kaźmierza i czuła siłę swoją. Książę już się do odjazdu zabierał, a ofiarowanego mu napoju, w którym może czarów się lękał, przyjąć się wzdragał, gdy Dorota widząc, że się jój ofiara wysliznąć może, zastąpiła mu drogę, pod pozorem sprawy swój rozwodząc się nad nieszczęściem, nad prześladowaniem, nad dola wdowią. Mówiąc o tém, przybliżała się, ścisłała za kolana, chwytala ręce, uśmiechała z zanniemych łez, spoglądała wyzywająco...

Niewieście te zabiegi w końcu dopięły celu,

Każmierz o pierwszém swém postanowieniu zbywania jęj chłodno, zapomniawszy, kołpak, który w ręku trzymał, rzucił, siadł i począł swobodniejszą rozmowę.

— Bracia muszą się gniewać na was, piękna Doroto — rzekł do nięj — kiedy wieczorami takich jak ja i Wichfried gości sam na sam przyjmujecie! Ludzie mówią na starego wojewodę, że i ten lgnie do was, a drudzy i o wielu innych!

— Miłościwy książę — odparła wdowa — co na to rzec? Zazdrośni, którym drzwi zamykam, wymyślają na mnie. Wojewoda! — musiałam go prosić, aby mnie bronił, ale kto mi go wyrzuci, powinienby mu w zęby zajrzeć. — Innych nie znam. — Choćbym kiedy zalotną była a płochą, to nie dziś już...

Spojrzała tak na księcia, iż się zarumienił — oczy mu błysnęły... Cichsza i poufalsza zawiązała się rozmowa, tém swobodniejsza, że Wichfried wyszedł do przedsieni, niby koni patrzeć i zupełnie samych ich zostawił. Po dosyć długiej chwili dopiero Kaźmierz wstał, a Dorota ciągle śmieszkami i szeptami go przeprowadzając, wyszła aż na podwórze. Ciemno już było w uliczkach, gdy Wichfried niemówiąc nic, bocznemi ścieżkami do zamku go odprowadził.

Przez całą drogę nie rzekli słowa, zsiadając dopiero książę odezwał się do Wichfrieda.

— Nie dziękuję ci, choć gwoli rozrywce za-

wiodłeś mnie tam, bo zamiast niej boję się, aby mi nowych pęt nie narzucono!

Przy wieczerzy dnia tego weselęj już było, a Wincenty znowu dobrawszy parę pięknych historyj, księcia starał się zabawić niemi.

Tak upływały dni na zamku. W dworcu Biskupim daleko się czynniiej zajmowano przyszłością. Postanowiono tu, nie księciu nie mówiąc, księżnę Helenę z synkiem sprowadzić do Krakowa, aby już pozoru żadnego powrotu do Sandomirza niebyło. Z drugieij strony zabiegliwy a niezmordowany Stach, od rana do wieczora chodził, śledził, starając się odwrócić coby groziło, a księcia moeno na stolicy osadzić.

Człowiek był na pozór bez znaczenia i siły, ale przezorności i zabiegliwości niezmierniej. Począł od tego, że po noclegu u Juchima, na dłuższą go wzięwszy rozmowę, zyskał, jak mu się zdawało, w nim sprzymierzeńca. Skarbny potrzebował i bezkarności za przeszłość i na przyszłość zapewnienia. Choć z ostrożnością wielką i wahaniem Juchim rozmówił się otwarciiej ze Stachem. Był nawet po swojemu szczerym w téj chwili, ale u niego zmieniały się usposobienia stosując do czasu.

Stachowi zdało się potrzebą zyskać w nim pomocnika.

— Chceciełi być cali — rzekł mu — bądźcie wierni Kazmierzowi, oddajcie mu się szczerze,

pomagajcie nam co z nim jesteśmy, aby go od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronić, radźcie, czynicie — wyjdziecie na tém lepiej niż na powrót Mieszka czekając, który niepowróci nigdy. Ja dla was starać się będę.

Juchim był zrazu milczący i oględny, bąkał i na słowa wyciągał więcej niż sam się wywnętrzał, powoli jednak mówić zaczął.

— Ja ? co ja wam pomódz mogę, albo radzić ? — rzekł — nie moja to rzecz. Umiem tylko pieniądze liczyć, zamykać i pilno strzedz ich ; wam kto innyby był przydatnym, co głowę ma obrotną i język, a oczy bystre.

— Któż taki ? — zapytał Stach.

— Nie bójcie się, ani brzydziecie nim — rzekł żyd — ten co was sądził. Mierzwa ! To człowiek dla księcia !

Stach dobrze go sobie, choć ze wstrętem przypomniał, ale dziś gotów był użyć kogokolwiek, byle Kaźmierzowi zyskać pomocników.

Posłano po Mierzwę. Przewrotny tchórz na zawołanie się stawił. Wszedł uginając się do kolan, bijąc w piersi, zawracając oczy, słodki nad wyraz i łagodny. Począł od tego, że Kaźmierza zawsze czcil i kochał, a Mieszkowi ubogi człek z musu służył.

— Jak sądziecie, wy co go znacie — spytał Stach, Mieszek nie będzie li się kusil o odzyskanie Krakowa ?

Mierzwa pomyślał.

— Czemu nie? — odparł — owszem, uczyni to pewnie, jeżeli tylko będzie mógł — ale można się starać, aby tego niedopuszczyć.

Tajemniczo rzucił to słowo znaczące. On i Juchim spojrzeli po sobie.

— Jakim sposobem? — wtrącił Stach.

Mierzwa już z pierwszej pokory, wiedząc, że potrzebnym być może, przeszedł do tonu handlarza, który towar sprzedaje.

— Hm! — rzekł — trzeba na to przebiegłości, trzeba zabiegów. Sposoby są różne, ale kto rady daje, musi o sobie pamiętać.

Spojrzał w oczy pytającemu.

— Ręka rękę myje — dodał z półuśmiechem.

— Bądźcie pewni — zrozumiawszy go, odparł Stach — że znajdziecie silne ręce za dobrą radę. Ja — niewiele mogę — ale dam wam opiekę tych, co dziś mogą wszystko.

Mierzwa śmiejącami się oczkami podziękował mu i głowę skłonił.

— Człek jest biedny — rzekł z pobożnym westchnieniem — żyć każdy potrzebuje, a jak o sobie sam nie pamięta — —

— Mówcie tylko — przerwał Stach — a możecie mi zawierzyć, że darmo nie popsujecie gęby.

Pod-Sędzia z tajemniczą postawą zbliżył się do Stacha i szeptać począł.

— Mieszek poszedł, ustąpił, bo musiał, ale

wprost pociągnął do Gniezna i Poznania zbierać tam swoich i Pomorzany. Z Kietliczem się tu naradzali, aby ślać do ks. Sobiesława do Czech i do zięciów na Niemce. Ano — z tamtąd pomoc albo nierychła, lub żadna.

Tu przestał mówić nieco Mierzwa i znowu przybrał inną postawę i minę — głos nawet jego spoważniał i namięcił się proročzym natchnieniem.

— Wszystko to się rozbije i pójdzie w niwecz — rzekł — gdy się jednego zażyje sposobu. Starszy syn Mieszka Otto, dla was drogie narzędzie! Zniecierpiał on macochę naprzód, potem ojca dla srogości jego, jako pierworodny do Poznania rości i ma prawa — pełnoletni jest, ambitny. — Uszedł już ojcu i wypowiedział posłuszeństwo. Zyskać go trzeba. Niech książę Kaźmierz puści mu Poznań od siebie, Mieszkowi pod nogami ziemi zabraknie.

Dokończywszy Mierzwa się uśmiechnął zwycięzko i obejrzał do koła.

— Jaki? syn, poszedłby na ojca? — spytał Stach zdumiony.

Mierzwa szydersko usta skrzywił.

— Ja go znam — rzekł — pójdzie! Ojciec go niecierpi, bo macocha mu serce doń popsuka. Otto go ma za wroga.

Juchim pokiwałszy głową, jakby się dziwił rozuinowi przyjaciela, szepnął.

— Kiedy on mówi, tak musi być! on ich zna wszystkich!

Rada była niepocziwa, zdradziecka, przewrotna, Stach zadumał się mocno, zdała mu się niegodziwą.

— Możeż to być? — powtórzył — i przystałoż księciu takim sposobem się ubezpieczać?

Nie odpowiedział Mierzwa, tarł tylko brodę silnie i małemi oczkami biegał dokoła, wracając ciągle do Stacha.

— Jestem biedny człek obciążony rodziną — dodał wyczekawszy. — Co mam czynić? Gdybym wiedział, że sobie łaskę zyszczę i chleba kawałek, gotówem podjąć się pośrednictwa! Zatrzymał się nieco i dodał.

— Ja to zrobić mogę!

— Ale — rzekł znowu wytrzymawszy chwilę — potrzeba na to dobrego słowa i dobrych pieniędzy.

Stach dumał jeszcze, gdy Juchim rzekł po cichu.

— No, co? a gdyby na początek w skarbie pieniędzy nie było? Znajdę ludzi, co pożyczą, byle im mennicę dać w dzierżawę. My księciu dobrze radzim i dobrze usłużyć chcemy.

Wahał się jeszcze Stach, gdy Mierzwa dołożył.

— Tego nikt nie zrobi tylko ja. Poślecie innego, sprawę popsowa — albo ja, lub nikt. Ottona znam, wiem gdzie go szukać.

— Czekaścież na mnie, przyniosę wam odpo-

wieść, a bądźcie pewni, że szczerze służąc, zyszczecie więcej, niż knując zdradę! — rzekł Stach w końcu.

Żyd i Mierzwa zakrzyknęli głośno przeciwko samemu o zdradę posądzeniu, oba już tak kochali Kaźmierza, że życie zań dać byli gotowi.

Z południa, zostawując konie w gospodzie, Stach wyszedł z niej i pomyślawszy nieco, udał się wprost na dwór biskupi. Tu się teraz wszystko skupiało.

Przystęp nie bardzo był łatwy, oblegano Gedkę, ale Stach powiedział kapelanowi, iż szło o bardzo ważną sprawę, która się księcia tyczyła prosząc, aby go niezwłocznie wpnszczono, a szyję stawiając za to, że darmo nie zabierze czasu.

Po chwili otwarto mu drzwi do komory, do której i biskup wszedł zaraz a zobaczywszy niepocznego i nieznajomego czleka, zrazu się zachmurzył.

Stach dostrzegł tego, pocałował go w rękę i odezwał się.

— Niech wasza przewielebność nie zważa, żem człek mały i nieznaczny, mali się też czasem na coś przydać mogą, gdy o wielkie chodzi sprawy.

— Mów, a krótko. Czego chcesz? — odparł biskup surowo.

Stach pokrótce ale dobitnie opowiedział, jakim sposobem zabiegi Mieszka można było zwichnąć. Powtórzył co od Mierzwy słyszał.

Gedko słuchał z natężoną uwagą, niekryjąc wstrętu, jaki to w nim budziło. Popatrzył na człowieka i zapytał go dopiero kto był? dlaczego tak gorąco jął się sprawy?

Stach ukląkł przed nim i ręce złożył.

— Przyjmijcie, ojcze, spowiedź moją — odpowiedział. — Wam tylko wyjawić mogę, kto jestem. Jam ten grzesznik śmierci godzien, com pana naszego Kaźmierza niegdy w zapamiętałości uderzył, ten, któremu on przebaczywszy, darował życie. Od tej chwili żyję tylko, abym go bronił, abym mu służył, abym mu dał tę krew, której oszczędził. Wam się powierzam ojcze...

Zdziwiony mocno biskup stał chwilę niemy, rękę zwolna położył na głowie klęczącego i pobłogosławił go.

— Mogę więc wam zawierzyć i posłużyć się wami — rzekł po namyśle. — Czyń, co sądzisz, że można i godzi się, czyn i milcz, mnie z tego bédziesz zdawał sprawę.

Kapłan jestem — dodał — nie godzi mi się rąk maczać w znowę taką, gdzie się zdrada knuje, choć gdy idzie o wybawienie państwa z więzów i niewoli, Bóg wiele przebacza.

Lecz jestżeś pewien tych ludzi?

— Nie byłbym ich pewien — odparł Stach tradowany — gdybym sam nie miał czuwać nad niemi. Nie spuszczę ich z oka i w ręku dzierzeć będę.



Nie chciał więcéj już biskup wiedzić o nicém, dopytując tylko o przeszłość Stacha, o to, co czynił, gdzie był, jak się zachował po ocaleniu życia, badał go jak na spowiedzi, próbując człowieka. Na wszystko to odpowiadał on ze szczerością i skrucą, która serce kapłana ujęła. Przyrzekł mu powierzona zachować tajemnicę, nawzajem żądając, aby ją w stosunkach z nim zachował. Nakoniec dał mu błogosławieństwo i rzekł wychodzącemu.

— Wedle sumienia czyń, a tego co uczynisz nie głóś. Bóg z tobą!

Stach wyszedł uszczęśliwiony. Wprostby był pośpieszył do swéj gospody, gdyby po drodze nie spotkał go Jaśko Bogorja wracający od miodu i dobrze podchmielony. Ten gwałtem go pochwycił.

Wyrywał mu się niecierpliwy Stach, ale z rąk napastliwych wyzwolić się było trudne. Jaśko potrzebował towarzysza i słuchacza. Ciągnął go znowu do wdowy.

— Piękna Dorota już tu mieszka — rzekł — gospoda miła, gospodyni piękna, a drzwi otwarte zawsze, gdy takich jak wczora nie ma gości.

Rozśmiał się, okiem pomrugując.

— He? — spytał Stach.

— Wichfried — szepnął Jaśko — zawiózł jćj wczoraj księcia, a kto tam raz wpadnie, nie dobędzie się łatwo. Dawno ona na niego łapkę stawiała!

Stach ręce załamał.

— Płatki są! — zawołał.

— Jako żywo, prawda — rzekł Bogorja. —
Z polowania tam jechali wprost i siedzieli długo.
Wichfried w progu wartę odprawiał.

Żgnęło to jak mieczem w serce Stacha, bał
się zły niewiasty i nienawidził ją. Nie pokazał
jednak po sobie nic, oprócz zdumienia.

Teraz już stanowczo wyrwał się Bogorij, ku
któremu zdala inni towarzysze, równie jak on we-
seli, ciągnęli — i pobięł do swęj gospody.

Zastał tu oczekujących Juehima i Mierzwę,
którego blada twarz drgała z obawy i niecierpli-
wości, aby mu się robota niecna, jaką się chciał
zasłużyć, nie wymknęła. Obstąpili go oba z oczów
chcąc wyczytać, co przynosił.

— Cóż mnie czeka? — zapytał podsędzia.

— Wybierajcie się natychmiast z posługą, do
której oświadczyliście się z gotowością — rzekł
Stach. — Uda się li to, będziesz sownie wynagrodzony. Musisz mi jednak wprzód poprzysiądz,
że sprawa ta między nami tajemnicą zostanie.
Możecie oświadczyć Ottonowi, aby słał poselstwo
lub sam przybywał, a będzie miał Poznań, byle
wiarę poprzysiągł i dotrzymał...

Mierzwie twarz się uśmiechnęła.

— Jakaż pewnośc dla mnie? — zapytał.

— Moje słowo — rzekł Stach — więcej nie

mogę dać nic. Dobrze li ono wam zgoda, nie? więcój nie nie dam, bo nie mogę.

Juchim z Mierzwą popatrzyli na siebie i na mówiącego, Stach miał tak rycerską pewną siebie postawę, iż nawet w ludziach nieufnych wiarę obudzał.

Zamilkli oba, słowo jego starczyło im. Juchim ofiarował się pożyczyć pieniędzy potrzebnych, wając sobie wydzierżawienie mennicy, o które Stach mu się starać przyrzekał. Mierzwa niezwłocznie miał się w drogę wybierać i już odchodził, gdy Stachowi myśl jeszcze przyszła wyprowadzić go razem do panów z Tęczyna, aby od Doroty wyzwolić Kaźmierza.

Znano ich jako zwolenników Mieszka, nie kwapili się więc do nowego księcia i nie pokazywali wcale. Stach chciał ich pozyskać dla niego razem i przez nich Kaźmierza od niewiasty złej odstręczyć.

— Powiedz im — rzekł do Mierzwy — niechaj śmiało przybywają pokłonić się księciu naszemu. Pan wielkiego serca na nikim mści się nie będzie. Niech przyjdą, a sprawę swą z siostrą położą przed nim, powiedzą, jaką była życie całe, że zakała im i srom czyniła, niech nie kryją nic, ani szczedzą nikogo. Książę sprawiedliwym jest, i poszanuje w nich boleść słuszną, a niewiastę płochą, którą mu się opiekować każą, precz odeгна.

Poselstwo to, na którém u bogatych ziemian coś zyskać było można, Mierzwie przypadło do serca; podjął się go ochoczo bardzo, zwłaszcza, że zjechać do Tęczyna nicwiele mu z drogi było.

Tak w krótkim czasie uczyniwszy, jak mu się zdawało, wiele, że się był przyrzekł Bogoryi, szukać go poszedł przed wieczorem dodworku Leszczyca...

W ulicach ciągle jeszcze ludno i gwarno było, weselćj niż przed laty. Śpiewami i gędźbą rozlegało się miasto, ludzie sunęli gromadami, pobrawszy się pod ręce zawodząc pieśni. Kraków do owego milczącego i ponurego jakim go znano za Mieszka, nie był dziś podobny. Szedł Stach zwolna ciesząc się tą radością powszechną, gdy syknięcie posłyszał, a przed sobą ujrzał nieznanomego młodzieniaszka na koniu, za którym jechało sług kilku.

Zdziwiło go dane hasło, bo wpatrując się pilno, tego, który mu znaki dawał, aby się zbliżył, rozpoznać nie mógł. Podeszedł jednak ku niemu wlepiając ciekawe oczy, twarzy téj pięknej przypomnieć nie umiejąc.

Młodzian konia trochę na stronę ściągnawszy, Stacha prowadził za sobą.

— Nie poznaliście mnie? — odezwał się głos, który więcej niewiastę niż mężczyznę wydawał. To mówiąc, młodzian się smutnie uśmiechał.

- Znam że ja was? wy mnie? — spytał Stach.
- Przypomnijcie sobie!
- Nie! — rzekł zapytany — nie mogę.
- Widzieliście mnie w Sciborzycach, choć nie w męskiej odzieży, — jam brata nie mając, często zmuszona być mężczyzną.

Zdziwiony patrzył Stach na nią. Była to owa piękna Jagna, która spoglądając na niego boleśnie zbierała się na uśmiech smutny.

- Naprawdę — rzekł — trudno bo się domysleć było, że wy w ten tłum, gwar i wrzawę, puściecie się tak samopas.... ledwie z czeladzią.

Dziewcze się zarumienilo mocno.

- Dla ojca to musiałam uczynić — odparła prędko — tak, dla ojca. Ojciec miłuje wielce księcia Kaźmierza, u nas różne chodziły wieści. Na strasznych nie zbywało. Nie mieliśmy kogo posłać coby wiedział, jak pytać i rozpatrzyć się, pojechałam sama. Mówcie mi, bo wy to dobrze wiecie — pewien li Kaźmierz stolicy i panowania? Nie grozi mu tu nic? Rad li temu, co się stało? Nie trwoży się, nie opiera? Wszystko mi mówcie.

Zarzucony pytaniami temi Stach, milczał. — Zawiele bo na raz wiedzieć odcennie chcecie! zawołał.

- Wszystko to potrzebuję wiedzieć!
- Ależ nie w ulicyby o tém prawić — odparł zapytany — w gospodzie gdzieś moglibyśmy się rozmówić.

— A! ja gospody żadnej nie mam, a podobno i znaleźć jęj tu teraz trudno — odezwała się Jagna śmiało. — Wiecie kto jestem, więc zrozumiecie że zajechać lada gdzie nie mogę, albo mi się tu i całkiem stać nie godzi.

Stach więc zbliżył się do konia, na którym dziewczę siedziało i począł go idąc uliczką prowadzić za sobą na ustronniejsze miejsce

— Spocząć że wam trzeba! — odezwał się.

— O! wyjechawszy ztąd, w polu odpoczne — rozśmiała się Jagna.

— Nie obawiacie się?

Dziewcze śmiechem jeszcze odpowiedziało.

— Na moim koniu trudnoby mnie kto dognać — rzekła — z łuku ja pewnie nie gorzej strzelam, jak wy. A wręście od czego mój stary, wierny Hreczyn, który mi towarzyszy!

Kazała mu mówić potem, dopominając się chciwie o wszystko, co się Kaźmierza tyczyło. Stach musiał być posłusznym. Pochyłona ku niemu chwytala każde jego słowo, ale odgadnąć było trudno, czy to, co słyszała, radowało ją czy smuciło. Czasami oddychała ciężko, marszczyło się czoło, usta zcinały, to znowu twarz rozjaśniała. Zarzucała go pytaniami. Trwało to dosyć długo, noc już zapadała, Jagna wręście konia, który stał z głową zwieszoną, cugłami ściągnęła, ręką zlekka uderzając Stacha po ramieniu.

— Niech Bóg płaci! — zawołała. — Wy go kochacie i chłop z was dobry.

To mówiąc, spojrzała w tył na Hreczyną, który wejrzenie zrozumiał, raz jeszcze powtórzyła: Bóg zapłać! i klusem wyciągniętym puściła się za miasto.

Stach długo spoglądając za nią, stał jak wkuty, dziwną mu się wydała, ale tak miłą, jak żadna... I zadumał się, zadumał, potem ręką rzucił i szedł do dworku Leszczyca.

III.

Każmierz w Krakowie zawsze się jeszcze za gościa uważał, mówił o tém przy każdej zręczności codziennie, zagadywał kilkakroć o wyjeździe do Sandomirza. Lękając się tego biskup, jakeśmy mówili, przygotowywał mu niespodziankę, która go tu przykuć miała — przybycie księżnej Heleny z synkiem.

Gdy Kaźmierz wspomniał o powrocie do Sandomirza, Krakowianie kłaniali mu się do kolan i pół poważnie, pół żartobliwie odpowiadali — Nie puścimy! Biskup Gedko wołał, iż na drodze stanie a zaprze mu ją sobą. O przyjeździe księżnej już postanowionym, mowy jednak nie było, chciano bowiem, aby ona przybyła tu, jakby z własnej woli, z tęsknicy i obowiązku.

Goworkowi książę z Krakowa odjechać pozwolił, polecając mu pieczę nad zamkiem i ziemią całą. Gdy wyjeżdżał a pytał, coby przysłać z Sandomirza, Kaźmierz nie zażądał nic, choć mu tu na wielu rzeczach, do których był przywykł, zbywało.

Jednego dnia, gdy się na łowy wybierał, z których teraz powracając prawie zawsze dawał się wieczorami zaciągnąć do wdowy, oznajomiono mu iż dwaj bracia jój przybyli do niego.

Wichfried, który o nich wiadomość przynosił, nie miał ani radości z tego, że przybywali oddać pannę swemu hołd należny, ani pewnej obawy, aby na wdowę nie nastawali.

Bracia z Tęczyna, ludzie wielkich dostatków, ród Toporezyków, jeden z najstarszych w krakowskim i najważniejszych, wybrali się na dwór pański z okazalnością, jaka im przystała.

Ociągali się z tem długo, spodziewając Mieszka powrotu, ale gdy czas uleciał, niebezpieczeństwo wzrastało, a w końcu Mierzwa przybył z zapewnieniem że śmiało jechać mogą, stawili się na zamek.

Kaźmierz jak był dla wszystkich łaskaw i dobrotliwy, ku nim też wyszedł z twarzą pogodną. Młodszego z nich znał niegdyś, bo ten z Henrykiem jeździł na wojnę i łowy. Stali dwaj rycerze we zbrojach pięknych, przy mieczach i pasach, odziani, jak do pana należało, ale z twarzami po-

sępnemi. Po pierwszym pokłonie, starszy Dobrogost poczał.

— Przybyliśmy miłości waszej czołem uderzyć jako panu, którego ziemia nasza sobie wybrała, będziemy wam służyli wiernie, tak jako nie zaprzeczamy, żeśmy bratu waszemu służyli.

Kazimierz się nśmicebnał.

— Jam tu — rzekl — jeszcze nie ksiązęciem na stolicy, ale jako rozjemca. Mam nadzieję, że się z Mieszkiem przedjednają, bo zgoda potrzebna.

Na to zmilezeli, a Sędziwój młodszy dodał po chwili.

— Myśmy też do miłości waszej ze skargą i żalobą przyszli na rodzoną naszą, na siostrę Dorotę Róźycowę, która nam srom czyni. Opieki braterskiej znać nie chce, posłuszeństwo wszelkie głowie domu wypowiedziała, a wiedzie się i na wstyd niewieści i na wszelkie bozkie i ludzkie prawa nie patrząc.

Książę słuchał zarumieniony.

— Długoby o tém prawić — dodał Dobrogost — boć to się nie od dziś poczęło. Ojciec nieboszczyk od pieluch ją pieścił, nie chciała potem znać nikogo oprócz swój własnej woli. Za lada chłopca mizernego wydać się myślała naprzód, który zgiął. Męża zamęczyła. Z wojewodą Szczepanem w miłostki się wdala jawne, za które go biskup wyklinać chciał. Siłaby opowiadać czego

uszy pańskie słuchać nie mogą. Srom i hańba dla nas, a upamiętania nie zna.

Po namyśle książę się odezwał.

— Prawdali to wszystko, co o niej mówicie? bo ludzie są źli, a niewiasta bezbronna.

— Cała ziemia patrzyła i widziała co poczyniała Dorota, świadków dosyć jest — rzekł Dobrogost.

— Z niewiastą — odparł Kaźmierz — wojna wam nie przystała, a na siostrze rodzonej gwałt popełniony sromu tylko przysporzy. Dajcie jej czas do upamiętania, wybierzcie dla niej męża statecznego, poślubcie ją komu, odpowiedzialność z was spada.

Sędziwój rzekł z pogardliwym uśmiechem, że dla Doroty męża nie znajdzie nigdzie, bo choć urodziwą jest i nie bez wiana, osławioną też i płochą.

— Jedno tylko pozostaje miłościwy panie — rzekł śmiało Dobrogost, zamknąć ją za kratę i posadzić, aby pokutowała, inaczej już szaleć nie przestanie.

— Na to ja, jeżeli mnie pytać będziecie, nie pozwolę — zawołał Kaźmierz. — Należy się słabej niewieście czas, miłosierdzie, pobłażanie. Uczynicie to, proszę was, abyście nie poczynali nie gwałtownie, tego po was żądam i wymagam, a ja starać się będę, aby przez poważnych ludzi i nie-

wiaasty skłonić ją do małżeństwa. Tak się wszystko zakończy i zapomni.

Bracia spoglądali milcząc po sobie.

— Na siedzącą tu pod bokiem waszym — rzekł Dobrogost — nie porwiemy się, kiedy taka wola pańska, lecz żeby z tego miało co być prócz nowego dla nas wstydu, zawczasu wiemy, że nie. Wy, miłościwy panie, nie możecie wiedzieć, ani byście wierzyć chcieli, jak złą i przewrotną ona jest, choć ze krwi siostra nasza. Poprawy po niej się nie spodziewać, poślubi ją kto, zdradzi go, jak innych zdradzała.

Nie dał im dłużej mówić książę.

— Rozżaleni przeciw niej jesteście — odczuwał się — słuchacie złych ludzi, gniew nie dobry doradzca, proszę więc, dajcie jej czas, a nam też abyśmy los dla niej lepszy obmyśleć mogli.

Bracia z Tęczyna zachmurzeni zamilczeli; chciał potem Dobrogost mówić coś jeszcze, książę mu powtórzył swoje, że gwałtu czynić nie da, a sam w opiekę ją bierze.

A że rozmowa ta przykrą mu się stawała i rad był ją coprędzej zakończyć, przerwał zagajając o sprawach ziemi krakowskiej, o zgodzie, pokoju i przejeździe, którego się spodziewał.

Bracia oba słuchali w milezeniu, poczem z dumą, bez wielkiej uniżoności go pożegnawszy oddalili się, nie ponawiając już zapewnienia wierności swojej.

Kaźmierz jak z przykrością słuchał, tak wielce łaskawie się pożegnał, ale gdy na powrót do komnaty swój wszedł, zadumał się mocno nad tém, co słyszał od nich

Wichfried wnet pośpieszył za nim, nie dając z temi myślami samemu pozostać.

— Miłościwy książę — począł — braci tych znają tu wszyscy, zazdrośni są i mienia siostry chciwi, przeto ją szkalują. Prawdy w tém co mówią, mało lub nie. Prześladowali ją od dziecka, sami na nią czernidla wymyślali i puszczaali, aby mieć pozor do zagarnięcia tego, co ojciec jój zostawił. Niewiasta piękna, nie może być, aby się w niej nie rozmiłowywali ludzie, rada pewnie temu jak każda inna, ale złego tam nie tyle, co na nią rzucają.

— Bodajbym ja był jój nie zwał! — przerwał mu książę z goryczą. — Sam to sobie za grzech mam, że i ja przystałem do niej do zbytku. Kajam się z tego przed sobą, winienem, ale i ty nie bez grzechu Wichfriedzie, boś mnie do niej ciągnął.

Pogroził mu.

— E! grzech ci nasz obu niestraszny! — rozśmiał się Niemiec.

— W pęta się dać zakuć łatwo — westchnął Kaźmierz — a uwolnić z nich, jak z kajdan, trudno bez zgruchotania kości.

Rzekł i zamilkł, a Wichfried rozmowy nie przedłużał.

Tegoż wieczora, gdy się najmniej spodziewano, przybył Jaksza z miasta oznajmując księciu, iż ludzie z Mogiły jadący opowiadali o księżnie Helenie, która z synem i dworem do Krakowa ciągnęła.

Wiadomość ta mocno poruszyła Kaźmierza, nie tylko zdziwienie okazał, ale frasunek i niecierpliwość z powodu, że rozkazów jego nie czekając, księżna sama tak pospiesznie się i nierozważnie z Sandomirza wybrała.

Nie było już sposobu zaradzić na to, a gdy inni na spotkanie księżnej jechać się wybierali, musiał też i Kaźmierz na koni siąść, i posepny jechał przeciw żonie.

Goworek na kilkanaście staj wyprzedzający ją, opowiedział księciu, iż z tęsknoty i niepokoju o męża, dłużej wytrwać nie mogła, a za to raczej dziękować niż gniewać się przystało. Przywitał Kaźmierz żonę, jak zawsze ze czcią wielką, synaczka, którego kochał bardzo, na koni do siebie wziął i tak cały orszak zatoczył się na Wawel, gdzie go biskup Gedko też witał.

Z książną razem wszystko co do jej ruskiego i polskiego dworu należało, przyciągnęło, niewiasty na wozach, skrzynie malowane i złożone, sprzęty, konie, aż do zabawek dziecięcych, cze-

ładź, stróże, tak że zamek Sandomirski prawie pustką musiał pozostać.

Na Wawelu téż zaraz życie się inne wzięło, książę postrzegł z przerażeniem, że gościem tu już dłużej nie mógł być, a panem być musiał. Komnaty dotąd niezajęte, wnet wszystkie czyścić, umiatać, obijać, zaścielać i zastawiać poczęli ludzie, księżna Helena po matce Leszkowej zajęła izby. Nie wiele wesela jednak z tą panią przybyło, która z usposobienia smętną była, troszczącą się do zbytku i lękliwą.

Każmierzowi najmilszym był chłopak jego, którego na kolana mógł wziąć, wyściskać i sercu dać pociechę.

Wieczorem dnia tego Wichfried pobiegł do wdowy aby jej o posłuchaniu braci zdać sprawę, a siebie téż przypomnieć, bo, choć księcia do niej prowadził, sam téż o łaski pilno się starał. Nie-wiasta była takiego czaru i mocy niepocziwój, że się do niej nikt bezkarnie zbliżyć nie mógł i być obojętnym, gdy się nań naposiadła. — Z dwojga jedno, rozpadali się za nią jedni, nie-nawidzili drudzy.

Wichfried zastał ją samą, poruszoną gniewem wielkim, z włosami rozpuszczonemi, mało co przy-odziałą. Szalejąca tak, że mu wchodzącemu słowa rzec nie dała, przypadła doń ręce łamiąc.

— Zmówili się wszyscy na mnie nieszczęśliwą, — poczęła wyrzekając gwałtownie. — Wiem

już wszystko, nieprzyjaciele moi księżnę tu sprowadzili, aby on za próg się nie mógł oddalić. Albo jęj to źle było w Sandomirzu? Po co ona tu? Nabechtano braci aby przybyli ze skargami i potwarzą. — Cheą mnie zgubić!

Wichfried dawszy się jęj wygniewać, począł dopiero opowiadać jaką Kaźmierz braciom dał odprawę, że im zabronił aby się na nią porywać śmieli.

— Co do księżnej pani — dodał, — potrzeba jęj tu było, aby Kaźmierz nam do Sandomirza nie uciekł. Z nią tak samo jak bez nięj, bo władzy nad mężem niema, a jako jęj nie kochał, tak i kochać nie będzie.

Trochę się tedy uspokoiła, pytając Wichfrieda czy był przytomny gdy ją przed księciem bracia bezcześcili.

— Byłem przy panu, — odparł niemiec.

— Cóż potém? nie powziął do mnie wstrętu? — badała ciekawie.

Śmiał się Wichfried. — Wstrętu do was mieć trudno — rzekł, — a że strach ma, abyście go nie spętali, o tém dawniej i teraz mówi.

— O! nie dam mu się wyśliznąć! nie — krzyknęła Dorota — uczynię wszystko abym go pozyskała na zawsze. — Życie dam gdy trzeba, bo bez niego mi chyba umierać!

Moim mnsi być! — dodała gwałtownie oczy sobie zasłaniając.

Wprędce jednak zmieniła usposobienie, widząc że niemiec posmutniał, wzięła się do niego, okazując przyjaźń wielką i zaręczając że najmilszym jej jest po księciu. Łacno go znów ujęła i dała mu zapomnieć o wszystkim.

Nie prędko postrzegłszy że wybiegła do niego nieodziana jak zwykle, zawstydzwszy się, wyszła przykazując by czekał na nią. Wysłała mu wino i jedzenie, a wkrótce wróciła już strojna, wesół, załotna, nie szczędząc ani słów, ni wejrzeń, ni przymilań; co przy pomocy wina, upoiło Niemca tak dobrze iż jej na wierną przyjaźń i posługę, palce złożwszy, poprzysięgał. Sam już nie wiedział co się z nim działo. Domagał się pocałunku, od którego gdy mocniej jeszcze rozgorzał wdowa go ze śmiechem za drzwi wypchnęła. Niewolnikiem już był.

Gdy wdowa rozmyślała o środkach jakimi by księcia mogła uwikłać, bodaj czarów i napojów używając do tego, o które się starać miała, Stach równie gorliwie pracował by się pozbyć niebezpiecznej zwodnicy. Zaledwie bracia z Tęczyna ze dworu zjechali, pobiegł dostać języka o nich.

Sam jednak przystępu do nich nie mając, Jaśka Bogorję na to nasadził.

Rodzin wiele spokrewnionych z Toporeczykami gościło w Krakowie, które się z nimi spotkały gdy na zamek jechali i powracali z posłuchania. Znano ich jako prawie tu jedynych sprzyjających

Mieszkowi, obawiano się aby mu do jakich kno-
wań nie pomagali, uradowało się więc ziemiań-
stwo widząc ich z pokorą na Wawel jadących,
ale gdy z niego nazad wracali, a w mieście się
zatrzymali, gdzie ich krewni i powinowaci obstå-
pili, postrzeżono iż chmurne twarze przynieśli.

Ten i ów rad był ich wyrozumieć co o Kaźmie-
rzu trzymali, nie wydali się z tém, żaląc tylko
gorzko iż siostry na ich wolę zdać nie chciał.

— Mieszko srogim był — dodał Dobrogost, —
ale wiedział gdzie i jak srogości zażyć, nie prze-
baczyłby i niewieście, ład i postrach byłby wpro-
wadził, a tego nam potrzeba.

Nie mówili więcj, ale widać było iż urazę
mieli do księcia i do niego się nie skłonili. Zie-
mianom nie dając się wciągnąć w ucztowanie
żadne, na dwór biskupi nie zajechawszy, krótko
zatrzymawszy się w mieście, poszeptali z temi
których jako Mieszkowych znano i na konie po-
siadali z powrotem do Tęczyna. Stał dowie-
dziawszy się o tém, pomyślał że ich z oczów
spuszczać nie było można, bo pewni nie byli.
Na dworze też wybadać usiłował, jak książę
przyjął to co mu o siostrze mówili bracia i wy-
pytał że Wichfried nie dał pono wdowie krzywdy
w sercu pańskiem uczynić, ujmując się za nią. —
Szło mu o powagę pańską, której miłości te ujme
czyniły, ale więcj już na teraz radzić nie umiał.

Sam on w téj chwili, o księżęcia serce się

troszcząc, popadł pono w to od czego chciał go ochronić. Piękna Jagna już po Ściborzycach na myśli mu stała ciągle, teraz powtórne z nią widzenie i rozmowa, jeszcze go bardziej do niej pociągnęły.

Chodziła za nim jak widmo, niepokojąc oczyma, które widział ciągle przed sobą.

— Licho nadało — mówił do siebie — abym ja teraz, gdy młodość moja za mną już, gdy mi życia nie staje na wszystko co do roboty mam, jeszcze sobie serce psował dla jednej dziewczuchy która na mnie i patrzeć nie chce!

Plunąć na marę!

Chciał plunąć, ale zaponmieć mary tej nie mógł. Dziewcze dumne, śmiałe, piękne, stało mu na myśli. Wiedział że próżnoby się tam kusił, gdzie lepszym od niego odprawę dano; lecz sercu i namiętności rozkazać trudno, a nie łatwiejsza rzecz w dojrzałym wieku pokonać je jak w młodym. Młodzieniaszkowi jedna niewiasta drugą z piersi wygania, w starszym tkwi co raz wpadło, a wyrwać bez bólu nie można.

Stach się tém pocieszał że Jagny nie ujrzy rychło, a jak to już nieraz bywało, czas i ważniejsze sprawy pamięć o niej przysypia.

O Mierzwie, który zaraz z Krakowa precz pojechał, słychu jeszcze nie było.

Biskup, który z Gniezna i Poznania o zabiegach Mieszka miał wiadomości, troskał się nie-

mało przyszlōścią, ziemian i rycerstwa nie rozpuszczał, na miasto i zamek obawiając się jakiejś napaści. Wiedziano iż się wygnany nie łatwo da zmōdź, że Kietlicza z sobą prowadził, który się kręcił po dawněj dzielnicy wielkopolskiej, że na Pomorze słano i jeżdżono, tam sobie sprzymierzeńców jednając.

Tajono to wszystko przed Kaźmierzem, który zdawał się czekać tylko na jakikolwiek krok brata, aby z nim wejść w porozumienie i ustąpić ze stolicy.

Tak stały rzeczy, gdy późném już jakoś latem po długiej ciszy i pozornym spokoju, przerywanym tylko doniesieniami o jakichś przygotowaniach do zagarnięcia Gniezna i Poznania, (któremu Kaźmierz wcale się opierać nie myślał) — jednego rana Biskup Gedko z twarzą bardzo wesołą na zamek przybył.

Kaźmierz, którego zabawiano, a dotąd nieumiano do spokoju i wesołości usposobić, wyszedł doń stroskany i blady, jak zwykle.

Gedko naprzód wydać musiał rozkazy, gdyż zaledwie weszli do wielkiej posłuchalnej sali, gdy za nimi wtoczyło się do niej urzędników i ziemian dużo, stary Mazur Żyra, pokrewny biskupa, Jaksa, Goworek, Lis i co było przedniejszych na zamku obecnych.

Biskup rozpromieniony, widać było iż niósł dobrą nowinę.

Po przywitaniu i błogosławieństwie zwrócił się zaraz do księcia.

— Czas wielki, miłościwy panie, abyś się ty tu panem poczuł i uznał..

Otworzył usta Kaźmierz, Gedko mówić mu nie dał.

— Szanują wszyscy, — mówił, — serca waszego dobrotliwego, braterskiego i synowskiego obawy, ale czas, czas nad krajem mieć zlitowanie a panować!

Żałujecie Mieszka? który najmniejszj nie wart jest litości, — nie upokarza się, nie prosi, ale knowa i zmowy czyni. Pomorzan, Czechów, Niemców na nas chce prowadzić, dowody na to mamy. Bóg łaskaw nie dopuści, a oto własny syn jego, tyranją ojca przywiedziony do ostatka, przeciwko niemu powstał. Najlepszy to dowód, że takim ojcem jest, jakim był nam panem.

Otto starszy syn Mieszków, opanował Poznań i Gniezno. Ziemianie tam tak nie chcą ojca, jak go tu nie chcieli, jak go nigdzie nie cierpią. — Otto chce sam przybyć tu i uznać cię za swego zwierzchniego pana!

Ziemianie wydali okrzyk radośny, Kaźmierz stał jakby zawstydzony, blady, pomieszany, patrząc w ziemię.

— Miłościwy książę, synu mój, — zawołał Gedko z gorącością i przejęciem, z namaszczeniem kapłańskim — a bądźże nam panem! a weźmijże tę wła-

dzę którą ci sam Bóg w ręce daje! Sumienie two rozgrzeszam!

Chwilę trwało milczenie, po którym zwolna Kaźmierz czoło wyjaśnione podniósł do góry, zwrócił się zarazem do Biskupa i do ziemian, powolnym głosem przemawiając.

— Stań się wola Twoja, Panie!

Chcieliście wy, ojcowie duchowni a pasterze, żądali ziemianie, Bóg wolę swą oświadcza przez wypadki, nie żądałem panowania, aliści go odtrącić nie mogę. — Tak jest, panować chcę i będę, lecz — tu zwrócił się do ziemian z błagającym wyrazem — dajcie mi wy, i Ty, Ojczy duchowny, i wszyscy, rządzić wedle serca mego i sumienia, dajcie mi czynić dobro i zasiać ziarno sprawiedliwości. Nie chcę zdobywać krajów, ani ziem przywłaszczać, ale mnożyć chwałę Bożą i krzewić królestwo Jego na ziemi.

Lekki szmer mu przerwał, Kaźmierz jakby natchniony, silniejszym się wolą własną niż kiedy okazując, z postawą majestatyczną ciągnął dalej podniesionym głosem, z mocą jakiej w nim nie znano. Czuł się silnym jakby z niebios czerpał potęgę.

— Z tym tylko warunkiem panować mogę, abym Sprawiedliwym mógł być, — dla wszystkich. Kościołowi posłuszeństwo i cześć, ziemianom ich prawa i dostojęństwo, ale biednemu ludowi bezpieczeństwa żywota i mienia chcę mieć zapewnione.

Tak — gwalty, rozboje, grabieże, czynią u nas życie niecznośnćm, niema tego nigdzie indziej po świecie co u nas. Kmicć nie jest pewien tego co ma, ani osoby swćj, książęcy i ziemian słudzy pędzą go z pola do przewodu, spasają mu zboże, rozwalają stogi, nćkają bezbronnego.

Temu polożę koniec.

Polożę koniec samowoli, napadaniu na majątki duchownych, po śmierci tych co je trzymali, wszystkim zwyczajom złym tego państwa, które się w nićm wkorzeniły.

Wy, ojcie duchowny, wy ziemianie moi, dopomóżcie! Ja jako książe zrzekę się za siebie i następców praw starych ucisku nad ludem, — niech się zrzekną i inni, niech zapannje u nas chrześciańskie miłości prawo! braterstwo ewangelii.

Chcecie abym panował, dajcie mi to uczynić, albo, niech rozkaznje inny.

Biskup powstał podnosząc ręce do góry i wołając wielkim głosem.

— Witaj nam, gospodynie, pannj! niech się dzieje pobożna wola twoja. Amen! Amen!

Wnet i drudzy wołać poczęli za Biskupem — Amen, wywołując księcia i królem chcąc go głosić. Radość i uniesienie panowało nadzwyczajne.

Kaźmierz stał drżący jeszcze od tego co z piersi jego wyszło, jak cięciwa łuku gdy strzałę cisnęła — patrzył do koła, radował się i oczy łzami mu zachodziły.

Od téj chwili dopiero istotnie panować poczynął — zmieniony był — czuli to wszyscy.

Nikt nie śmiał na razie szemrać przeciw stanowczo objawionej woli pańskiej, choć nie wszystkim ona zbyt była miłą.

Rozpierzchli się zaraz z zamku wszyscy niosąc na miasto wiadomość o tém co książę zapowiedział. Biskup na następny dzień zaraz przybycie Ottona oznajmił.

Tegoż wieczora Stach był dopuszczony do Gedki, szło wszystko po myśli, chciał mieć dalsze skazówki i rozkazy. Biskup, który wiedział iż sprawę Ottonową jemu zawdzięczał, milcząc go w głowę pocałował.

— Bóg niech ci błogosławi, — rzekł, — uczyniłeś wiele nie szukając z tego sławy, ani nagrody. — Mówię ci, uczyniłeś wiele, ale, jeśli sądzisz żeś wszystko uczynił, mylisz się. — Kto Mieszka zna ten wie że go nie zmoże nawet cios z synowskiej ręki, ni żaden inny. Zamilczy on, przypadnie, a póki żyw my go z oka spuścić, ni usypiać spokojnie nie możemy.

— Słusznaby była rzecz — odezwał się Stach, — aby przy nim mieć kogoś zawsze coby czuwał i ostrzegał. Ten sam Mierzwa który wielkopolan i Ottona poruszył i zagrzał, ulubiony dawniej Kietliczowi do niegoby mógł wrócić i pozostać na czatach.

Biskup się zamyślił.

— Zdrajcami się posługiwać, — rzekł, — którzy w końcu i nas zdradzić mogą, twarda to i smutna konieczność — ale, gdy czystego czleka ku temu użyć nie można. — Co czynić?? Wprawdzie posłużył nam ów niegodziwiec, a no gdy korzyść większą indziej mieć będzie na widoku, patrzaj że i nas sprzeda!

— Strzedz go będziemy — rzekł Stach. — Wiecie, ojcie mój, żem ja na to życie poświęcił abym winę moją zmazał a dług spłacił, gdzie więc nikt nie pojedzie, ja muszę.

Po tej rozmowie wieczornej wrócił Stach na swą gospodę do Juchima, z tém aby Mierzwę nakłonić by się na dwór Mieszka udał, a z oka go nie spuszczał.

Mierzwa myślał się z tém drożyć, choć w istocie bardzo mu to było na rękę. Całe jego postępowanie było jednem fałszu pasmem. Wprawdzie wyprawiony przez Stacha siedział ukryty gdzieś w kącie, ale jako żywo, ani Ottona widział, ani z wielkopolany się knułał. Przebiegły człek wiedział zawczasu co się święciło, i to co się stać miało skradł na swój rachunek. Zapłacono mu dobrze za to czego robić ani mógł, ani myślał.

Gdy Stach zażądał od niego aby do Mieszka jechał na służbę, udał skłopotanego, choć większe szczęście spotkać go nie mogło.

— A! rzekł, — gdy mnie tam o zdradę posądzą, a schwyca poszlaki — wisieć będę!

— Na to rozum i przebiegłość macie — odparł Stach, — abyście się poszlakować nie dali.

Jeszcze się trochę podrożywszy, powzdychawszy, brody natarłszy wręście odczwał się Mierzwa.

— Pod te czasy człek biedny co robić ma? Musi się żywić gdzie mu ziarno posypią! byle z głodu nie zdychał! Tu i tak krzywo na mnie patrz! muszę służyć gdy każecie!

Juchim, który za pośrednictwem Stacha pozyskał dzierżawę mennicy zdawał się także pozyskanym dla Kaźmierza, nie ludził się jednak ich oświadczeniami Stach, obiecując sobie pilne na nich mieć oko.

On sam, ażeby bliżej był dworu i pana, którego strażę się poświęcił, przez Biskupa polecony Goworkowi, otrzymał skromną na zamku posadę. Gedko ręczył za niezłomną wiarę i poczciwość mniemanego Zabora z Przegaju, zlecono mu więc pilność około skarbcza pańskiego, przydawszy w pomoc staremu podskarbiemu Rajcowi, przybyłemu z Sandomirza. Człek już bardzo podżyły, osłabły, powolny, rad był z młodszego pomocnika, któremu, jako z ramienia Biskupa przydanemu, mógł zaufać zupełnie. — Stosunki bliższe, bezpośrednie z księciem uniknione zostały, gdyż te Rajec przyjmował na siebie; troska tylko, pilność, rachuba zeszyły na ręce nowego urzędnika. Nie było zaś to zajęcie, oprócz dni wyjątkowych, tak nieustanne, aby go do miejsca przykuwało

dzień cały. Miał czas Stach między ludźmi się kręcić, słuchać, patrzeć, czuwać, czasem na parę dni uwolnić od kluczów, a to co mu na sercu leżało spełnić.

Kiedy niekiedy zetknąć się musiał z księciem, ale Kaźmierz ani go poznawać, ani się nań uważać nie zdawał. — Stach też umiał z oczów zchodzić i stać niepokąźnym.

Na dworze różnych dawnych znajomości Zaborza znalazło się po troszę, pozawiazywały nowe a potrzebne.

Na tém już stanowisku zastało Stacha przybycie do Krakowa Ottona syna Mieszkowego. Przyjęto go tu wdzięcznie, bo przynosił uznanie zwierzchnictwa Kaźmierzowego i przyrzeczenie wierności a posłuszeństwa; chociaż syn ten co przeciwko ojcu własnemu, choć srogiemu powstawał, nikomu do serca nie przypadł.

Otto też, najstarszy syn Mieszka, był czlekiem ponurym, milczącym, patrzył dziko, głowę trzymał jak wrosłą w ramiona, a pomimo pokory i uniżoności, dla wszystkich stał się odrażającym.

Sam on ezul pewnie jak nań ludzie patrzeć i co o nim myśleć musieli, bo zdawał się sromać, nikomu śmiało w oczy zajrzeć nie umiając. Mowę miał zająkliwą i niewyraźną, obejście dumne razem, bojaźliwe i wahające.

Każdy szept i ciche słowo go straszycło, jakby się lękał tego co o nim mówiono. — Razem wzięta

jednak postać ta miała pewien wyraz siły dzikięj, ledwie ogląda pewną w szrankach wstrzymywanęj.

Biskup sam przywiódł go na zamek, gdzie przed Kaźmierzem pokłękłszy hold mu złożył, a ten dobrotliwie go podniósł i ucałował. Nie spodział się pewnie Otto tego co tu miał usłyszeć, bo książę przyjąwszy go razem z ziemią w opiekę, i wyłączywszy z nięj tylko Guiezno, (za radą Biskupa) — rzekł mu przy pierwszém spotkaniu.

— Sprawże to, miły Ottonie jak najrychłęj abyś, otrzymawszy czegoś chciał, i co prawem starszeństwa na was by spadło, — pojednał się z ojcem i uczynił z nim zgodę.

Otto chciał wybuchnąć z tłumaczeniem, iż zawsze był przez rodzica krzywdzony, uciskany, a młodsze dzieci przed nim miały pierwszeństwo, lecz z podziwienia i niecierpliwości zająknąwszy się, splątał i ledwie coś niezrozumiałego zamruczał.

— Bądź co bądź — rzekł Kaźmierz — synowi waleczyć przeciw ojcu się nie godzi, przebłagać go i jednać się z nim musicie.

Otto spodziewający się nieprzyjaciela ojca znaleźć w Kaźmierzu, znięszał się widząc w nim uczucie braterskie i serce miłości pełne.

— Wolą wszystkich ziemian i duchownych, — mówił mu Kaźmierz, — wyniesiony jestem na tę stolicę, której nie pragnąłem, przeto jednak ojcu

twemu bratem być nie przestałem, życzę jemu i wam dobrze i da Bóg, dowiodę tego.

Biskup Gedko słuchając zmarszczył się trochę i nie rad był obietnicy, lecz nie rzekł nic, gdyż Kaźmierz, mimo posłuszeństwa duchownej władzy, gdy szło o to co mu sumienie dyktowało, złamać się ani przekonać nie dawał.

Wszzechmocny nawet a nader zręczny Biskup Gedko, ustępować mu w tém musiał.

Przez cały czas pobytu swojego w Krakowie. Otto chodził znękany i jak wylekły, kilka razy próbował mówić przeciw ojcu i zniechęcać do niego, ale Kaźmierz nie dopuścił.

Po uroczystém poprzysiężeniu wierności, pod pozorem iż pilno grodów swych wielkopolskich strzedz musiał, natychmiast wybrał się Otto z powrotem, zostawując dla kościoła krakowskiego dary, któremi Kaźmierza i biskupa ująć pragnął.

Wkrótce po hołdzie Ottonowym, książę zmianę praw starych, jaką zapowiedział, zapragnął przypomnieć do skutku, a że się bez narady z biskupami nie wówczas stać nie mogło, zażądał zjazdu ich dla ogłoszenia nowego postanowienia.

Już sama zapowiedź tych ostrych zakonów sprawiedliwości, ziemianom dała do myślenia. Duchowieństwo na tém nie traciło nic, zyskiwało może, lecz lękało się aby rękę podając do zmian dla możnych władyków niemiłych, nie zraziło ich ku sobie. Szemrano na to ażeby jadącemu

za rozkazami pańskimi wiązki siana i miarki owsa u wieśniaka wziąć darmo nie było wolno.

Ziemiańskie też często gęsto po śmierci proboszczów zajeżdżali majątki ich, żywili się spichrzani — a zrzec się tego nadużycia niemilem im było.

Gdy Kaźmierz zażądał zjazdu, Biskup Gedko zwołać go obiecał — ale tłumaczył się że czas nie był po temu.

— Ojciec mój — odparł Kaźmierz, — jeżeli sądzicie że ja na słowie skończę, a nie dokonam co zamierzyłem — mylicie się. Raczej stolicę tę porzucę niżbym miał odstąpić od tego co rzekłem. Tém jednym usprawiedliwię się w obec sumienia mojego.

Biskup błogosławił i pochwalał, ale właśnie trafiała się zrzeczność i pora dogodna zdobycia od Rusi Brześcia, Włodzimierza i Chełma. Kniaziowie ruscy wadzili się z sobą, Kijów był w wojnie z Czerniechowem, a Brześć zająć koniecznością było. Rycerstwo i ziemianie woleli ciągnąć na Ruś niż na zjazd, który się im groźnym wydawał. Sądzone może iż Kaźmierz w boju i po wojnie, w sprawy ruskie wwikłany, zapomni wielkich swych zapowiedzi.

Poszły więc, natychmiast po osadzeniu dwóma namiestnikami Pomorza, wici po kraju na wojnę. Ruszało się wszystko ochoczo, spokój się naprzykrzył, wyprawa łup obiecywała. Biskup Gedko

tymczasem zjazd przysposabiać obiecywał i miał się naradzać z pasterzami.

Widział już że Kaźmierz myśli swój nie zaniecha, że do zakonu jaki ogłosić miał, całém sercem przylgnał, bo nieustannie mówił o nim i powtarzał:

— Gdy to spełnię, niech Bóg odpuści sługę swego, jeżeli wola, więcéj nie pragnę.

IV.

Znaczny przeciąg czasu upłynął od opisanych wypadków, lecz w położeniu osób nam znanych mało co się na pozór zmieniło.

Na zamku, przy skarbcu na górze, w izdebce z której piękny widok na szeroką okolicę dokoła się rozkładał, mieszkał ten którego zwano Zaborem z Przegaju... Siedział tu tak cicho, tak zakryty iż mało go widać, mniej jeszcze o nim słychać było. U starego Rajea, który coraz cięższym się stawał, nieograniczone pozyskał sobie zaufanie. Najczęściej też sam już z kluczami chodził, przy sobie sobole, kuny, lisy i gronostaje przewietrzać i trzepać kazał, sukna i bławaty opatrywać aby ich mól i wilgoć nie uszkodziły, srebra czyścić ze rdzy, która na nich osiadała. Pod jego

okiem spisywało się co droższego, a co pospolitszego na karbach znaczyło.

Do pisania naówczas ludzi nie było wielu, a i ci ważniejszymi sprawami się zajmowali, w spiechrzach więc i skarbach odwiecznym zwyczajem, na drążkach drewnianych zarzynano znaki ile czego naliczono. Karby te podwójne były aby dozorca i podskarbi miał każdy swoje i przyłożyć je mógł dla sprawdzenia do siebie.

Stała ich cała więc w izbie Stacha, który zresztą w sklepionem swém szczupłym mieszkanku, do którego wschodki kamienne wązkie i ciemne prowadziły, nie wytwornie był zagospodarowany. Stał w niem tarczan z ładająką pościółką i okryciem, stół na krzyżowych nogach, ławy w oknach we wgłębieniach grubego muru. Kilka pułek wpuszczonych w ściany służyły do pomieszczenia rzeczy drobnych, a prócz dzbana do wody, kubka, ręczników i trochę broni, nie tam nie zwracało oka. Ciemna komórka obok resztę miejsca zamykała. Stach mało kogo tu przyjmował, a sam też był jak gościem, bo albo w skarben porządek czynił, albo na dół zszedłszy do dworu, z ludźmi się rozgadywał, lub na miasto zbiegał często i tam mając do czynienia.

Było mu tu szczęśliwie i dobrze jak mało komu, bo zazdrości nie obudzał. Roboty miał dużo, kłopotu nie mało, placę lichą, wygod niewiele, a nie dobijał się o nic więcej, o łaski niczyje

a góry nie starał, w dole z wszystkimi żył dobrze.

Lubiono go powszechnie, choć niektórzy znajdowali że mruk był nadto w sobie zamknięty i serca otworzystego nie miał.

Komu mógł robił dobrze, a do skarg powodu nie dawał, wiadano że u Biskupa był w łaskach szczególnych, i to mu poszanowanie jednało.

Podejrzliwsi posądzali go, że — on coś wie — i coś robi, że oprócz swych obowiązków jawnych ma i inne na głowie, ale odgadnąć nikt nie umiał co to być mogło.

— Kat go wie! — powtarzano — mruk!

Czasem na dole w izbie komorników Stach i pośmiać się umiał z niemi, częściej jednak widziano go chodzącego z czołem pomarszczoném, wąsa kręcącego i jakby coś niedobrego dźwigał — stękającego ciężko.

Mało znaczny i mało znaczący człeczek ten w istocie wiele na sobie nosił, wiedział wszystko, do wielu spraw należał a z tém się nie wydawał.

Szło mu dotąd po myśli oprócz jednego. Pracował nad tém aby Kaźmierza od wdowy od stręczyć, albo ją ztąd wysadzić, a tego dokazać nie mógł.

Dorota mieszkała we dworze swym, który teraz wytwornie był przybrany, bo nie jedną opone i naczynie ze skarbcu pańskiego tam dano,

jednała sobie coraz więcej przyjaciół, a choć na nią wygadywano i do zamku o tém wieści trafiały, choć książę czasem długo od niej stronił, zawsze go umiała na nowo ku sobie pociągnąć.

Nie potrzebowała nawet Wichfrieda do tego, choć ten jęj zawsze wiernie służył.

Każmierz niekiedy przełękły i zrażony, zarzekał się że noga jego w tym dworze nie postanie, wytrzymywał czas jakiś, potem, jakby zateśkniwszy, zboczył z drogi, zajechał wieczorem, zasiadł się pod noc, nie zważając że konie u wrot ludzie widzieli i dawał się wziąć znowu. Prawda że go tam zabawić i przyjąć umiano.

Wdowa, choć pierwsza jęj młodość już była przekwitła, wdzięki swe utrzymywała w świeżości a popisać się z niemi zręcznie potrafiła: mówiła, śpiewała, poszła w płasy chętnie, rozochocała, upajała. A gdy sama nie mogła księcia rozbawić, miała w pomoc chorowody dziewcząt które powyuczała pieśni, skoków, swawoli, i im często występować kazala.

Mówiono że stara Czechna, znana miastu wiedźma krakowska, do której wszystkie baby chodziły po radę w chorobach, w dolegliwościach wszelkich, w sprawach miłosnych i potrzebach tajemnych, wieczorem często się u wdowy zjawiała, przynosiła jęj zioła jakieś, poddawała bańki różne, szeptała, radziła i znaczne dary od niej wyciągała.

Utrzymywali nawet niektórzy iż niedorzeczna miłość księcia dla tej niewiasty niczem inném teraz podsycaną nie była, jak napojami czarownicami.

Dla Doroty książę zapomniał był nawet o Sci-borzance.

Zrazu Jagna znosiła to jako konieczność położenia, w końcu ją zabolalo. Wytrwać nie mogła. Czatowała na polującego w lasach sąsiednich Kaźmierza, i pochwyciła go raz, gdy sam jeden z Wichfriedem odpoczywał.

Niemiec, który świadkiem był tego spotkania, opowiadał o niém zaufanym, że nigdy Kaźmierza tak poruszonym, upokorzonym i zrozpaczonym nie widział, jak wówczas. Widok Jagny przypomniał mu lata szczęśliwe, chwile rozkoszne spędzone w zacisznym Gaju, a gdy mu dziewczę z płaczem padło na szyję przytomność prawie utracił. Wkrótce jednak ów czar Doroty, który w sobie nosił przemógł, podziałał nań, począł mówić a błagać iż powinni się byli rozstać na zawsze dla dobra obojga, że jemu nie przystało losu jej zawiązywać, gdy dać go niemógł.

Jagna słuchała oślepiona.

Wichfried zdala już potem dosłyszał tylko rozmowę a raczej wyrzuty gorące, groźby krwawe, miotania się i krzyki rozpaczey — a wręście uci chło wszystko. Kaźmierz mówił, dziewczę płakało, gniewnie, niecierpliwie błagało — napróżno.

Aż zerwała się Sciborzanka jak zwierz raniony, z krzykiem biegnąc do swojego konia. Książę popędził za nią nawołując i prosząc, ale nie spojrziała nań już, siadła na karego i uciekła w las.

Wichfried nie łatwo potem mógł księcia rozpaczającego ukołysać, chciał go zaraz do Sciborzyc posyłać, odłożył do drugiego dnia, a gdy niemiec z poselstwem przybył, Jagna z nim mówić nie chciała.

Powrócił z niczem.

Wkrótce potem doszła wieść do Krakowa że stary Scibor zmarł, w dni parę Hreczyn przyjechał Stacha szukając, i ledwie go znalazł w mieście. Jagna żądała aby do niej przybywał. Uwolniwszy się na dni kilka, pojechał Stach do sieroty, i zdziwiony że ona go mieć chciała i szczęśliwy jakąś nadzieją, której sam nie dowierzał.

Po pogrzebie już było gdy przyjechał. Zastał Jagnę na wałach siedzącą, łokcie na kolanach, twarz na dłoniach — bladą, zmienioną, straszną, ledwie żywą.

Patrzała nań długo, długo nim sobie przypomniała.

Wstała potem a Stach się uląkł widząc ją tak wychudłą, osłabłą że z niej cieżko tylko pozostał.

Poprowadziła go do dworu za sobą, do tej samej izby w której stary Scibor legiwał i umarł.

Posłanie jeszcze leżało jak było.

— Samam się została — rzekła — tęsknica mnie dusi, żyć tak niemogę!

Ojciec ciebie znał i — kochał.

Pomilczała trochę.

— Chcesz ty mnie wziąć? — Podała mu rękę schudzoną i zimną.

Stach który zdawna w sercu ją miał, a teraz dla wielkiej litości, jaką wzbudzała czuł się jeszcze więcej rozmiłowanym, nie umiał odpowiedzieć. Myślał jak swój ślub pogodzić z inną dola. Przyznać się jej nie chciał kto był, co go wiązało.

— A! nicmoże to być — rzekł — boby dla mnie szczęścia było za wiele. Ojciec wasz mnie znał, ale wy — nie znacie!

— Może i ja znam! — odezwało się dziewczę — Ot — weź mnie.

Powiedziała to zimno ale z uporem jakimś — Weź mnie, chcesz, otom twoja.

— Musiałbym wówczas Kraków porzucić, sięść tu i gospodarzyć wam, a ja tego uczynić nie mogę.

— Ja to wiem — rzekła Jagna — ale ja chcę z wami być w Krakowie.

Stach aż się wstrząsł cały — ale stał niepcwiny, ona dodała.

— Żony wy ze mnie dobrej mieć nie będziecie, albo tak jak żadną... Jam się już nikomu na

nie nie zdała. A i toście wiedzieć powinni że wianka wam nie przyniosę, bom — wdowa!

Chciał Stach pytać, znów mu niedała mówić.

— Co tam macie wiedzieć kto był mężem moim! Ślubu ja z nim nie brałam, ksiądz po terazniejszemu nie błogosławił. Ot tak daliśmy sobie serca, i ręce — i żyli, i przeżyli wszystko.

Łkanie jęj mowę przerywało, ból się sączył z każdego wyrazu.

— Teraz ja — tu siedzieć niemogę — chcę do Krakowa z wami.

Stach niemogąc się oprzeć — ujął ją za rękę i pocałował; dała mu ją ale obojętnie, bez uczucia.

— Jam stara, jam zwiędła — mówiła cicho — Kochać mnie i żyć tam ze mną wy nie potrzebujecie. Ja też tego nie chcę, ale wy się nazywać będziecie mężem moim, ja waszą żoną. Zechcecie, to niech ksiądz pobłogosławi, a nie — to nie. I tak z sobą ludzie żyją dawszy słowo. Jak ja umrę, przekażę, zabierzcie sobie Sciborzycę i wszystkie mienie po mnie.. Dobrze?

Stach nie umiał odpowiadać, żal mu serce ścisnął, po rękach ją całował, ona mu je wyrzywała.

— Ja wam wy mnie przeszkadzać nie będziecie! Mnie samą dziewczę w mieście żyć nie godzi się — a ja tam muszę być — ja tam muszę być!

Nastąpiła zgoda milcząca, umowa osobliwa,

wyprawiła go do Krakowa przodem, mówiąc że doń przyjedzie. Jakiś czas czekał na nią Stach w swój izdebce nad skarbcem, aż dnia jednego dała mu znać że przybyła.

Miała już swój dwór niedaleko od miasta, koło niego kręciło się dosyć ludzi, koni i wozów ze sprzętami.

W pustej jeszcze izbie zastał Jaguę siedzącą, z twarzą od podróży rozplomienioną, dyszącą ze znużenia, a jak grób smutną. Stary Hreczyn niemy, zmęczony kręcił się okolo tego poczynającego gospodarstwa. Widać było dostatek w tém co wyładowywano, ale ona ani spojrzała na nie, jakby ją weale nie obchodziło co miała.

Zobaczywszy nadchodzącego Stacha, zwróciła się ku niemu i przywitała go skinieniem głowy, podali sobie ręce. Jagna zawołała Hreczyna.

— Patrz stary — rzekła wskazując przybyłego, to jest — mąż mój, twój pan, należy mu posłuszeństwo.

To powiedziawszy zwróciła się znown ku oknu. Stach się nie odzywał, nie śmiał przeczyć a dziwne mu było to jakieś wesele przy jednym świadku, bezobrzędnie odbyte.

Jagna zadumana wskazała mu miejsce na ławie.

— Ty masz we dworze służbę — rzekła — ja to wiem, musisz ją pełnić. Siedź sobie gdzie zechcesz, przychodź gdy ci się podoba. Musu

w tém niema. Znajdziesz u mnie dach i wszystko co ci trzeba, służbę i dostatek, i moją smutną twarz, na którą patrzeć nie miło. A no, nie potrzebujesz się nią truć, umie aby jakakolwiek opieką.

Stach nie sprzeciwiał się w niczém, zdala mu się chorą i biedną, z którą obchodzić się musiał jak z dzieckiem. Po chwili kazala przynieść jadło i napój, zastawić stół dla niego, a sama poczęła usługiwać mu. Stach sięść musiał i pożywać. Gdy misy zabrano siedli na ławie znowu.

— Ty jesteś przy księciu? u skarbcza? nieprawda? — odezwala się — Widujesz pana, co się z nim dzieje?

— Malo ja go widzę — odparł Stach — chyba zdala, ale slysze o nim i wiem jak jest.

— Ojciec go kochał — dodała rumieniąc się trochę — ja także dobrze mu życzę — Mów, co tam z nim?

Stach począł opowiadanie o Kaźmierzu, jako się troszczył swém panowaniem, nowe zakony chciał wprowadzać, ludziom ulżyć, sprawiedliwość mieć wszędzie; mówił o zabiegach Mieszka, o Ottonie, o biskupiej nad księciem straży, miłości ludzi dla niego i t. p.

Sluchala Jagna w milczeniu, spytala o żonę i dziecię? jak byl dla niej i z niemi? Nie tail Stach tego o czém wiedzieli wszyscy, że żonę

szanował książe, ale wielkiego serca do niej nie miał.

— A komuż serce dał? — zapytała i spojrzała mu w oczy bystro.

— Niemogę ja wiedzieć o tém — odparł Stach — co się z sercem jego dzieje. Nie tajno nikomu że książe dawniej miłośnicę miał, do której z Sandomirza często w lasy zbiegał i po dni kilka u niej przebywał. Tę podobno opuścił, a teraz mu źli ludzie gorszą jeszcze niewiastę naraili, która go ezarami przy sobie trzyma. Palcami ją tu wytykają, bo wieczorami mało nie codzień u wdowy Doroty.

— O! tak — gorąco przerwała Jagna — nie czém inném tylko ezarami a napojem go sobie zyskała. Inaczéj nie mogłoby to być aby taki człowiek jak on, do takiej baby mógł się przywiązać!

Stach rad był że się z nim godziła w tém i zabierał się mówić o Dorocie dłużej, gdy dziewczę mu przerwało.

— Ludzie co pana kochają powinni o tém myśleć aby go od niej oderwali. Życie mu wysięta zbytniea!

Rozmawiali tak długo, Stach do wieczora późnego przesiedział z nią, opowiadając o dworze i księżnin; gdy ciemnieć zaczęło Jagna go do zamku odprawiała. Posłuszny jej poszedł do swéj izdebki.

Tak poczęło się osobliwe życie, które Stachowi, spokojnemu dotąd, niepokoju tylko i troski przyczyniło. Przywiązywał się codziennie więcej do biednej dziewczyny, która dobrą dlań będąc chłodną zarazem i obojętną była. Najczęściej gdy przybywał, poczyniała wypytwać o pana, i tak czas schodził na urywaną o cudzych sprawach rozmowę.

Gdy tylko czas miał, Stach nawykł ciągnąć do dworku tej mniemaną żony swój, która dlań raczej siostrą, przyjacielem była niż małżonką. Nie zmieniło się nic od dnia pierwszego, gdy się on zbliżyć do niej próbował, zbywała go jeszcze większym chłodem, marszczyła się, powtarzała mu że starą była, do nikogo się już przywiązać nie mogła, bo nieboszczyka, z którym żyła szczęśliwą, dotąd w sercu nosiła. Stach, choć go tu słuchali wszyscy i szanowali jak pana, praw swych nie używał, był jak obcym, nie rozkazywał nigdy, nie potrzebował nic, a gdy Hreczyn się napraszał z przywiezioną zbroją, odzieżą, sprzętami, zbywał go tem że mu to się na nic nie zdało.

Jagna też wciąż obdarzać go chciała, Stach z trochę dumy i od niej przyjmować nic nie chciał. — Wszak ci ja tu mężem nie jestem tylko dla oka, — mówił — do niczego prawa mieć nie chcę, a za opiekę płacić sobie nie dam.

Uderzyło go w końcu to że Jagna o niczem

więcej prawie nie mówiła z nim, tylko o księciu lub o utrapionej wdowie. Jednego dnia spytał ją dlaczego tak się tém zajmowała.

— E! — odparła — każdy ma swoje tajemnice. Macie wy je dla mnie, boście mi o sobie nigdy wszystkiego nie powiedzieli, wolno i mnie coś przy sobie zachować. Niechaj to jak jest zostanie.

Stach nie nalegał.

Wdowa Dorota żyła zawsze po swojemu. Dom bywał pełny, ludzie się w nim mieniali, ona zabawiała się niemi. Ściągali się tam jak na lep młodzi i starzy.

Odprawiony Wojewoda srodze za nią zatęskniwszy, przywłókł się przebaczenia prosić, przywiózł podarki, odpędzono go zrazu, przyjęto potem, stary szalał a Biskup który o wszystkiem wiedział znowu groził klątwami. Zuikł na czas Szczepan nastraszony, ale nie wytrzymał, podkradał się o mroku, wdowa z niego szydziła, pomiatała nim posługiwała się i podarki przyjmowała, a przed innemi drwiła z niego niełitośnie. Nieraz gdy książę nadjeżdżał kazano mu przez ciemne kąty się wymykać.

W mieście miłości książece pokrywało nieco to, iż tam siła bywało ludzi; tłumaczono Kaźmierza iż rozrywki szukał a nie złego nie myślał.

Nikt może tak pilno nie śledził i Doroty i księcia, tak dobrze nie wiedział o tém co się u wdo-

wy działał jak Jagna, która nieopodal siedząc, na wszystko miała oko. Stach wszelkiemi sposobami przez Biskupa i innych ludzi Kaźmierza starał się wyrwać z tych rąk nieczystych, a wszystko rozbijało się o Wichfrieda który wdowę u pana popierał, bronił, wodził do niej, pilnując aby się jej płochosć nie wydawała.

Wdowa mu też płaciła wielkimi laskami i niemiec był u niej jak w domu.

Gedko kilka razy na cztery oczy surowo napominał księcia o te zabawy nie zdrowe. Kaźmierz po każdym strofowaniu, które pokornie przyjmował, odwiedzin na czas jakiś poprzestawał, ale rychło powracał. Przestraszona Dorota nżywała wówczas wszelkich środków, Wichfried pomagał, zabiegała mu gdzieś drogę i ciągnęła do siebie.

Do księżnej Heleny trafił też ktoś i podszeptał jej o wdowie, stawiając niebezpieczeństwo jakie księżcin od niej groziło, rozplakała się pani gorzko narzekając, ale ani mówić o tém mężowi, ani mu czynić wymówek nie śmiała, nie przyznając się że wie o tém.

Zabawiając się krótko, Kaźmierz więcej mężczył miłostkami, których się wstydzil; a przed Wichfriedem zeznawał iż Doroty sercem nie miłował, tak jak swój pierwszój, że często w nim strach i obrzydzenie wzbudzała, przecie miała nad nim jakąś siłę szatańską, że choć się wzdrygał i opierał, nie mógł z nią zerwać. Jechał często

ze złością i łzami, jakby go nieczysta moc, mimo woli gnała, a powróciwszy wstydził się tak, iż Wichfriedowi w oczy spojrzeć nie śmiał.

Wszystko to na dworze bliższym znanie było, wiedział i Stach, rozповідаł Jagnie, a zdumiewał się iż niekiedy to tak do serca brała, jakby albo nienawiść osobistą miała do wdowy, lub wielką miłość dla księcia.

Nie rozumiał spěhu dlaczego ją to tak obcho-dziło iż zwykle wchodzącego w progu zarzucała pytaniami i radami go przeprowadzała gdy odchodził, — ale badać nie śmiał, litując się nad nią, rad że choć tém biedną zaprzątnie.

Znajdował ją przybywając często tak pogrą-żoną w jakimś smutku głębokim iż niesłyszała gdy wszedł, a stać i czekać musiał aż się opa-trzyła że nie była sama i z krzykiem przestachu zbudziła ze snów swoich.

Życie to było ciężkie a dziwne, ale dla Stacha, który długo wprzód sam był na świecie, jeszcze lepsze od dawnego sieroctwa.

Miał się kim opiekować, o kogo troszczyć, gdzie pójść, mówiąc sobie że biedna dziewczyna której smutek śmierci ojca przypisywał, powoli może do niego serca nabierze. Spoufalała się z nim codzielną więcéj — ale pozostali jak byli zdala od siebie i zbliżyć się ani czułości okazać żadnej, nie dopuszczała Jagna. Brev się jój nar-szczyła i odpychała go surowo.

Za to we dworze więcéj niż chciał panem był, służyli mu i narzucali się ludzie, izby dlań stały zawsze osobne, a gdy przyjmować miał znajomych, dostarczano mu wszystkiego. Jagna sama pilnowała, aby na nicém nie zbywało.

Z rana Stach w skarben sprawiwszy obowiązek, na obiad tu przychodził, powracał potém na zamek, do wieczerzy przybywał znowu, siedział jak mógł najdłużej, zawsze na jednej rozmowie o księciu, i nocą na zamek szedł do swéj izdebki.

Gdy się to działo w Krakowie, Mieszek w niewielkiém oddaleniu od niego, jakby na czatach przesiadywał u synowca Mieczysława w Raciborzu.

Tu nań oko Stach mieć musiał, bo nie tylko on sam i trzej synowie, ale Kietlicz się nieustannie kręcił, spiskując i nie spoczywając. Posyłano go raz w raz to do Niemiec, to do Czech, do Cesarza, na Pomorze, do Prusaków; próbowano przeciągnąć i podburzyć siedzących na Szlązku Władysławowiczów, a choć dotąd wszystkie zabiegi były bez skutku, zaspać ich się nie godziło.

Każmierz nkoehany w początku, już i zazdrośnych miał i niechętnych.

Miedzy ziemianami krakowskimi, oprócz braci z Tęczyna, którzy mszcząc się za bezkarność siostry na księciu, na dworze się nie pokazywali —

inni téż, zastraszeni zapowiedzią surowych zakonów, trochę się od Kaźmierza odwracali, a na stronę wygnanego Mieszka przechylali.

Mieszek z żelazną swą wolą odzyskania co utracił, nie pozbył się nadziei odzyskania Krakowa. Na pozór nie zgrabny, ciężki, gburowatością i gwałtami tylko straszny Kietlicz, okazywał się teraz w ręku pana całę nowym człowiekiem.

Malomówny, skąpy w słowa doborne, nie znużony był i nie odpoczął na chwilę. Na zamku Raciborskim gdy się pokazał to na krótko, pomruczał coś z księciem, konie zmienił, często i ludzi, nie pytając noc czy słońce, ruszał znowu w świat.

Dokąd? niewiedział nikt, po co? tego się tylko domyślać było można. Weisnąć się uniał wszędzie gdzie mu było potrzeba. Za młodu wychowany między Niemcami, znał doskonale język ich i obyczaje, był u nich jak w domu. Nie go nie kosztowało dobieść i do Magdeburga i do Akwisgranu i do Kolonii, po małych dworach książęcych się włóczyć, do drzwi zamkniętych stukać, obiecywać i dnrzyć.

Sam rodem z Łużyc, z Czechami, na Pomorzu, mógł się z Serbską rozmówić, bo naówczas języki Słowian wszystkie jeszcze do siebie bardzo były podobne i różniły się więcej wymową niż słowy. Z Prusakami jako tako téż ich językiem się po-

rozumiewał. Na mężtwie zuchwałem mu nie zbywało, tak że z największego niebezpieczeństwa całym wychodził.

Na człowieka tego i pana jego nieustannie oko mieć było potrzeba. Niby to śledził go Mierzwa, ale poszlaki już miano że dwu panom służył, a staremu gorliwiej niż nowemu.

Wszystko to z Biskupem trzeba było obmyślać, a Stach jemu służył tylko, bo sam książę Kaźmierz albo nie wierzył w znowy lub okazywał na nie obojętność taką, jakby rad miał być gdyby mu część kraju oderwano..

Czasem się odzywał pół żartem iżby mu to na sumieniu ulżyło.

Było to prawie nie do wiary a Biskup Gedko nie pojmował spehna jak się w tém sereu żądza panowania rozbudzić dotąd nie mogła. Nieraz mu napomykał o Mieszkun pierwszym państwa założycielu, o Chrobrym, o ojen Krzywoustym, prawił o potrzebie jednoczenia tego co się rozbiło a porozpadało, a Kaźmierz odpowiadał mu że go nie rozległość ziem które dzierży obchodzi, ale szczęście ich, i że imby ich więcej miał témby mu troski i ciężaru przybyło nad miarę.

Biskup milezał a Kaźmierz wymownie, z serca poczynął o nowych zakonach, pragnąc je co rychlej wprowadzić; Duchowieństwo i Gedko dla siebie ich pragnęło, bo samo je układać miało z księciem — ale ziemianie się obawiali, widząc

że im ujmie swobody względem prostego ludu i kmieci.

Gedko mu o tém napomknął, że ziemianie stękali.

— Mogą li żądać — odparł Kaźmierz — abym ja im więcej dał swobody niż sobie? Te prawa dawne, pogańskie które im odejmuję, odbieram też samemu sobie; moi służebni i ja ich się też zrzec muszę.

Więcej jeszcze czynię, bo wziąwszy po ojcach moich władzę książęcą wielką, dla nich się w części i jej zrzekam, przyzywając ich do Rady, czyniąc uczestnikami panowania. Któż tu większą robi ofiarę — ja czy oni?

Tak było w istocie. Biskup odeprzeć tego nie mógł, ale ziemian starał się zwolna przygotowywać, aby się nie zrazili i z niechęcią ku nowemu panu a narzekaniami nie wybuchnęli.

Wieczorami u Biskupa schodzili się albo na zamku duchowni, rozprawiając jako królestwo to mogło być jak najlepiej urządzone i postanowione.

Kaźmierz najgoręcej się tym zajmował. Młody Wincenty (Kadłubek) ulubieniec jego, przynosił z sobą zaczerpnięte z ksiąg starych przykłady, czytano i rozbierano — a książę się coraz bardziej zagrzewał do tego aby po sobie państwu pamięć zostawić dobrą i każdego człowieka

w nim prawo postanowić mocno, a samowolę ukrócić.

W tym czasie Władysławowicze na Szlązku siedzący między sobą się spierać poczęli o ziemię. Po zmarłym bezpotomnie Konradzie Głogowskim, Bolesław księstwo zajęchał, Mieczysław brat z Wrocławia go siłą wygnał i zajął tę część. Kaźmierza jako zwierzchniego pana wezwano do rozstrzygnięcia między braćmi. Ruszył więc do Wrocławia ze dworem wielkim książę, sprawę rozsądził wedle sprawiedliwości, Mieczysław ustąpił z Wrocławia, a dla dziecka swego, które Kaźmierz do chrztu trzymał, dostał darem Oświęcim i Bytom.

Okazał tu znowu książę iż mu nie szło o rozpościeranie granic, ani o ziemię, ale o miłość pokój i zgodę.

Wspaniały dar uczyniony synowi Mieczysława obudził szemranie; Gedko i krakowianie nie byli z tego radzi; wspaniałość pana zwano nicopatrzną rozrzutnością, zżymano się na nią. — Książęta szlążcy, dosyć Kaźmierzowi niechętni, dobrocią tą nie zostali przejednani, zawsze pamiętając na prawo ojca, a jego zwać przywłaszczy-cielem.

Powrócił Kaźmierz do Krakowa w sumiecin spokojny, rad z tego co uczynił, ale od swoich pochwały czekał próżno. Gedko milczał, a zapytany rzekł proroczco — iż się Szlążacy niewdzięcznością wyplacą.

Ziemianin Chmara, którego książę lubił dla wesołej myśli, na dworze jego więcej przebywający niż w domu, któremu Kaźmierz pozwalał mówić co chciał, powracającego przywitał całując kraj szaty.

— Miłościwy panie — odezwał się żartobliwie — łaska to Boża iż ze Szlązka nam choć ze gźlem i suknią wracacie, baliśmy się by i te tam nie zostały.

— Wierzajcie mi — odparł Kaźmierz — iż miléj jest dawać niż brać, i gźło widzieć na cudzych niż na swych ramionach.

— Kto ma ich na wymianę podostatkiem — rzekł Chmara — ale Wam miłościwy książę, bo-daj wkrótce żadne nie zostanie.

Na to Kaźmierz, odparł śmiejąc się.

— Nie drogo zapłaciłem, jeźlim Oświeccimem i Bytoniem serca kupił.

— Pewnie — rzekł Chmara — dodaćby jeszcze można parę włóści, a no serca sprzedaje nigdy nie są pewne. Jeźli je kupić można, lada kto je — odkupi.

Westchnął książę i nie mówił już nic.

Chmara ten nie tylko Kaźmierzowi ale i Biskupowi czasem prawdy dosyć gorzkie prawił, nie szczędził nikogo; starszek jednak miły, słowo najprzykrzejsze tak osłodzić umiał, a czuć było że ono z serca płynęło, iż nikogo nie pogniewał. Gdy go na dworze zabrakło, wszyscy za nim

teżknili. A był człek weale nie uczony choć rozumny, mądrych z ksiąg słuchał rad i często twar-
dy orzech im dawał do zgryzienia. Dziwili się
mu ci co czytali i uczyli się iż pisać ani czytać
nie umiejąc prostym rozumem sięgał tam, gdzie
ich mozolnie nabyta nauka doprowadzić nie mogła.

Gdy po wiecerzy na zamku zasiadali u stołu
Scholastyk Lambert, Opat Lucjusz, czasem który
z benedyktynów tynieckich i młody Wincenty,
przedmiotem rozmów najczęściej teraz bywały
prawa różne, stanowione dla państwa, o których
książe rad się był dowiadywać.

Razu jednego po powrocie z Wrocławia, Win-
centy przyniósł z Troja Pompejusza powieść o Li-
guriusie (sic) ¹⁾ który ziemi swęj prawa nadal
surowe bardzo a zbawienne, obowiązując do przy-
sięgi ziemian swych, ażeby im póty byli posłuszni,
dopóki by on nie wrócił. Poczém udał się na wy-
spę Kretę, na dobrowolne skazując się wygnanie
i tam umarł. Ziemianie, którym surowość zako-
nów dolegała, z grobu prochy jego dobywszy.
przywieźli je nazad, aby się od przysięgi uwolnić.

Książe Kaźmierz ciekaw był się o prawach
tych dowiedzieć, a Wincenty wyliczył ich dwa-
naście.

Pierwsze prawo stanowiło ażeby lud panu

¹⁾ Gesta romanorum.

posłusznym był i wiernym, a pan dla ludu stró-
żem pilnym i laskawym; surowym tylko dla złych.

Drugie, ażeby ziemianie i możni życie wie-
li skromne, gdyż rycerstwu przystała więcej wstrze-
mięźliwość niż rozpusta.

Trzecie, iż nie pieniędzmi, ale zasługą zaszczy-
ty się nabywać miały.

Złota i srebra na równi z innemi kruszcami
wartość postanowiono.

Władzę w ziemiach swych podzielił tak, ażeby
królowi służyło prawo wypowiedzania wojny,
urzędnikom sprawienie sądów, senatowi praw
straż, a ludowi wybór urzędników swych.

Majątkowości wszystkim podzielono na części ró-
wne, aby byli wyposażeni jednostajnie, i by
możniejszych ani ubogich nie było.

Pożywanie wspólne i publiczne miało być
u jednego stołu, aby się nikt nie dopuszczał roz-
pusty.

Młodzieży na rok po jednéj tylko sukni wy-
znaczono.

Ubogie chłopięta na wieś do roli posyłać miano,
nie dając się im po miastach włóczyć, aby w pier-
wszych latach do pracy nawykali.

Dziewczęta dawane być miały bez wyposaże-
nia. Żon dla pieniędzy brać zakazano.

Cześć oddawana być miała starszyźnie i zasłu-
żonym, a nie możnym.

Gdy Wincenty o prawach tych rozpowiadał,

a niektórzy im przyklaskiwali, zdumiewając się, iż w pogańskim narodzie tak piękne mogły być zakony, Chmiera głową potrzasał i śmiał się. Spytał go książę, coby mu się w tém śmieszném zdawało.

— Widzi mi się — odparł Chmiera — jakom człek prosty, iż pocziwiec ów Ligurius człowieka żywego mało znał, a dla drewnianych chyba kukiel prawo pisał. Nie dosyć bowiem równo podzielić mienie, trzebaby wszystkim dać jedną miarę głodu i pragnienia. Widzimy codzień, że jeden więcej zapracuje niż drugi i jeden spożywa obficie, inny oszczędniej. Rodzi się silnym niektóry, słabym inny — równości między ludźmi być nie może.

I to mi się śmieszném zda, że swych ziemian znając, pojechał umierać na Kretę, fortelem ich podszedłszy, za co mu ci jeszcze lepszém oddali, popioły przywożąc, by u jednego stołu chudem jadłem się nie żywić.

— Mnie zaś to tylko nie do serca — dodał książę, iż panującemu odebrał najdroższe jego prawo wymierzania sprawiedliwości, zdając ją na urzędników...

Takiemi rozprawy najwięcej się Kaźmierz zabawiać lubił, w czém mu dogadzano, zawsze coś nowego przynosząc do stołu. — Czasami jednak ludzi zabrakło, brała księcia tęsknica jakaś wielka

i albo na łowy jeździł, lub go Wichfried smutnym widząc, ciągnął do Doroty.

Strofował Biskup Niemca, który go unikał, a swoje robił, stawał się nałóg ów coraz straszniejszym, bo płocha niewiasta górę nad nim brała, i co chciała z nim czyniła.

Biskup nie mało się tęp frasuując, a widząc, że napomnienia nie skutkują, inną radę nie znalazł nad tę, by braciom podszeptać, ażeby siostrę gwałtem z Krakowa wzięli. Gedkowi zdało się, iż choćby zrazu książę gniew miał w sercu, nie śmiałby się za nią ujmować, a potemby o niej zapomnieli.

Z tęp więc postanowił Stacha wyprawić do Tęczyna, który się podjął jechać w poselstwie, nikomu z tęp, nawet Jagie się nie zwierzając. Wybrał się jakby na łowy w okolice.

Warowny był już naówczas zamek stary w Tęczynie, a że Dobrogost, który na nim siedział, wiedział iż nieprzyjaciół ma dookoła, sam zaś z Mieszkiem trzymał, straż zawsze utrzymywano pilną i ludzi podostatkiem.

Stach przybywszy, opowiadać się musiał, od kogo przybywał, powiedział więc Biskupa Gedkę i niebawem go wpuszczono.

Dwór pański był i ludny, służba mnoga, przyjęcie książęce.

Wprowadzono posła do izby wielkiej, rycerskimi zbrojami obwieszoną, do której Dobrogost

wszedł zaraz w sukni dla gościa wdzianęj umyślnie. Z Biskupem nie byli dobrze, Stacha przyjął też zimno. Ponieważ komornik i jeden ze służby u drzwi stali na zawołanie, zażądał posel rozmowy na osobności.

Gdy do komory bocznej weszli, powiedział z czym przybył.

Do Krakowa nocą wtargnąć z ludźmi zbrojnymi nie było trudno, na dworze wdowa nie miała z kim się opierać, bo zbrojnych rozpuściła, mogli więc bracia pochwycić ją i uprowadzić, gdzieby chcieli. Nie mówił Stach weale o księcin ani o powodach, jakie miał Biskup, oprócz publicznego zgorszenia.

Dobrogost zimno to przyjąwszy, odpowiedział po namyśle, iż z bratem poradzić się musi. Chciał wiedzieć jednak, czy książę jest o tém zawiadomiony i czy się to za jego przyzwoleniem działo. Stach odparł, że nie o tém nie wie, i że mu nie zlecono więcej.

Przystojnie uczęstowany, ale odprawiony chłodno, Stach wrócił nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi.

Czekano na nią w Krakowie dni kilka, ale się nikt nie zjawil.

Tymczasem Dobrogost z Sędziwojem układali się o porwanie siostry, zapewnieni będąc, że im to njdzie bezkarnie. Mieli Biskupa za sobą, a ten był naówczas wszechmogącym.

Jednego wieczora Wichfried księcia zawiózł do dworu Doroty, tam jak zwykle zasiedzieli się późno w noc przy kielichach i śpiewach.

Okiennice wszystkie były pozamykane, wrota podwórca zaparte; zapomniano o spóźnionej porze, wdowa zabawiła księcia żywemi opowiadaniem przygód miłosnych, gdy nagle hałas i łomot do kola słyszeć się dały. Pod oknami ludzie biegali śpiesznie, porywano za okiennice, czeladź domowa krzyczała gwałtu. Służba stojąca w przedsieni, wparta do izby, biegła szukając oszczepów do obrony. Jacyś ludzie napadli na dwór.

Księżę z Wichfriedem do mieczów się porwali. Sami będąc, nlekli się najścia, niewiedząc jeszcze z kim do czynienia mieli. Wichfriedowi na myśl przyszedł Mieszek; jako mężny rycerz, sobą zasłaniając księcia, stanął w jego obronie.

Wtém Dobrogost z Sędziwojem, zbrojni do izby wtargnęli, a ujrzawszy Kaźmierza, stanęli osłupieni.

Ludziom, którzy się cisnęli za niemi, znak dali, aby nie szli dalój.

Strwożona Dorota padła na kolana, chwyciła za suknię księcia, błagając go o ratunek.

Kaźmierz Wichfrieda usunawszy, wystąpił sam, wyrzucając braciom nieposłuszeństwo i zdradę.

Zręczny niemiec wystąpił z tém, że księżę zawczasu zawiadomiony o zamiarze najścia na dwór, umyślnie się tu znalazł, by nie dopuścić

gwałtu. W ten sposób odjąć chciał im pozór do obmowy Kaźmierza.

Obaj bracia stali długo niemi i zdrętwieli — Ułękli się, aby ich nieposądzono o zamiar gwałtu nad panem; nie śmieli już siostry brać, wstyd i gniew, że zawiedzeni zostali, odjął im przytomność.

Księżę głosem groźnym pod karą główną, precz im ustąpić natychmiast rozkazał, a nie rościć więcej żadnych praw do opieki nad siostrą, gdyż panujący pierwszym jest wdów i sierot opiekunem. Oświadczył, iż im zuchwały krok przebaczy, jeżeli oni sami zachowają o nim milczenie.

Dobrogost i Sędziwoj nie umiając się i nie chcąc tłumaczyć, bez pokłonu nawet odeszli i ludzi swych zebrawszy, obawiając się pogoni i sądu, przeklinając Biskupa, którego posądzali o zasadzkę — odjechali gniewni do Tęczyna.

Gdy się tak wszystko szczęśliwie dla wdowy skończyło, a Kaźmierz na zamek miał powracać, wdowa jeszcze strwożona na progu legła nie puszczając go i nie chcąc samą pozostać. Wichfried więc rad nie rad, musiał ją zabrać na zamek potajemnie, dopóki by się dla niej inne bezpieczne nie znalazło schronienie.

W obszernych zabudowaniach na Wawelu, można było ukryć do czasu Dorotę, lecz zuchwała niewiasta znalazłszy się bliżej księcia, wcale ztąd

nstępować nie chciała. Musiał więc Wichfried dla osłonięcia jej, mianować się mężem, a że naówczas śluby kościelne powszechnemi jeszcze nie były, dość było nazwiska, aby bliżej nikt nie wglądał.

Nazajutrz po wypadku, którego utaić nie było podobna, wieść o nim, choć sługom milczeć kazano, rozeszła się po mieście. Jagna się też dowiedziała o niej, a Stach z zamku przyszedł drżący gniewem i oburzeniem.

Można sobie wystawić rozpacz jego, gdy to, co miało być ratunkiem, stało się większym niebezpieczeństwem. Dorota na zamku, pod bokiem, obok księżnej; Dorota, którą wszysey znali, choć jako żona Wichfrieda, była groźbą dla przyszłości. Pobiegł natychmiast Stach do Biskupa żale rozwodząc, a ten wysłuchawszy powieści, strwożył się również. Więcej jednak Wichfrieda niż księcia obwiniął.

Tegoż dnia Gedko na zamek się udał. Zbliżał się zapowiedziany już zjazd ów w Łęczycy, dokąd duchowieństwo i ziemianie zebrać się mieli dla ogłoszenia praw nowych. Radzono ciągle, przyszło i teraz do rozpraw poważnych.

Biskup znalazł zręczność Wichfrieda wziąć na stronę i gwałtownie napadł na niego, iż zgorszenia i niesławy jest narzędziem, zagrażając mu karą kościelną. Nawykł był do poszanowania tej władzy, jaką dzierżył i niewątpił, że niemiec się

ukorzy. Stało się jednak inaczej. Wichfried odparł zuchwale, że o uiczem niewie, nikomu sumieniem swém rządzić, a siebie sądzić nie dopuści, że wie co czyni i za to gotów odpowiadać.

Nim Gedko miał czas go za harde słowa skarcić, niemiec poklonił się i nieczekając więcej, oddalił.

Biskup musiał na tém poprzestać, nie chcąc wywoływać na dworze zgorszenia, ale czekał na Kaźmierza i gdy się wszyscy oddalili, rzekł mu.

— Miłościwy książę, boli mnie serce gdy do-brego pana, z obowiązku upamiętywać muszę. Złym ludziom dajecie moc nad sobą, nieszczęsna ta niewiasta, którąście porzucić mi przyrzekli, bliżej was jest niż była. — Co pomoże stanowić najlepsze prawa ludzkie, gdy się Bożych nie zachowuje? Miłościwy książę, zaklinam was, hamujcie waszą gorącą krew Piastowską, a nie kałajcie pięknej duszy waszej!

— Ojciec mój — odparł poruszony Kaźmierz — wierzeć mi, iż walczę z sobą, aby się słabości mej pozbyć, alem ułomny i grzeszny.

Westchnął Biskup — książę pochylił się i w rękę go pocałował.

Natychmiast zwrócił rozmowę na zjazd Łęczycki, a Gedko litując się jego upokorzenia, widząc skruche — odszedł, niewznawiając już napomnień.

Nazajutrz wdowy już na zamku nie było — ale dokąd ją nocą przeprowadzono, nie wiedział nikt. Stach wysłał na zwiady, biegał sam, pytał sługi, nigdzie tropu znaleźć nie mógł. Myślał jednak, że niewiasta jak ona, długo w ukryciu po zostać nie może.

V.

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, zdawna oczekiwany i upragniony;znaczony został w Łęczycy zjazd duchowieństwa ziem wszystkich i ziemian, a starszyzny dla obwołania i poprzyśiężenia praw nowych.

Był to, jakoby prastary wiec zjazd jakiego od wicków nie pamiętano.

Rycerstwo i ziemianie stanąć na nim mieli obok duchowieństwa z prawem Rady przy księcin.

Pochlebiało to ich dumie, ujmowało wszechmocy Panu, dawało siłę jakiej nie mieli, ale wiedzieli, że przyjdzie okupić cześć tę, zrzekając się samowoli nad ludem. Cicszyli się kmiecie i osadnicy, mając nadzieję, że gdyby nawet inny pan nastał, zakon przetrwa i spełniać się będzie. Radowało się naostatek duchowieństwo, najpierwsze

mając zająć miejsce na zjeździe, opiekunów prawa nowego, stróżów jego, a zapewniając majątnościom swym bezpieczeństwo.

Najbardziej jednak cieszył się książę Kaźmierz który tém prawem panowanie swe chciał uświęcić, sumieniu ulżyć, cześć sprawiedliwości, jaką w duszy nosił, czynem stwierdzić.

Dawno już, bo od pierwszej niemal chwili, gdy go na Krakowie osadzono, marzył o tym zakonie sprawiedliwości.

Narzekania na Mieszka i Kietlicza, którzy tak srogo uciskali wszystkie stany, wkładały nań obowiązki zaprowadzenia prawodawstwa nowego.

Największą ofiarę rzeczywiście czynił on, bo się z praw swych wyzuwał, nie w zamian nic biorąc.

Arcybiskup Gnieźnieński i Biskup Poznański, którzy z innemi pasterzami na czele zjazdu zasiadać mieli, zapewniali go tylko, iż nic jedno potwierdzenie uchwał Łęczyckich wyrobią w Rzymie, ale i prawa następstwa na stolicę, złamanego przez wyniesienie Kaźmierzowe.

Najwyższy biskup rzymski, rozdający berła i korony, sam miał uczynić Kaźmierza panem, gdy on dotąd uważał się za przywłaszczyciela.

Radosny to więc dzień był, gdy książę ze świetnym orszakiem, któremu mnogie poczty ziemian towarzyszyły, po wysłuchaniu nabożeństwa

w kościele św. Wacława i odebraniu błogosławieństwa, do Łęczycy wyruszył.

Ze wszystkich krajów podległych Kaźmierzowi rycerstwo, ziemianie, żupanowie, władcy najmocniejsi płynęli gośćmi, wiodąc z sobą gromady czeladzi występując ze wspaniałością największą. Mieli tu wystąpić po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, jako jedno wielkie ciało i siła do-
tąd nienznana, chociaż od Szczodrego czasów potęga jej rosła ciągle, zwiększając się z dniem każdym.

Wiec ten zwołany przez Kaźmierz, czuli to wszyscy, otwierał jakby nowych czasów wrota. Dla jednego tylko duchowieństwa, które już wszelkie możliwe prawa miało i używało ich w pełni, był on mniej znaczącym zabezpieczeniem od samowolnej grabieży. Na zjeździe pasterze majestatem swym niemal przyćmić mieli najwyższego pana. Wiedzieli oni jak Kaźmierz im był uległy, w ich rękach zresztą było potwierdzenie Rzymu, którego słuchać musieli cesarze i królowie, zwani przez Rudobrodego pogardliwie, królikami prowincyi jego państwa.

Duchowieństwo wybrało Łęczycę, jako zwykłe miejsce zjazdów swoich, tak że wiec ów mógł się jego synodem nazywać.

Kaźmierz oprócz ziemian, chciał mieć uczestnikami i świadkami zjazdu, książąt, którzy zwierzchności jego ulegali, pragnąc, aby i oni prawo

przyjeł. Przybyć więc miał Bolesław Wrocławski, Otto, który trzymał Poznańskie, Mieszek Ślązki, Leszek Mazowiecki, syn Kędzierzawego i inni. Pomorsey namiestnicy, ziemianie nie tylko Krakowscy, ale z najdalejszych krańców, które stanowiły dawną całość i do jedności się poczuwały — zjechać też mieli.

Jesień była niepóźna jeszcze, ciepła i dosyć pogodna, gdy Kaźmierz z licznym dworem, wojewodami, żupany, urzędnikami mnogimi, po królewsku niemal w podróż się wybrał. Towarzyszyło mu i duchowieństwo liczne i rycerstwo przydworne i czeladzi zastępy całe i długie wozów szeregi. Dobrze wprzód, nim on sam wyruszył z Krakowa, dwór wyjść musiał, aby po drodze przez okolice w większej części mało załudnione, piaszczyste, leśne, gotować obozowiska, pasze, namioty, mosty i dla mnogiego ludu a koni, pożywienie. Wypadła droga oznaczona do Łęczycy tak, iż mało i niewiele znaczących osad dotykała; idąc niezamieszkałymi stronami. — Książę chciał może uniknąć grabieży, którą prawem chciał ukrócić, a w tłumnej podróży zapobiedz jej było trudno.

Kaźmierz choć kilka dni utrudzające trwało ciągnięcie, był dobrej myśli, bo się zbliżał do dawno upragnionego celu. Czuł się po raz pierwszy istotnym panem na tej ziemi, której przynosił różczkę oliwną. Nigdy go weselszym, pię-

kniejszym, majestatyczniejszym nie widzieli druhowie jego; uśmiech ust, pogoda, nie zehodziła z czoła.

Jechali razem z Gedką, który równie wspólnie jak ksiązę występował; Kaźmierz mu wszędzie pierwszy krok dawał, posłuszeństwo swe i podległość kościołowi chcąc przez to okazać. Dla Biskupa, któremu ani wiek ani powaga nie dozwalały zbyt śpiesznie podróży odbywać, musiał i ksiązę zwalniać kroku.

Często pół dnia ciągnął ten pochód jak procesya kościelna ze śpiewami pobożnymi, które kapelani rozpoczynali, a wszyscy im wtórowali z odkrytymi jadąc głowami. W żadnej z osad po drodze wszystkich ludzi pomieścić nie było podobna, rozbijano więc obozy, rozpalano ognie, namiot ksiązęcy rozpościerano, a nazajutrz rano najczęściej Biskup sam przy ołtarzu z darni pod gołym niebem mszą świętą odprawiał.

Zbliżyli się nareście ku Bzurze, ogromnym błotom i łąkom szerokim, które Łęczycki zameczek na kępie pobudowany otaczały. Zdawało się, że tu było wszystkie suchsze łęgi zajęte obozami, gościńce mrówiące się ludem niepoliczonym.

Dla księcia mieszkanie zgotowane było na zamku drewnianym, dla Biskupa Gedki wraz ze Zbysławem gnieźnieńskim arcybiskupem i przedniejszych duchownych przy starym Tumie o ćwierć mili od Łęczycey, także wśród nizin i błot stoją-

cym ale w zaroślach zielonych i cienistych drzewach.

Gdy Kaźmierz zbliżył się do Łęczycy, na gościniec wązki wysypał się tłum wychodzący go powitać. Arcybiskup gnieźnieński poważny starzec, Żyrosław wrocławski, Cherubin poznański, Lupus plocki, Onolf kujawski, Gaudenty lubński, Konrad pomorski. Wszysey oni razem z prałatami i duchowieństwem mniejszem składali grono sędziwe, poważne, najsilniejszą władzę w tych ziemiach dzierżące w rękę. Za nimi dopiero wiadać było jadącego Bolka wrocławskiego, Mieszka, młodego Leszka mazowieckiego i Ottona który wziął Wielkopolskę. Zbrojni, w szyszaki strojne godłami poubierane, książęta wydawali się niemal dworem tych starców, co im z krzyżami na piersiach przodowali, chociaż przepychem swojego otoczenia mu nieustępowali.

Szlązey książęta, Władysławowicze, wychowani w Niemczech, do obyczaju niemieckiego zawczasu nawykli, nosili się rycersko i świetnie; wszysey byli dorodnego wzrostu, szeroko ramienni, postawy pańskie. Bolko szczególnie, który stroić się lubił, lśnił od złota i świecących blach swój zbroi.

Mieszek mu nie wiele ustępował. Wziąć ich było można obu za wysłańców cesarskiego dworu lub książątka czy grafy niemieckie, bo w nich nie

już północnych panów nie przypominało; poczty ich i dwory wyglądały też z cudzoziemska.

Obok nich blade, wątłe, schorzały wyrostek, z twarzą zbiedzoną, z oczyma przygasłemi, jechał Leszek syn Kędzierzawego, który nigdy żwawej nieznał młodości, bo go od kolebki dręczyła choroba jakaś, na którą leku nie było, a obok niego Wojewoda dodany mu za opiekuna. Na Leszku zbroi mało co było, bo ciężkiego żelaza udźwignąć nie mógł.

Na twarzy jego smutnej, choć dziecinnie uśmiechniętej, śmierć zawczasu położyła swe piętno, a choć się jeszcze spodziewano że się może dorastając pokrzepi, inni już na spadek po nim patrzyli.

Z nim jadący Otto, syn Mieszka, któregośmy już widzieli, krępy, pleczysty, niezgrabny, z głową na grubym karku osadzoną, niedźwiedziowato jak zwierz dziki poglądał do kola.

W orszaku za nimi postępującym pełno było i twarzy osobliwych i strojów przeróżnych, dawnych, nowych, poprzynoszonych z ziem pobranych, rńskich, greckich, niemieckich, francuskich, włoskich, duńskich i normandzkich. Każdy na nroczystość wielką brał co miał najkosztowniejszego, błyskało więc złoto i szkarlaty.

Na Krakowianach, których często nawiedzali kupcy z Włoch i Niemiec, przyprowadzający sukna, blawaty, klejnoty, broń, widać było barwę

zachodnią, na Pomorzanach stare zabytki przepychu dzikiego, na tych co z rusią graniczyli, grecką kupię i orężę wschodnie. Ci co z Henrykiem na krzyżową wyprawę chodzili, nosili i teraz krzyże na chorągwiach i zbrojach, a broń ich na saracenach była zdobytą.

W towarzystwie Biskupów, przy dźwięku dzwonów, wjechał Kaźmierz przez most na kępę, na której stał zameczek Łęczycki, lichy naówczas i niepozorny, ale dla nawykłych do obozowania ładajakiego, dostateczny. Tu już dwór, który panna poprzedził, oczekiwał nań i uczta była zgutowana w części na izbach zamkowych, częścią na podwórcach prostemi stolami i lawy z desek skleconemi zastawionych.

Następnego dnia po nabożeństwie, naznaczoném było zebranie się wszystkich na kępie dla ogłoszenia praw, o których ziemianie mówili z poddaniem się woli księcia, ale nie zbyt wesolo. Nikt się już przeciwie nie myślał, gdy duchowni rzekli że tak być powinno.

Stach, który z innemi przybył tu ze skarbem podróżnym, tegoż wieczora ocierając się o ziemian, nasłuchać się mógł rozmów dziwnych. Nie wszyscy rozumieli czego chciał Kaźmierz, ale o tém wiedzieli iż przekłętym być miał kto by knieciowi zabral samowolnie konie, pochwycił siano, spalił zboże, kazał się żywić i przewodzić.

Od Chrobrego czasów z pokolenia w pokole-

nie szedł ten zwyczaj dawny, a książęta, dwory ich i posłańcy jeździli kosztem tych, których chaty i pola znajdowały się przy drodze. Często sobie wybierano gościńce, gdzie się lepiej pożywić było można, wielu się od posługi ciężkiej okupać musiało. Wygodnkiem to było. Teraz i książę dla siebie wyrzekał się tej grabieży i ziemianie pod klątwą musieli jej zaniechać.

Tylko czasu wojny gdy szły posły z wiciami a o obronę kraju chodziło, prawo stare do życia wracało.

Ziemiańskie stękali i sarkali.

— Teraz — mówił jeden ze Sreniawów — człek będzie musiał za sobą tabor prowadzić, owsy, obroki, chleby, siano.. bo kmić albo sprzedać nie zechce, albo jak za ojca zaprosi. Niech się pan potem nie dziwi że służba iść musi durno a wolno.

— Kmicia przez to licho nie brało, — dodał Lis — że przewód dał i karmił, przecie oni i tak głowy dobrze podnoszą, słuchać już nie chcą, a co będzie dalej gdy w pierze więcej porosną?

— Wszystkiemu winni książę Biskupi — mówili inni. — Im o własną skórę chodziło, aby gdy który z duchownych zemrze, niemógł się sąsiad z bezpańskiego mienia pożywić. Inni plebani po staremu dzieci mają siłą, a już im teraz dziedziczyć probostw nie dopuszczają, więc by choć

stodoły wypróżnić chcieli. Zkądże oni mają te ziemie i brogi, jeśli nie od nas? słuszną było aby na bezkrólewiu my ule podbierali. Mają oni i tak dużo, a na wojnę nie idą, ani dzieci ich.

— Chcieliby zagarnąć wszystko, — mruczał inny. — Żeby mogli dla siebie to prawo przeprowadzić, a i książęciu ziemian też oberżnąć!

— A no, cicho! cicho — przestrzegali drudzy z boku — bo kląć będą jak posłyszają.

Zamilkli.

— Książę bo sam na tém najwięcej pono straci, — ozwał się po chwili Cholewa. — Górę wezmą nad nim więcej niż kiedy bywało. A co robić!!

Skarżono się tak i stękano, ale po cichu. Inni się znowu za knieciami ujmowali, znajdując że prawo słuszne było. Wszyscy jednak ile ich tam się znajdowało, woleli prawo surowe niż żelazną rękę Mieszka i Kietliczowe zagony po kraju, łapanie winnych i niewinnych, których ze skóry odzierano i dla marnych grzywien męczono.

Nazajutrz gdy po nabożeństwie raunem weszło onych ośmiu pasterzy, w mitrach lśniących na głowach, z laskami złocistymi w rękach, w szatach od złota, pereł i purpury, z krzyżami na piersiach, z pierścieniami na rękach — i zasiedli kołem jak senat i sąd w izbie wielkiej, Arcybisкуп Zbysław tuż na równi z księciem, inni po bokach, a tuż ustawili się za niemi książęta we

zbrojach i rycerskich pasach, a dalej ziemianie w szubach, w jedwabiach, sukniach szytych i bramowanych złotem — widok był jakiego ta ziemia dawno nie oglądała, majestatyczny, uroczysty, wielki.

Ci co szemrali wczoraj teraz umilkli przerażeni przed posłannikami Bożemi, którzy mieli prawo wiązać i rozwiązywać. Nie śmiał już nikt pomyśleć inaczey niż ci ojeowie duchowni, przy których była mądrość Boża, słowo Chrystusowe, błogosławieństwo i klątwa, to jest życie i śmierć.

Kazmierz, który najczęściej skromnie się odziewał, na ten dzień niemal po królewsku wystąpił, przybrany w najpiękniejszą zbroję ze złotem, w pas kamieniami barwnymi dzierzgany, w czapkę książęcą o złotych obręczach, w płaszcz z purpury. I pięknym był jak nigdy, a lice jego szczęściem wielkiem i łaskawością promieniało.

Gdy się ukazał w tym majestacie okrzyknęli go wszyscy, — serca chwytali samem obliczem swém. Zdało się starcom że cień Krzywousty, odmłodzony i wypiękniony w niebiesiech, zjawił się przed nimi.

Wśród ciszy wielkiej, wstał sędziwy Zbislaw, i po modlitwie prawo uchwalone głosić zaczął.

— „Ktokolwiek knieciom zboże lub mienie gwałtem czy w jakikolwiek sposób zabierze lub zabrać każe — niech będzie wyklęty!

Wszyscy biskupi powtórzyli za nim.

— Niech będzie wyklęty!

— Ktobykolwiek do dawania przewodu zmuszał lub zmuszać kazał, niech będzie wyklęty. — Czasu wojny tylko jest wolny.

I znowu powtórzyli klątwę pasterze.

— Ktokolwiek po zmarłym Biskupie dobra zagarnie lub zagarniać każe, choćby ksiązęciem był, panem moźnym, urzędnikiem, bez różnicy stanu — niech będzie wyklęty.

— Niech będzie wyklęty!

— I ten kto zabrane dobra kościelne przyjmie, zabranych nie odda w całości, za zwrot nie poręczy, jako współnik świętokradztwa — niech będzie wyklętym!

Dolożył Arcybiskup iż sam ksiązę, dając przykład z siebie, prawom się tym poddawał, wszyscy też pod klątwą posłuszni im być powinni.

Kaźmierz podniósł palce złożone jak do przysięgi na znak przyzwolenia i inni wszyscy szmerem posłusznym mu zawtórowali.

Nastąpiła dziękczynna modlitwa. Arcybiskup uroczyście pobłogosławił zebranych, poczem Biskupi wszyscy z duchowieństwem swém wyszli aby złożyć szaty obrzędowe, ksiązę zszedł ze stopni i razem z książęty co go otaczali, pomiędzy ziemian zstąpił, witając jednych, uśmiechając się drugim, wszystkim okazując łaskawość wielką, oblicze prawdziwie ojcowskie.

Stoły już czekały na zamku pozostawiane, po-

czeli się więc po chwili kupić i garnąć wszyscy jak kto chciał, Krakowianie ze sobą, Mazury, Poznańczycy, Sandomirzanie i Lubelsey, wedle gromad i ziem do których należeli. Podkomorzowie książęcy przy stołach gospodarzyli. Sam Kaźmierz z duchowieństwem i książęty zajął miejsce osobne, ku któremu kto mógł spoglądał, bo wszystkich ich nie każdy znał i nie łatwo mógł zobaczyć. Pokazywano ich sobie — oto nasz!!

Wśród zasepionych, namarszczonych, pokrzywionych różnie twarzy, Kaźmierzowa królowała pięknością i weselem. Sam on innych zachęcał do spełniania knbków, a rozmowy ochocze wszczywał, mieniać ten dzień najpiękniejszym życia swego.

A że duchownemi był otoczony i rozmowy na tor poważny weszły, rad u stołu się zasiedział, o potrzebach ziem tych i przyszłości ich rozmawiając z niemi. Mówiono o zakonach nowych, o klasztorach wznoszących się na chwałę Bożą, benedyktyńskich, norbertanów i cystersów, o pobożności i pracowitości ich, potrzebie nawracania ludu, o sprawach niemiec i świata, o cesarzu i ziemi świętej, wyprawach do niej, jako na pogan sąsiednich w Prusach i Polesiu.

Upłynęło czasu wiele i ani się spostrzegł książę gdy sam dotrzymując wszystkim, co się okolo niego mieniali ciągle, wstawali i przychodzili coraz nowi, do nocy tak przetrwał.

Nie czuł wcale zmordowania. Wichfried aż szepnąć musiał mu iżby na spoczynek po dniu tak znojmym udać się czas było, na co Kaźmierz uśmiechając się odpowiedział iż szczęśliwym się czuje nie zużonym.

Wstał jednak i dał mu się zaprowadzić do przygotowanėj komory, chociaż ziemianie podochoceni długo jeszcze za stołami przesiedzieli.

Jak wszyscy ówczesni królowie i książęta, Kaźmierz rycerzem będąc i łowcem, pieśczoneym nie był, wielkich więc wygod niepotrzebował. Twarde posłanie, prosty posiłek starczyły. Izba sypialna, jakby w obozie, łoże miała ładajakie, a jedyną jej wspaniałością były złociste naczynia z wieczornym napojem, zbroje i stroje, jakich książę potrzebował.

Spało się na skórach, często na mało pokrytėj słomie i sianie.

Kaźmierz ledwie z pomocą komorników swych rozdział się ze szat kosztownych i stał w jednym kaftanie, do snu się zabierając, gdy do drzwi zaskrobano.

Wyszedł jeden ze sług zobaczyć i oznajmił że Bolko wrocławski z księciem mówić pragnął sam na sam.

Kaźmierz, który nie zbyt dawno ich z bratem pojednał, a zgodę uczynioną, pragnął utrzymać, sądząc że dla tój sprawy Bolko mu się

wprasza, natychmiast go puścić kazał, idąc przeciw niemu z otwartemi rękoma.

Bolko, któregośmy przy wjeździe widzieli, pięknej i dzielnej postawy mężczyzna, rycerz odważny, nie miał wcale łagodnej natury Kaźmierza, ani dobrotliwości piastowskiej. Ostro mu patrzyły oczy, twarz z ustami nieco nabrzękłemi, nieco rozlana, okazywała człeka co życia rad był na wsze strony używać wiele i nie szczędzić. Nie zbywało licu na wyrazie pewnej przebiegłości prostaczej i durnie źle pokrytej, a pokrywać się usiłującej. Kipiało w nim zawsze niewygasające wspomnienie praw, których ojciec jego był pozbawionym, choć Kaźmierz uczynił wszystko co mógł, aby pamięć krzywdy nie przez siebie wyrażonej zatrzeć.

Wiedział on że osadzeni na Szlązku książęta serca do niego wielkiego nie mieli. Tém więcéj téż pozyskać ich pragnął. Z uśmiechem witać go począł. Bolko szedł jakby zakłopotany i niepokorny siebie, skłonił się nieco, obejrzał do kola, a że stali nieopodał drzwi, skinął wiodąc ku oknu.

Wszystko to zagadkowém było i tajemniczym.

Kaźmierz poszedł za nim ciekawy ale spokojny, bo dnia tego radość wszystko mu osładzała.

— Z prośbą ja do was przychodzę — rzekł wahając się Bolko — za złe mi jęj nie bierzcie. Posłem jestem.

— Czyimże? — spytał ksiązę.

Bolko spojrział badając i znowu się wahał.

— Nie guńwajcie się tylko na mnie żem przyjął pośrednictwo od niemiłego wam może...

— Mów, od kogo, proszę i co mi niesiesz..

Bolko czoło pocierał.

— Do serca waszego braterskiego, z prośbą, z pokorą Mieszek przychodzi! — rzekł wręście cicho.

Patrział w oczy jaki skutek uczyni to słowo, Kaźmierz się wesoło uśmiechnął.

— Mile mi jest owszem poselstwo wasze — rzekł — bo nie dla mnie pożądaśszém być nie może, nadto bym Mieszkowi los jego osłodził.

— Mieszek jest bardzo nieszczęśliwy — mówił poseł ośmielając się. — Panem był, dziś jest bezdomnym wygnańcem. Nie o niego jednego idzie, ale o trzech téż synów młodszych. Co oni poczną? gdzie pójdą? jaki los ich czeka? Mieszek starzeje, wiek go uciska, a gorzej troska o dzieci. Przypomnijcie sobie że przynimeście się wychowywali, że on niegdyś był wam bratem najlepszym, że gdyście ani kawałka ziemi nie mieli, po Henryku Sandomirz wam oddał.

— Pomnę to — odparł Kaźmierz — ale ja-
kem mu księstwa nie wziął z woli własnej, tak mu go zwrócić nie mogę mimo woli tych co mi je dali.

— Mieszek téż o oddaniu mu Krakowa nie

myśli, ani go żąda — ciągnął Bolko. — Wiek już i siły jego nie potemu aby ciężar ten chciał brać na ramiona i z ziemiany burzliwemi, z duchownemi, samowolnemi miał walczyć! Rad jest że wy rządzą, gdy lepiej niż on umiecie im królować. Życzy wam szczęścia!

Tu Bolko twarz nastroił taką, jakby w to szczęście trudno mu uwierzyć było; a potem dodał.

— Bogdajbyście byli szczęśliwsi od niego u pańów ziemian.. Złamali oni przysięgę ojcu mojemu, jemu — wzięli was, a dziś już i na was szemrzą. Ktoż wie co będzie? Nie ręczyć i za to że gdy wy się im naprzykrzycie, zechcą albo do Mieszka powracać, lub jeszcze innego wybierać.

— A! Bóg z niemi! — odrzekł Kaźmierz spokojnie — powrócę do Sandomirza!!

Bolko popatrzał nań zdumiony tą obojętnością.

— Dla was, — począł znowu — bezpieczniej byłoby i spokojniej, pojednać się z Mieszkiem i mieć go przyjacielem niż wrogiem.

— Ja tego pragnę, jak Bóg Bogiem! — zawołał Kaźmierz — choćby największym kosztem.

Bolko niby wątpiąc o szczerości tego wyznania, popatrzał nań, a Kaźmierz powtórzył.

— Wierzaj mi, pragnę tego. Czegoż chce Mieszek?

— Nic więcej nad to co mu się święcie i spra-

wiedliwie należy wedle ojcowskiego naznaczenia. Daj mu napowrót Poznańskie, które własny syn wydarł, dej mu je całe, z Ottonem się on przejedna. Daj mu je przez wdzięczność, przez rozum, przez serce twe.

Każmierz ręce podniósłszy, objął Bolka za szyję.

— Bądź mi pozdrowion wdzięcznie, pośle zgody i pokoju! — zawolał. — Oddam mu je! o ile w mej mocy to jest, zgadzam się, niech bierze.

— A któż tu panem jeśli nie ty! — zapytał Bolko.

Każmierz głową potrząsał.

— Mily mój, — odparł — bez rady duchownych i panów, ja niemogę nic. To ci tajem być nie powinno. Wezwać ich muszę, radzić się będę, sam powiem że tego pragnę.

— Oni ci się nie będą śmieli sprzeciwiać — rzekł Bolko.

— Daj Boże! — odparł Każmierz. — Nie chcę nie poczynać bez was, abys mi świadkiem był, że szczerze idę.. Jutro rano z Arcybiskupem i Gedką mówić będziemy, a przez nich z wielkopolany..

Uściskał go raz jeszcze.

— Bóg niech będzie świadkiem prawdy i szcerości słów moich — dodał. — Zrzekę się po-

zuańskiego chętnie, bo widzę to sprawiedliwem, a sprawiedliwym chcę być.

Bolko, który się widać niespodziewał z taką łatwością uzyskać tego z czem przyszedł, gotując się błagać i przekonywać — niemiał już więcej co mówić. Stał niedowierzający, niespokojny.

Każmierz dostrzegłszy tego, odezwał się jeszcze.

— Dzień to zaprawdę szczęśliwy dla mnie, gdy i duszne życzenia moje ziszcza i robi mi nadzieję że w bratu druha odzyszczę.

Bolko do raniienia mu się pochylił, uściskali się — szedł do drzwi.

Tak się rozstali, a Każmierz przywoławszy zaraz komornika, kazał mu zbudzić się rano, u Arcybiskupa i Gedki zamawiając ranną rozmowę.

Jak dzień wszystko się na zamku poruszać zaczęło. Biskupi i prałaci, niektórzy w Tumie, inni w kościele Łęczyckim za miastem, drudzy na zamku w kaplicy msze odprawiali. Każmierz jednej z nich wysłuchawszy, pragnął co prędzej z Gedką się rozmówić, gdy właśnie go oznajmiono. — Weszli do komory osobnej.

— Bóg mi pobłogosławił — począł Każmierz i wczorajsze poselstwo Bolkowe Biskupowi opowiedział żywo.

Biskup słuchał bardzo uważny ale zasępiając się. Pierwszém słowem jego było.

— Mieszek szczerem nie jest. Chce Poznania, aby z rycerstwem jego na Kraków potém uderzyć —

— Ojcie! — przerwał Kaźmierz — nie posądzajmy go!

I to mówiąc w ramię pocałował Biskupa.

— To moje pragnienie jedyne. Niech się ono ziści! zgody i pokoju chcę!!

Biskup widząc jak gorąco się ujmował zamilkł.

— Zwołamy ziemian poznańskich, dziś czy jutro — rzekł — już to dziś w obyczaj poszło, że bez woli ich, pana im narzucać się nie godzi.

Książę się zdumiał i cofnął.

— Tak jest — odparł Gedko. — Dziedzictwo to czy nie, po ojcu czy po bracie, ziemianie rozstrzygają kto im miły i kogo słuchać mają. Arcybiskup też Zbysław ma prawo wypowiedzieć zdanie swoje.

— A ja? — przerwał Kaźmierz — cóż ja?

— Miłościwy książę — odezwał się Biskup. — Wy ze wszystkich macie powagę największą, ale z ziemiany naszymi, którzy są dosyć samowolni a burzliwi, siłą coś chcecie dokonać — trudno. Zamiast zgody i pokoju mieć będziecie swar i rozruch.

— Ale oni powinni przystać na to! — przerwał książę.

— Niewiem — rzekł Gedko. — Pragnę dla

was oszczędzić trudu i zachodu, zatém pozwólcie nam z Arcybiskupem probować. Puścimy wieść o tém że Mieszek ma na Poznań powrócić. Zobaczemy co rzeką.

Zadumany trochę frasobliwie, Kaźmierz przystał na to.

— Dajcie mi to zgotować powoli! — powtórzył Gedko i wyszedł.

Zadumany głęboko ksiązę pozostał sam z sobą.

— Nie jestem już panem! — powtarzał w duchu — nie mogę nie bez biskupów i ziemian! Jestli to lepiej czy gorzej?

Miłość pokoju i sprawiedliwości pocieszała go że tak być lepiej musiało, a dla sumienia bezpieczeńiej. Ale pamięć zarazem przywodziła dawne czasy, dziadów i ojców, które inne były... Naówczas oni jedni rozkazywali, i potęgę mieli wielką!

— Ale ja w duszy mój spokojny! — dodał pocieszając się.

Zdawszy na Gedkę staranie Kaźmierz dnia tego, nikomu więcej się myśli swój nie zwierzał. Czas upłynął na rozmowach i popisach rycerskich. Ziemianie, z których wielu mieli prośby i żaloby, wszyscy jeszcze w Łęczycy pozostali.

Miał też Kaźmierz chorego Leszka, którego kochał jak własne dziecię i z nim się jak z dziecięciem zabawiał. Starania około niego potrzeba było, bo słabe chłopię znieść nie mogło tego żywota, jaki wówczas wszyscy wiedli. Oprócz

Każmierza co go kochał, inni co się na spadek oglądali, widząc że długo żyć nie mógł, otaczali go wielką okazując miłość. Dla nikogo czulszą nie była rodzina jak dla niego, zalecał mu się każdy ujmnając dla siebie. Zabawiano go, przynoszono podarki ten i ów mu się do Płocka obiecywał, a Leszek wszystko przyjmował z uśmiechem dość obojętnym. Wśród tych rozrosłych na olbrzymów rycerzy, z których każdy ogromną zbroję żelazną jak piórko dźwigał na ramionach, ciężki szyszak brał na głowę, na koniu mógł dzień cały harcować, on się wydawał jak istota z innego zabląkana świata.

Stary Żyra do boku mu dodany, chodził za nim jak niauka go pilnując, w rozmowach nawet często albo mu poddając słowa, lub sam zań odpowiadając. Biednego Leszka nie się tu nie zdało obchodzić — znużony pokładał się na ławach, dla wszystkich starszych równie uprzejmy i zarówno obojętny. Jednego Kaźmierza zdawał się kochać więcej.

Książę się nim też szczególnie opiekował. Pamiętał że umierający brat oddał mu go w opiekę, rad był słabe to dziecię wypiaستować na męża. Ale kilku już uczonych mnichów benedyktyńskich posyłano mu, dawano leki różne a dziecię ciągle słabło, i choć rosło, wzrost zdawał się je czynić coraz wątleszym.

U stołów Bolko się przysiadł do księcia badając go pilno oczyma o skutek rozmowy.

— Czekam na odpowiedź Biskupów, — szepnął mu Kaźmierz.

Bolko okazał trochę zakłopotania ale — zmilczał.

Dotąd, choć ziemianie po kątach cicho szemrali, nie było znaków aby to ich bardzo bolało co się dokonało. W obozie i na zamku wesołość panowała i ochota wielka, ze wszystkich ziem rycerstwo się bratało, opowiadało sobie co się gdzie działo, śmiechy się różne rozlegały, a poza kępą zamkową, o ile błotnista okolica dozwalała, szalano po troszę zwłaszcza młodzież, wyścigając się, biegając o zakłady, próbując koni zręczności i siły. Pod wieczór jednak Kaźmierz i drudzy spostrzegli że się coś w tej zgodnej dotąd ciżbie zawichrzyło.

Ludzie się poczęli powoływać, zbierać w kupki osobne, ściągając po kątach. Tu i owdzie słychać było dających sobie hasła wielkopolan. Domyślił się Kaźmierz że słowo już puszczone między nich. Lecz że wieczór nadchodził, czasu zostawało mało, nie widziano więcęj nad to że rycerstwo od Poznania i Gniezna osobno się wyłączyli i bardzo żwawo gwarzyli.

Ze wszystkich ziem co się tu zgromadziły, krakowska najbardzięj się odznaczała butą i samowolą, — ztąd szło zawsze hasło do upominania się swobód i roszczenia praw.

Tu powtarzano głośno że ziemianie panów sobie wybierać a bodaj przebierać w nich mogą. — Odprawa dana Mieszkowi jeszcze dnnę tę i samowolę podniosła. Obok krakowian w jednej prawie mierze stali starzy piastowscy wielkopolanie, którzy też tego chcieli co i oni i o toż się upominali.

— Jako oni tak i my, — mówili, — bośmy to przecie tak dobrzy jak oni, jeśli nie lepsi. Z naszego ula wyszły matki! Jeżeli oni sobie wybierać mogą, nam przysłało toż samo co im.

Dotąd było to próżne gadanie, ale tego wieczora zabierało się na coś więcej.

Gdy się wielkopolanie poczęli zwolywać i naradzać, inni postrzegłszy to, zaniepokoiili się. Krakowianie już badali — co tam było? Odpowiadano im.

— Nasza sprawa domowa.

— Kiedy wasza to i nasza.

— Jako żywo! o naszą skórę idzie.

Dowiedzieć się nie można było co się stało, ale wielkopolan jak wyniółł na zamkn nie stało. Starszyzna ich kn Tumowi ciągnęła i po drodze, widać było, jak stawali i o coś się bardzo spierali. Inni ciekawi byli nad miarę — co tam jest? Nikt nie wiedział.

Pocieszano się tćm iż domowa jakaś sprawa była, o którą z Arcybisknpem mówić chcieli i pewno dokończyć ją między sobą jak zaczęli.

Pod noc późną zasiedzieli się wszyscy za stolami n dzbanów, ochoczo i z dobrą myślą. Już o nocnej godzinie, wielkopolanie, których nagle nie stało, małemi gromadkami od Tumu wracać zaczęli. Przychodzili milczący, siadali za stół, na twarzach widać było że się czemś gryźli — pytano ich, głowami trzęśli.

Ten i ów krzyknął wabiąc drugich. — Posłuchanie jutro! — Inni przebąkiwali. — Nasza rzecz, a no kto się za nas teraz nie ujmie, za tego my czasu sposobnego nie staniemy.

Zaczęła powracać starszyzna, umęczona, zła, kwaśna. Nie szli na zamek, gdzie dla nich miejsce było, posiadali w podwórzach za stolami, popodpierali łokciami, pili i sumowali. Krakowianie widzieli że coś grubego się warzyło, ale który z nich badać zaczął, dostał ostrą odprawę. — Pilmjcie swego nosa!

Pomiędzy sobą, gdzie się ich więcej zeszło, gwarzyli wielkopolanie namiętnie, podnosili pięści, spierali się, odgrażali. Uderzało to wszystkich, że władcy możniejsi do księcia nie szli, a co który na zamek spojrział, nadymał się groźnie. Wyrywały się wyrazy:

— Zobaczymy! Co to my dzieci? co drugim, musi być i nam. Im z nosa spadło a nas będą częstować! — Albośmy to głupi! nie damy się!
i t. p.

W takim usposobieniu dotrwali do nocy i po-

woli się do namiotów, szałasów i wozów swych porozkłazili. Stach, który znał różnych a wielu, próbował ciągnąć za język, nie dali mu się. Zaczynał zawsze od księcia i pochwał jego, zimnemi twarzami przyjmowanych. Wczoraj jeszcze dużo było takich, co go wielce kochali, dziś nikt się nie odezwał dobrego słowa.

— Cóżecie to tak markotni? — zapytał podpilego już starego, o którym wiedział że po piwie języka nie strzyma.

Ten mu się pochylił do ucha, głębiej ręką zasłaniając.

— Niewiecie nic? A toć nam tego dusiciela Mieszka chcą dać do Poznania za pana. W Krakowie zły był a nam ma być w sam raz. Cóż to my za jedni? Znoski? Książę wasz myśli, że my mu z sobą damy robić co jego wola i laska? A no? Zobaczemy! Jak się uprze — to i jego precz wyżeniemy z Krakowa, a innego poszukamy. Czy to ich mało jest? Niechaj wie, że jak go ziemianie zrobili, tak odrobić potrafią!

VI.

Nazajutrz rano poznać już było nie można owęj zgodnej wczora ziemian gromady. Jak stado owiec gdy wilk w nie wpadnie, wszystko się rozpierzchnęło i popłoszyło.

Wyglądało rozbito i groźno. Tu i owdzie na całe gardła pokrzykiwano, wrzawa i rozdrażnienie coraz rosły. Na pojedynczym człowieku całe inaczej każde słowo i wieść skutkuje. Powoli je myśl przyjmuje a serce się niem rozgrzewa; w gromadzie, gdzie ten i ów podżega, żywić do góry wszystko się niesie i bucha. To co by ha-mować miało, w otwartém polu, z tłumu rychlęj wywoła przekorę. Niechże ludzie słowu przykła-sną, albo mu się rozśmieją, jakby je wiatr po-pędził leci i w czuprynach siada.

Jeden drugiego radby prześcignął, powie kto

jeden, wnet dziesięć wola drugi, aby się wyprzedzić nie dał, rzeczy zły, okrzykną najgorszy. Gromada gdy kocha to strasznie, gdy nieuawidzi, to zabójezo, gdy odpycha, to na drugi koniec świata, gdy przyciąga, udusić gotowa.

I tu się tak stało. Ledwie im szepnięto o Mieszku z wieczora, że im go chcą dać, jeden zawołał aby go tam wzięli zkaąd wyszedł, drugi klnął ostatni zabijać był rad..

Ci co by inaczéj mówić chcieli, nie śmieli, odwaga odpadła, a zwolna i ich téż rozgrzało. Poszło to jak ogień po suchych wrzosach jesienią — zrana już gorzało wszystko. Arcybiskup staruszek, który się wybierał za myślą książęcą przemawiać, znalazł już swych ludzi tak przygotowanych, że go słuchać nie chcieli.

Tajemnicy nazajutrz już nie czynili Wielkopole i poczęli Krakowian buntować.

— Co nam dziś, to wam jutro!

— Poczęło się od podwód i przewodu, które nam odjęto — wolali — od księżowskich spięrzów, do których nam już pod klątwą zajrzeć nie wolno, choćby bezpańskie były, a tu już — patrzcie, i pana narzucają!

— Co to my Mieszka nieznamy — powiadali drudzy, — samiście go nam przecie ukazali jakim on jest, gdyście go precz wyżegli. A teraz dla nas ma być dobry?

— Słuchajcie! — prawili zapaleńsi Krakow-

wianom — jeżeli Kaźmierz się uprze swoją wolę mieć, my też ją mieć będziemy. Razem z wami wyżeniemy go, a młodego Leszka weźmiecie do Krakowa, ten zrobi co zechcemy.

— Do panów Biskupów! — krzyczano.

Krakowianom się to dosyć podobało, żeby bodaj nowego pana szukać, a okazać co to ziemia nie mogą.

— My z wami! — poczęli krzyczeć. — Do Biskupów!

Wrzawa się już nie lada wzięła w podwóren. Stach, który od wczora chodził niespokojny, postrzegł że nie żartem się zanoszą na zawieruchę. Puścił się jako swój do swoich, żeby zbadać jak rzeczy stały.

Zamek prawie opustoszał. Nierozjeżdżali się ziemianie, ale w nich wrzało — jedni stawali na gościńcu drudzy po łąkach, inni jechali do Tumu. Zamęt coraz był większy.

Od Miesza się zaczęło, a teraz już dla Kaźmierza groźnem się stało.

Okrzykiwano go wczoraj. teraz zabierano się kłąć, iskry tylko było potrzeba aby ziemian, nratą praw zadrażnionych, do reszty zbурzyć. Stach, lepiej znający niektórych z Krakowian, próbował wstrzymywać i upamiętywać. Ale — gdzie tam! Sprawa była wspólna, umysły się zapalały, ani już było mówić z niemi.

Jedni biegli do Gedki, drudzy do Arcybisku-

pa Zbysława, inni gromadzili się do kupy i już radzili kogo sobie nowego mają wybierać. Biskup Gedko od rana był na zamku, od pierwszej chwili postrzegł na co się zaniósło, ale miał nadzieję powagą swą hamować.

Starszyzna Wielkopolska naprzód nie do niego ale się posunęła do Arcybiskupa. Staruszek im odpowiedział że o niczem nie wie i odprowadził ich do Gedki. Zrazu iść do niego nie chcieli, potem kilkunastu się ich wybrało, poszli.

Biskup postrzegłszy ich przybywających, wiedział już co z sobą nieśli. Dość było popatrzeć na nich, by postrzedz iż tak w piersiach wezbrało że ledwie donieść mogli, buchaly im słowa jak kipiątek z garnka. Weisnęli się wyprzedzając i popychając, twarze rozgorzałe, oczy zaiskrzone, włosy porozrzucane, usta drgające. Gedko który zawsze panem był siebie, w chwilach stanowczych umiał się oblec powagą, która onieśmielała. Nie okazał wcale iż się gniewów domyśla, przybrał twarz pogodną, błogosławił, uśmiechał się.

W tém razem trzech głos zabrać chciało.

Wskazał wybrawszy jednego, starego Rolę, aby przemawiał za innych.

— Pomaleńku, po jednemu, moje dzieci.

Trochę ich to otrzeźwiło. Rola posunął się naprzód, lecz gdy już mówić zaczynał, głos mu tak drżał ze wzruszenia, iż go zrozumieć nie było można.

— Pomaleńku! — powtórzył Biskup.

Rola odetchnął, kalsznał, zaczął.

— Przyszliśmy tu jak dzieci do ojca, po sprawiedliwość i miłosierdzie, których już na świecie nie ma.

— A no i prawda! — zawołali inni za nim — nie ma.

— O co wam idzie?

— Książę nam samowolnie chce narzucić pana, tego którego wy ojcie, wymietliście precz z Krakowa, bo ze skóry darł ludzi z Kietliczem. A myż nie Boże stworzenia? nasza skóra nie nie warta? Za co my cierpieć mamy i jeszcze się wstydać? My go nie cheemy!

— Niehecemy! niehecemy! — zakrzyknęli wszyscy.

Gedko słuchał podparty na rękę.

— Ja — odrzekł powolnie — ażeby to stanowczo postanowione być miało, nie wiem. A no gdyby tak było?

— Niehecemy! — zawołali Wielkopolanie.

— Posłuchajcież no — rzekł Biskup.

Uciszyło się.

— Gdyby tak było — dodał — dzieci moje — całe inna rzecz Mieszek w Poznaniu a Mieszek w Krakowie.

Zakrzyczano, Biskup mówił dalej.

— Tak, tak, dzieci moje — bo Mieszek w Krakowie był panem zwierzchnim i czynił co chciał

a na skargę pójść nie było do kogo. Ten sam Mieszek u was nie może czynić tylko to co mu Kaźmierz pozwoli. Gdy mu każe Kietlicza precz odpędzić — musi go odegnąć. Widzicie że sprawa zupełnie różna. Wiecie dobrze że ja Mieszkowi nie sprzyjam, bom pomógł go z Krakowa wysadzić, tego się nie zapieram. U was on paucm nie będzie, ale włodarzem.

— Ho! ho; — poczał drugi, Skóra, jeden z najgorętszych — my to od razu wiedzieliśmy, że miłość wasza potraficie nam prostym ludziom tak rzecz postawić, jak zechcecie. Na to ojcowie duchowni uczą się po za granicą, aby nam nieukom umieli oczy zapruszać. My, prawda, w księgach nie czytamy, językiem tak nie umiemy obracać jak księża, ale u nas co krzywo to krzywo, a co prosto to prosto — i koniec.

Gedko dostojnik wielki, pau możny, obraził się mową zuchwałą.

— Śmiecież wy, mnie, pasterzowi wyrzucać, jakobym ja was fałszem chciał karmić? A wiesz ty co popełniasz, zuchwale targając się na mnie?

Uderzył się w piersi i cały jakby purpurą oblał.

Skóra popatrzał nań, ale że Biskup nie jego był, nie bardzo się strwożył.

— To już co człowiek myśli, mówić nie wolno? — zapytał.

Drudzy obstając za nim, szemrali też, Biskup

choć się hamował, uczuł potrzebę okazać gniew i oburzenie. Nie pobłażał nigdy oporowi władzy swój i nieposłuszeństwu.

Wyprostował się i począł głosem uroczystym

— Chcieilibyście wy, sami tu już, bez książąt i bez nas gospodarzyć! Sami sobie panów dawać, prawa stanowić, dogadzać wymysłom? Ojcowie duchowni wam już za nie? A no wspomnijcie, że jakśmy wam dali skosztować swobody, tak jēj i przykrócić potrafimy.

Odetchnął Gedko i spoczął nieco, oglądając się po ziemianach, którzy wzrokiem między sobą naradzali się.

— Chcecież aby Mieszek bezdomny, — dodał Biskup — nam i wam, siedząc na granicy, wiecznie pokoju nie dawał, warcholił i spiskował? Przecie go gdzieś osadzić potrzeba.

— A no — zawołał Skóra hardo — mieściecie go sobie gdzie wola i łaska, byle nie u nas.

— Nie u nas! — potwierdzili inni.

— My go nie chcemy.

— Uprze się pan Kaźmierz — dodał Skóra — my i Krakowian od niego odciągniemy, a to go spotka co Mieszka!

Biskup uderzył nogą o ziemię.

— Śniecicie grozić, jemu i mnie! — krzyknął.

— Waszēj miłości nie stanie się nic — odparł Skóra — a książę Kaźmierz tak pójdzie z Krakowa jako i Mieszek.

— Myślicie że bezemnie i bez nas uczynić to możecie? — gwałtownie począł Gedko. — Wybyście sami nie mogli bez nas — nie! nie! Mylicie się zuchwali a krnąbrni, nie wy, ale my Biskupi, najwyższą władzą Biskupa Rzymskiego panujemy świata, my zrzucamy i sadzimy!

Skóra, na którego towarzysze patrzali przeciękli, co na to rzecze, zamruczał tylko.

— Probowali my z Biskupami, poprobujemy bez nich. Nasza natura taka, miłościwy ojeze, pozwól kurze na grzędzie, polezie ci wszędzie. Tak nas Bóg stworzył.

Nieprzystojny ten żart, który Gedkę do gniewu pobudził, ziemian stojących za Skórą, rozśmieszył, co poważnego Biskupa bardziej jeszcze rozjątrzyło. Widział że poszanowania dlań nie miano.

Groźno podniósł głos i palce do góry.

— Strzeżcie się zuchwali, abyście nie ściągali piorunów na siebie, i nie zostali wyłączeni z kościoła, strzeżcie się!

Skóra stał, jakby go to nie nie obeszło.

— Tu o żaden kościół nie idzie, — odparł — my Biskupa w kościele słuchamy i słuchać będziemy, dziesięciny dajemy, w ręce całujemy, ale tu sprawa inna. Tu o ziemię naszą idzie, a my sobie kołków na głowach ciosać nie damy. — Nie!

Gromada ośmielona znowu, poczęła potakiwać

silnie. Gedko w gniewie rzucił się i na drzwi im wskazał.

— Idźcie do swojego Pasterza, wy zuchwale pyszalki, idźcie, ja z mojami Krakowianami sobie poradzę.

Skóra potoczył wzrokiem po swoich, dał znak, pokłonił się.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

I wyszli.

Zuchwalstwem tem i uporem dotknięty mocno Gedko, długo potem przyjsć do siebie nie mógł. Sprawa przybierała rozmiary groźne, ziemianie krakowscy poczynali jawnie brać Wielkopolską stronę. Kto się inaczéj odezwał, zakrzykiwano go że rabem i parobkiem ksiązęcym był, a nie ziemianinem. Wielkopolskanie całą ławą, dowiedziawszy się że Arcybiskup był w Tmnie, jedni pieszo, drudzy konno się wybrali do niego.

Arcybiskup Zbistaw, choć na zjeździe tym i w sprawach krakowskich na oko wielkiego nie brał udziału, choć niknął przy Gedce, nie mniéj był czynnym od niego. On to sprawił, że Ottonowi dając poznańskie, Kaźmierz Gniezno dla siebie wyłączył. Całe inaczéj działał Arcybiskup niż Gedko. Ten szedł jawnie i głośnie, stary Arcybiskup nie lubiący walki, nie wierzący może w jej skuteczność, powoli, łagodnie działał i nieznamienicie, choć niemniéj dzielnie. Najczęściéj drugim dawał hasło, a sam zostawał na stronie.

Umysł to był niepospolity, rozum wielki, ale skromnem milczeniem okryty.

Przez drogę do Tumu, ćwierć mili, ziemianie czas mieli ostygnać trochę, a niektórzy bardziej jeszcze się rozgrzać. Skóra radził nie ustępować i przy swém stać, kamieniem.

— Jak my się im raz damy, — mówił — to po nas. Albo my tu gospodarze, albo księża i księżęta. Duchownych my z sobą mieć chcemy ale nad sobą — nie!

Wszyscy mu potakiwali. Część jedna Wielkopolan, ludzi przezornych, dawszy się większej liczbie swoich wybrać do Tumu, sama pozostała w Łęczycy, aby Krakowianom nie dać ostygnać. Chciano ich mieć koniecznie z sobą, aby Kaźmierzowi zagrozić.

Zostali najgorętsi i dawszy sobie znaki, poszli między ziemian krakowskich, mazurów, sandomirzan, lublinian, pozyskując ich dla swój sprawy. Tu im szło szczęściem różnem.

Krakowian którzy zawsze byli dosyć butni a nie mieli czasu się do Kaźmierza tak bardzo przywiązać, i siłę swą pokazać chcieli, łatwiej sobie od razu zjednali i utrzymali z sobą. Sandomirzanie przywiązani do dawnego pana, słuchać ich nawet niechcieli.

Główna waga była na Krakowianach.

— Co to wy — nawoływali poznańscy, — mniechy jesteście czy klerycy, czy żaki żeby wa-

mi Biskupi i księża rządzą? Co wam Gedko powieć, wy go zaraz słuchać macie? Niespodobał mu się Mieszek, wygналиście go precz, a podoba mu się go sadzić na nasze karki, to wy mu będziecie pomagali?

Pamiętajcie że Biskupi nie wieczni, a z nami przyniemieże trzymać lepić niż z niemi.

Podweseleni i siłą swą rozmarzeni krakowianie, dosyć się na to godzili.

Jeden Mikołaj Lis, brat Pelki, Dziekana krakowskiego, pan znaczny, umysłu przebiegłego, rozumu wielkiego, który niegdy na naukach we Włoszech z bratem bywał i tam się po różnych szkołach ćwiczył — na halasy te głową potrząsał. Pomagał mu Chmara, drwiąc z zapalonych.

Mikołaj mówił.

— Gdy dla łada czego panów zaczniemy mienić raz w raz jak płoche dzieci, pośmiewisko z siebie uczynimy. Okaże się że Mieszek co nas żelazną ręką trzymał praw był, bo dobrą wolą nie nie robi z nami. Sprawa to nie nasza, a Wielkojęolan, co my mamy dla nich zrywać z panem dobrym, laskawym, który nam ojcem jest?

A Chmara wtrącał.

— Nie macie słuszności, panie Mikołaju, trzeba coraz to z innego pieca chleba probować. Wy-rzucimy Kaźmierza że dobry, weźmijmy sobie Leszka, który ledwo dysze, ten będzie lepszy,

bo nie pożyje długo i znówu nowe sitko na kolek. A tu się ludzie przytém pożywiał, nowy pan, nie jednemu kabat nowy!

Mikołaj jakby nie słyszał tych żartów, surowo przemawiał.

— Niesłuchajcie warcholów płochych, dobrze żeśmy pod dachem, nie leżmy dobrowolnie na slotę.

— Prawisz tak — przerwał mu Dobrogost z Tęczyna, — bo i ty i brat twój, co przy biskupie jest, oba Biskupowi służycie, jego piosnkę śpiewacie.

— Nie — odparł Lis dumnie — ja nie służę nikomu, tylko własnej sprawie, gubić się naszej ziemi nie damy, i ja i drudzy co są ze mną.

— A wielnż was jest? — zawolano z ciżby — policzcie się?

Mikołaj obejrzawszy się, w istocie mógł się przekonać, że był tak jak sam jeden, bo choć Stach niedaleko gardłował téż za Kaźmierzem, i temu wytykano, że księciu i Biskupowi służy. Stach zrywał się gniewnie, ale napróżno. Mała garstka tych co Kaźmierza bronili, pod strachem daleko znaczniejszego tłumu tych co rozgrzani przeciw niemu wolali — coraz się uszczupiała. Zamiast nawracać, przemawiania Mikołaja i Stacha, jątrzyły i do wybuchów pobudzały.

Przychodziło do tego, że się już na prawdę

naradzano, kogo na miejscu Kaźmierzowém posadzą.

Nieliczni obrońcy księcia strwożeni, rozproszyli się, niewiedząc już co począć. Chmara, jeden zszedłszy się ze Stachem na uboczu, śmiał się.

— Niechbo się wykrzyczą — mówił — pójdzie im to na zdrowie. Z hałasu tego, jako żywo, nie nie będzie. Gdzie który guza oberwie, dzbanek jaki stłuką, a żeby się mieli na księcia albo na Biskupa porywać — e! do tego daleko!

— Zbyt ufny być nie można — odparł Stach — coś radzić trzeba.

— A najlepiej nie — rzekł Chmara, — jak się im nikt przeciwiać nie będzie, wyszepeczą się jak raki. Miły Boże! ja ich znam. Gdyby ich Biskup nie prowadził i nie zmusił do wystąpienia, oni byliby i na Mieszka krzyczeli, a nie zrobiliby mu nic.

— Teraz do prowadzenia, — rzekł Stach — nicę będą zamiast Biskupa, braci z Tęczyna, którzy Kaźmierza nie lubią, znajdą i innych. Zawierucha łatwo się zerwać może.

Pobiegł tedy Stach. Chmarę porzuciwszy, aby, gdy sam nie nie zdołał zrobić, pilnować przynajmniej co się gdzie będzie działo.

Ten sam Gąsior co w Sandomirzu tak za Kaźmierzem obstawał, podbudzając ku obronie jego, znalazł się i tu ze swą gębą wyprawną, ale już

inaczej śpiewał, na Kazimierza powstawał i ziemianie go pilno słuchali.

— A dawnożecie to — przerwał mu Stach — w Sandomirzu Kazimierza na rękach nosić chcieli gardlując za nim. Cóż wam uczynił iż uau! szczujecie teraz?

— Co? jeszcze się pytasz? — zawołał Gąsior. — Co uczynił? on tu sobie myśli pauować bez ojczyców, a ziemię rozdawać jak mu się zamarzy? Niedoczekanie jego, z braćmi Wielkopolany pójdziemy, zrzucimy go aby drugich rozumu nauczyć. Zrzucić! o książąt łatwo!

Śmieli się niektórzy, Gąsior prawił.

— Jest w czém wybierać. Władysławowicza którego wziąć, szlachaczki ubogie, będzie nam to służyło jak zechcemy.

— Człowiecze! ale cóż ci Kazimierz winien?

— wołał Stach.

— Co? mnie... nie — rzekł Gąsior — a choćby i nikomu nie winien był wie? a gdyby nam trzeba było okazać co ziemianie, ojczyce mogą? Ot tak! na grozę drugim — albo to coś wie warto?

Wziął się w boki.

— My tu panami, nie kto? My! Znajcie nas, skurczybyki!

Że beczki stały otworem, a czerpano z nich obficie, więc pod wieczór tak się zawzięło ziemiaństwo iż bodaj na zamek już ruszać chciało,

Kaźmierzowi wypowiadać posłuszeństwo. Huczano straszliwie. Około zamku przyboczna straż Jaksa, Mikołaj Lis, Goworek, Żyra, Chmara i co było Kaźmierzowi wiernych, musieli stać, aby rozdrażnieni Krakowianie istotnie się do jakiego zuchwałego nie rzucili kroku.

Gdy się to działo na zamku, Wielkopoleanie do Tumu śpieszyli do Zbislawa, który mało co jeszcze o wszystkim wiedział. Wyprzedził ich jednak wysłany przez Gedkę, dziekan Pelka, brat Mikołaja Lisa, wioząc przestrożę, by Arcybiskup starał się ziemian uspokoić, gdyż nader zuchwale sobie poczynali z Biskupem.

Gdy się około Tumu zjawilo poselstwo, Arcybiskup w kościele był na modlitwie, kazano im zaczekać, rachując może na to, że ostygną. Potém zasiadłszy uroczyście na tronie dla siebie przysposobionym, w płaszczyku zlocistym (jaki wówczas nosili biskupi), Zbislaw wpuścić ich kazał. Gedko powagą swą, postawą, powierchownością pańską mógł wrazić ludziom uszanowanie, Arcybiskup świątobliwy, pobożny, spokojny starzec, nie unoszący się nigdy — trzymał zawsze owieczki swe w téj odległości od siebie, iż sporu z sobą nawet nie byłby dopuścił.

Wiedząc już o rozdrażnieniu, przyjął wchodzących po ojcowski. Skóra, któremu się powiodło z Gedką, pierwszy wystąpił ze skargą, narzekaniem a nawet i groźbą.

Wszystkiego tego Zbislaw wysłuchał cierpliwie — nie nie odpowiadając. Wreście Skórze i towarzyszom przebrało się narzekani, chcieli posłyszeć słowo pasterskie, poczęli się łokciami trącać, nakazując milczenie — i zamilkli.

Zbislaw namyślał się długo.

— Nowe mi rzeczy prawicie — odpowiedział. — Mnie to też równie jak was obchodzi. Kto w Poznaniu ten i w Gnieźnie będzie panem, a ja bym rad siedzieć, Boga chwając, spokojnie. Kto to wam powiadał? Czy wam to objawił książę?

Spojrzeni po sobie.

— Gadają wszyscy, luezą, trąbią! — rzekł Skóra.

— Lecz zkądże to wyszło? — rzekł Arcybiskup — bo ja o niczem nie wiem. Żeby to prawda być miała, pobożny, dobry pan nasz Kazimierz, przed ojcem swym duchownym, przedemną, który tu przecie pierwszym jestem — coś by o tem powiedział. Kto wam to przyniósł?

Skóra i inni żwawo się z sobą zaczęli sprzeczać.

— Dobromir.

— Jako żywo, nie ja! kłnę się!

— Sławek.

— Jam się od Mirosza dowiedział.

Po nici porwanój do kłębka dojść nie było podobna. Arcybiskup czekał aby się to wyjaśniło, a wyjaśnić się nie mogło.

— Moje dzieci — rzekł — prosta rzecz, po-

trzeba czekać z radą aż się to okaże prawdą.
Za cieniem gonić, dziecinna sprawa.

— Pełen zamek tego! powtarzają wszyscy! —
wołano niecierpliwie.

— Cóż z tego? — odparł Zbislaw — rozu-
mny człek nim uwierzy, czeka aż posłyszysz z ta-
kich nst co u źródła były.

— Biskup Gedko nie zaprzeczał! — zawołał
Skóra.

— A upewniłże was że to prawda?

Zaczęli się sprzeczać, jedni ntrzymywali że
upewniał, drudzy że tylko przypuszczenia bronił.

Sprzecзка taka urosła między przybyłemi, iż
się kn sobie smąć zaczęli z wołaniem wielkiem.
A Biskup ich uśmierzał i do zgody nakłaniał.
Mimo to rozdwoili się i z jednój gromady dwie
urosto.

Zbislaw rzekł im w końcu.

— Nie ma nic, nie wiemy nic, gdy się do-
wiemy że nam istotnie grozi niebezpieczeństwo,
poradziemy sobie na nie. Jam pasterz wasz nie
dam was na wilecze zęby. Nie rozpaczajcież przed
czasem, nie zrywajcie się, gdy nie ma czego.
Pokój z wami.

I pobłogosławił.

— Z Bogiem idźcie, dobrzy ludzie, z Bogiem!

Poprzestać musieli na tém. Chciało się im
ujadać jeszcze, nie mieli z kim, więc wychodząc
sami z sobą spierali się zajadle zkąd tę wieść

mieli, kto ją pierwszy przyniósł. Dośledzić nie mogli.

Cała ta wyprawa do Tunu spelzła na niczém; ziemianie na powrót do zamku ćwierć mili idąc i jadąc sprzeczali się ciągle, a u wrót stanąwszy znacznie ochłódli. Tu na nich czekali Krakowianie i reszta swoich, którzy gdy sprawę zdawać przyszło, poplątali się. Posły nie umieli się wytłumaczyć dla czego wszystko spelzło nadaremnie i nie przynieśli z sobą.

Wszyscy jakoś czuli się jak zimną wodą oblani. Pomęczeni byli, gardła pozasychały — zaczęli się rozełhodzić.

W usposobieniach jednak nie zaszła zmiana, stano przy swoim, Krakowianie się odgrażali, wtórując Wielkopolanom, choć nie tak już żwawo.

Na zamku, gdzie książę ze swemi bratankami siedział, od rana już gotująca się burza była widomą. Gedko się nie pokazywał, aby go nie pytano, a warcholących, choć się o to upominali, nie przypuszczał do siebie. Chciał im dać czas do rozmyśłu i upamiętania.

Bolko, który wszystkiego był przyczyną chodził wielce posępny. Szło mu o poparcie sprawy Mieszka, nie z miłości dla Kazimierza, ale z własnej rachuby. Chociaż winien mu był zgodę swą z braćmi i przyjaznego udawał, Bolko sprzyjał Mieszkowi w tém, już aby się go pozbyć z Raciborza, już aby zawczasu z nim umówiony za-

mach przyprowadzić do skutku. Oba oni Kaźmierza zwali po cichu przywłaszczycelem. Mieszko szląskim bratankom połowę państwa dać obiecywał, jeśliby Kaźmierza wygnać się udało.

Ażebym tego dokazać, potrzeba było wprzód, choć klamaną pokorą, zdobyć Wielkopolskę, a potem jawnie powstawszy iść ze szląskiem na Kraków. Spisku tego prawy Kaźmierz, ani się mógł domyślać, ani on posądzać. Korzono się przed nim, uznawano władzę, klaniano mu się, aby z rąk jego broń wyrwać, z którą się na niego miano obrócić. Kaźmierz tymczasem ubolewał nad nieszczęśliwym sprawą wielkopolskiej obrotom i myślał jak zlagodzić rozdrażnienie a Mieszka zaspokoić. Chciał mu oddać Poznańskie, nawet Gniezna nie zachowując dla siebie, byle sumienie uspokoić.

Gdy siedzieli tak w izbach zamknięci, ten i ów przybiegał z doniesieniem, co się między ziemianami działo. Mikołaj Lis, Chmara, stary Żyra, który przybył z Leszkiem, wysuwali się po kolci w podwórca, i wracali donosząc co słyszeli. Choć każdy inaczej to rozumiał, a Chmara wszystko w śmiech obracał, zaprzeczyć nikt nie mógł że umysły były wzburzone, Mikołaj otwarcie księciu wyznał, że mu zrzcuceniem grożą.

Gdy jedni się oburzali, drudzy trwożyli, Bolko który piwa tego nawarzył, choć chmurny chodził, w duszy się wcale tem nie martwił może.

Dogadzały mu i niepokój i zniechęcenie ludu do Kaźmierza. Ciężki ten, powolny, na pozór nieobrotny szlżak, na pół niemiec, chytrzejszym był niż się wydawał. Nie mówił nie, śledził wszystko, oczyma chodził po twarzach. Otto, który zasłyszal już o tém, a odzywać się nie śmiał przeciw ojcu, bo Kaźmierz mu usta zamykał, siedział w kącie, starając być niewidocznym. Wielkopolanie jego sprawę popierali — cieszyło go to, lecz okazywać radości nie było wolno. Między nim a Mieszkim dawne zadrażnienie przeszło było w walkę otwartą, zgody z ojcem mało się spodziewał.

Z całego rodu książęcego jeden chory Leszek najobojętniejszym był na to co się działo. Napół dziecko jeszcze bawił się wrzawą, głosami, widokami nowemi i twarzami. Tęskniło mu się za Plockiem jednak, nudziło chwilami w poważniejszém towarzystwie, i, gdy mu się oknami wyglądać sprzykrzyło, chodził od jednego do drugiego z książąt, tego za miecz, tamtego chwytając za sprzączkę, za pas, dopytując zkad je mieli, chwając fraszki — zabawiając się lada czém.

Na twarzy Kaźmierza wielka radość z dokonanego prawodawstwa, ustąpiła zniecierpliwieniu i podrażnieniu. Wysyłał coraz kogoś aby mu przyniósł wieść co się tam działo. Jedni straszili do zbytku, drndzy nadto lekceważyli. Z okien widać było miotanie się tłumów, zbiegowiska, pochód do Tunu, narady i spory wrzawliwe. Wieczorem

wreście na drodze od Tumu ukazał się jadący ku zamkowi, orszak Arcybiskupi.

Wielkopoleanie zobaczywszy go, uradowali się. Witano po drodze mileząco, z uszanowaniem, nie wątpiąc że w sprawie ich jedzie. Tak było w istocie. Poprzedzali go, Cherubin poznański i Onolf biskup kujawski.

Naprzeciw wyszedł Kaźmierz, chcąc wprowadzić Zbysława do izby w której wszyscy siedzieli: ten posłuchania osobnego zażądał. Szli więc, on, Gedko i dwaj biskupi z Kaźmierzem na przeciwną stronę: Gedko nie mogąc zejścia z wielkopolany zapomnieć, moeno był poruszony.

— Sprawa to jakaś nieczysta — odezwał się na wstępie — Ktoś ich poburzył. Nigdy ja krakowianu moich tak rozpalonych nie widział, choć się to ich nie tyczy.

— Trzymają wszyscy razem — rzekł Cherubin — i do mnie przybiegali niektórzy z bolem i skargą.

— A no nie z odgrózkami przecie jak do mnie wielkopolańskie wasi — przerwał Gedko.

— Coż tu czynić? — zapytał książę. Zbysław odezwał się spokojnie.

— Przecież nie głoszą o tém, nie mówił książę, nie oznajmywał żaden z nich — ludzie sobie pletli. Dziś gdy się luezą dalej posuwać sprawę nie można, trzeba ją pokryć milczeniem,

i uspokoić ich... Czasowo wszystko zawiesić, bo i pora i miejsce do roboty najgorsze.

Książę westchnął. — Rzucaćbym myśli nie chciał, — rzekł, — dałaby pokój i zgodę.

Arcybiskup odpowiedział. — Zostawcie to dogodniejszemu czasowi. Kietlicza wspomnienie nadto jeszcze żywe: niech się to zatrze... Jak kamień w wodę rzućcie myśl waszą miłościwą. — Niceście nie ogłaszali, odwoływać nie potrzebujecie..

— Nie chcę by Mieszek mnie przypisał to iż go odpychają — rzekł Kaźmierz.

— Świadców mnogich macie tego co się działo — odezwał się Zbislaw, — przeciw wody płynąć nie można — czekać musicie!

— A! — rzekł książę smutnie — czekanie to dla mnie ciężkie i bolesiwe; walka ciągła, niepokój wieczny, bo Mieszek nie da się uspokoić. — On czekać nie będzie.

W tém Gedko przerwał.

— W walce téj, jeśli ją wznowi Mieszek — Bóg sprawiedliwy — może się on doczekać kary i końca. Sił niema do nićj — skończy się z nim jak z Władysławem.

— Dano im Szlązk — rzekł Kaźmierz, — Mieszkowi bym oddał chętnie jego dziełnicę.

— Dziś nie pora! nie pora! — zawołali razem Arcybiskup i Gedko.

Narada, na której w istocie mało co uradzono, dość długo trwała; książę wyszedł z niej uległszy

duchownym, którzy zgodnie głosowali aby dalej Mieszka sprawy nie popierać. Arcybiskup na którego wóz czekał, otoczony wielkopolanami, do domu powracał. W progu Skóra stał i inni.

Zbyć ich teraz niewiadomością nie było już można, Zbislaw ukazał im twarz spokojną i rozgrzani pozuanęczycy nie z niej poznać nie umieli. Siadał już do wozu z kapłanem, gdy Skóra ze swemi przystąpili ciskając się.

— Ojcie miłościwy — spytał Skóra — coż z nami?

— A no — nie! moje dzieci! nie!

— Prawdaż o Mieszku?

— Ani prawda ani fałsz — rzekł Zbislaw.

— Była może o czémś podobuëm mowa dla uspokojenia państwa tego, ale książę nikomu gwałtu zadawać nie myśli!

Posłyszawszy to, ci co się skupili u wozu poczęli powtarzać, podając jedni drugim. — Książę ani myśli! ani myśli!

Ośłupieli wszyscy. Skóra, który tak uadaremnie gardłował, głowę zwiesił. Arcybiskup tymczasem, żegnając na wsze strony, woźnicy dał znak aby ruszył. — Tłum rozstąpił się milezący.

— Ani myśli o tém! — szeptało do koła.

— Ja bo zaraz mówilem że to baśń głupia być musi, — zawołał jeden.

Wszystkim ciężki kamień spadł z serca. Słowo

arcybiskupie miało wielkie znaczenie — powiedział — że książę nie myśli o tём.

— To te skurczypalki, plotkarze, niecnoty wydumali, z palca wyssali aby tylko ludzi z sobą poswarzyć — poczęli niektórzy. — A żeby znaleźć tego nieponia co to zmyślił, zaraz by go na gałąź.

Drudzy zdala zasłyszawszy o galezi, potwierdzali, nie wiedząc na kogo padł wyrok.

— Powiesić juhe, powiesić!

A tuż krakowianie ciągnęli, dopytując, kogo i za co wieszać miano?

Narzekanie powstało powszechnie na zwodliwe i złośliwe języki; potém na łatwowierność ludzką. Jeden winę tego zamętu na drugiego zrzucal. — Spory się wszczęły, krakowianie swojego pana bronić już zaczęli.

— Ale bo to nie mogło być, aby Kaźmierz, dobrotliwy, bogobojny pan, uczynił krzywdę taką.

Gąsior wpadł z mową krzykliwą, dowodząc że to wszystko było sztuką książąt szlacheckich, którzy nie zapomnieli ojcowizny, i w mętućj wodzie, drugi może Oświęcim i Bytom chcieli złapać, albo i co więcej może. Skrupiło się więc na Władysławowiczach. Inni szukali winowajców różnych, koniec końcem po tём utrapieniu, poszli się chłodzić i krzepić.

W głębi jednak tego na pozór uspokojonego tłumu, choć krótkie powstanie w myśli przeciw Kaźmierzowi, zostawiło ślady. Obstawali i teraz przy

tém że ziemianie przy prawach stać byli powinni, nie dając sobą jak niewolnikami rozrządzać. Wyszedł zaraz Chmara między swoich, aby zbadać co się dzieje, wysunął się Mikołaj Lis. Postrzegli już zmianę.

— A co! — zapytał Chmara szydersko. — Zrzucićby Kaźmierza? nie prawdaż? Nie źle by to było? Zabawilibyśmy się i lbów trochę twardych rozkwasili?

— Dajcie bo pokój, — przerwano mu — wiecie że balamuctwo było. Wielkopolańskie niedorostki, baby długojęzyczne wszystkiemu winni.

— A my! cośmy to tak wzięli do serca? — spytał Chuara.

Milezano. — Mikołaj karmił głośno. — Wam aby się komosić, — wołał — nie patrzycie czy jest czego. Wrzawy narobili, panu dobremu serce popsowano. Hęj! hęj!

— Dobry pan! — zabrzmiały głosy. — Lepszego na świecie nie znaleźć.

— A kto mówi inaczej — odezwał się Gąsior — na galęź! Ja zawsze go bronilem — nie było i nie będzie lepszego.

Ci sami eo go tylko eo zrzucać chcieli, już znowu na rękach nosili. Wielkopolanom jednak została jakaś wątpliwość. Skóra zapamiętał, iż Arcybiskup fałszu nie zadał plotce, radził być ostrożnemi.

— Na baczności się trzeba mieć — szeptał. —

Plotki, plotki, a coś było. Pomacali że się dziś nie uda, odłożą na jutro!

Za nim i niektórzy twardsi głowami ciężkimi potakiwali — ale ochoty wielkiej do wareholenia nie było.

Nazajutrz, gdy się już wszyscy, oprócz duchowieństwa, które jeszcze dla narad z sobą pozostawalo w Łęczycy, rozjeżdżać poczynali i Kaźmierz z orszakiem swym z zamku wyciągnął, stały znowu tłumy z twarzami jasnemi, czapki podrzucając do góry, okrzykując go radośnie. Nie było prawie śladów wczorajszych waśni i zburzenia. Kaźmierz powracał zasepiony — wiedli go z pokorą nieszczerą bratankowie, Bolko najuniżeńiej szerokie schylając plecy, Otto łapiąc za kolana, Leszek uśmiechając się opiekunowi, rad że do Płocka powracał.

Ziemiańskie z pocztami rozsypywali się po okolicy, spieszyli do domów, a którzy psy mieli z sobą, ku lasom dążąc, aby po drodze zapłotać i rozruszać się. Nie jeden westchnął myśląc, że z wiecu wracając, o przewód i pokarm u kmiecia się już nie będzie mógł upomnieć, aby nie być wyklętym.

I brogi przy probostwach napędzały żalu że po śmierci księży, już się do nich dobrać nie można...

VII.

Stach z innemi powracał do Krakowa, choć uspokojony po trwodze jaką miał o swojego pana, nie wesół jednak przemyśliwając o pobycie w stołicy. Nie tak tu szło jakby on był dla Kaźmierza pożądanym. Widział go codzień pochmurniejszym, niespokojnym, zbłądłym i zmęczonym, przypisując to, nie bez przyczyny, owój złej niewieście która nad nim panowała. Byłby mu może inną jaką płachość a słabostkę przebaczył, tej niewiasty, którą miał za czarownicę, trującą go i czyniącą nieszczęśliwym, ścierpieć przy nim nie mógł.

Trwożył się tém więcej, iż od czasu jak znikła z zamku, nie wiedział gdzie się ukrywała, będąc pewnym że w bliskości być musiała. Nie nawisć miał do Niemca wysługującego się wdowie

i popierającego ją u pana. On był przyczyną, że Biskup ciągle napomnienia musiał dawać upokarzające, że księżna Helena płakała widząc męża coraz obojętniejszym, że życie Kazimierza upływało w tych walkach z samym sobą, które kończyły się zwycięstwem Wichfrieda.

Stach też w Łęczycy, ocierając się pośród ludzi przybyłych ze szlachakami, z Leszkiem i Ottonem, wiele się podowiad. wał rzeczy, które trwogę o losy księcia pomnażały.

Chociaż się zdawał utwierdzonym na Krakowie, spiski nań i zmowy nie ustawały. Ludzie Bolkowi popiwszy się napowiadali że stary Mieszek, Kietlicz i ulubiony syn książęcy, Bolko nieustannie zajęci byli zabiegami jakimiś i przygotowaniami.

Mówiono o wyprawianych ciągle tajnych posłańcach z Raciborza, do Krakowa, na Pomorze i na Polesie. Kietlicz niedawno wrócić miał z Moguncyi i Akwisgranu. Dla bliższych tajemnicą nie było że Mieszek praw się swych zrzekać nie myślał, poprzysiągł owszem że choćby życiem miał przypłacić, dopominać się o nie będzie i odzyskać musi.

Stach więc nie bez przyczyny się trwożył. Już w Łęczycy posłuchanie sobie wyjednał u Gedki i doniósł mu o tém, ale Biskup zapewnił go że ludzie więcej zmyślali niż było, że niepokoić się nie miał czém.

Mierzwa wprowadzić postawiony na straży, nie nie donosił, ale Stach miał go już za zdrajcę, i w zapale swym dla księcia, ofiarował się sam do Raciborza jechać, śledzić i wywiadywać. Gedko, któremu się przykrzyły doniesienia, zganił mu zbytnią obawę i podejrziwość.

Wracał więc smutny, a pomnażała utrapienie myśl o tej nieszczęśliwej Jagnie, do której się przywiązał jak do jedyniej istoty, która bliższą mu była.

Śmieli się z niego towarzysze, widząc go ponurym, a odgadując szydersko co mu w Łęczycy sadła za skórę zalało?

Nawykły do znoszenia drwin spokojnie, Stach już nic nie odpowiadał na nie, lub się z nich pogardliwie uśmiechał.

W podróży do Krakowa, książę polował po drodze, puszczał się z nim ochotnicy aby łowów użyć, po których tęsknili, Stach przy wozach zostawał, zobojetniawszy i na tę dawniej miłą rozrywkę. Sam on teraz w pokutniku biednym, starego wesołego nie poznawał Stacha. Jedyną pociechą dlań było iż dla tego pana pracował, którego dobroci wielkiej życie był winien.

Myśląc o tem przez drogę a niepokojąc się, postanowił ze swego urzędu na zaniku, który mu teraz mniej był potrzebny uwolnić się, aby mieć swobodę śledzenia „czarownicy“, czuwania nad Mieszkim i pilnowania Jagny. Potem co słyszał

w Łęczycy nie mu już z głowy wybić nie mogło iż Mieszka pilnować sam musiał, bo Mierzwa zdradzał, a Biskup zbyt był ufny w siebie i zaślepiony pozornem bezpieczeństwem.

Gdyby nie stary Chmara, wszystkich w drodze rozweselający swemi żartami, cała podróż zeszlaby była nudno, Kaźmierz jechał nilezający a zadumany i dopiero zbliżając się ku Proszowicom niecierpliwość go jakaś ogarnęła. Rzucił za sobą obóz i ludzi, i sam w pięć koni z Wichfriedem do Krakowa pospieszył. Stach i to przypisywał nieszczęsnej „wiedźmie“ która siłą nieczystą księcia do siebie ciągnęła.

Z innemi razem przy wozach zostać zmuszony, Stach późno w noc przybył na zamek, a tu Kaźmierza jeszcze nie było, choć przodem wyjechał. Musiał więc gdzieś zwrócić i zabawić, a gdzie? łatwo się było domyśleć, Wichfried mu towarzyszył.

W godzinę dopiero może po wozach, Kaźmierz z nim zjawił się na Wawelu, gdzie nań Helena z synkiem od mroku oczekiwała.

Na zamku zastali kniazia Romana ruskiego z Włodzimirza, stryja Heleny, który rad Kaźmierzowi służył i u niego przebywał, spodziewając się z pomocą jego dostać więcej ziem na Rusi gdzie się ciągle kniaziewie z sobą zadzierali, wyganiali i waśnili.

Wesoły to był człek, a przynajmniej przed Kaźmierzem takim się okazywał. A że o niewiastach mówić lubił i język miał tłusty, czasem ponurego rozbawił — książę doń był przywiązany i zawsze go witał rad u siebie. Książę Roman w sobolowym koźnuchu siedział też czekając w przed-sieni, przybycie więc weselsze się stało niż zwykłe, bo Roman śmiech z sobą nosił. Poszli zaraz do ostygłej wiczerzy i do kubków..

Roman, druhowi swemu, widując go prawie zawsze zadumany, lub na rozmowach o rzeczach smutnych z uczonemi, dowodził że powinien był te wszystkie myśli ponure w kął rzuciwszy, życia zażywać, niewiast sobie ku uciesze więcej przysposobić, i biesiadników ochotniejszych. Nie widząc na zamku tylko podżyły orszak Heleny, śmiał się książę, z tego obyczaju surowego i do poprawy zachęcał.

Wesoły Rusin, nawet wobec księżnicz Helleny języka nie umiał powstrzymać, śmiech wywołując na jej blade usta.

Przybywszy na zamek, Stach, że już pora była późna, do dworku Jagny nie idąc, na górze swój nocował. Nazajutrz rano zdawszy prędko skarbiec Rajcowi pospieszył do Jagny.

Choć mu na duszy było ciężko, nie mógł się wstrzymać od objawienia radości gdy ją zobaczył. Znałazł ją jak zawsze roztargnioną i nie wesołą.

Przyjęła go rada, ale przede wszystkim o księ-

cia pytać poczęła, o podróż, pobyt w Łęczycy i co się tam działo. Stach szeroko i długo opowiadać począł, nie nie kryjąc przed nią, przyznał jakie z sobą wiózł utrapienie i niepokój.

Nawzajem Jagna pochyliwszy mu się do ncha, szepnęła z jakąś gorączkową niecierpliwością — A ja już wiem, gdzie ona jest!

Domyślił się Stach o kim mówiła. Nie pierwszy to raz uderzała go namiętność z jaką Jagna wymawiała to — Ona! Oczy jej płonęły, brwi miała ściągnięte, twarz gorzała gniewem. Wszystko w świecie zresztą było dla niej obojętném, tylko to co Kaźmierza tyczyło, tak ją poruszało. Stach sądził iż się tak przejęła jego przywiązaniem do księcia.

Zwykle martwa i pogrążona gdy wspomniwała go Inb Dorotę, zdawała się jakby od iskry zażegnietą.

— Wiem gdzie ona — odezwiała się tajemniczo — Nad Wisłą stoi pod zamkiem wielkie domostwo stare. Kupił je Wichfried, parkany pobudowano wysokie, wrota okuto. Tam jej nora.

— Zkądże ty wiesz o tém?

— Ja? — odparła namyślając się trochę z odpowiedzią — W niedzielę byłam w kościele u Ś. Wacława. Tęskno mi było, spiewali księża chciałam posłuchać. Weszła osłonięta niewiasta; któręj twarzy nie można było rozeznąć, alem ją poczuła zaraz. W kościele tak jak nikogo nie

było, stanęła za słupami; nie widziała mnie. Odkryła potem twarz trochę, poznałam — ona była. Ja ją z ulicy znam.. Wyszła potem oglądając się, ja w ślad za nią.

Posadzili ją pod samym zamkiem! ażeby łatwiej się do niej mógł dostać! Dom zaparty, jak pustka, ale czeladzi i stróżów dosyć.

Jagna poczęła ehodzić żywo, powtarzając — Nie zbyć się jój ztąd! nie zbyć tój czarownicy przeklętj!

Stach rozpytawszy o położenie domu, aby sam mógł sprawdzić gdzie była, opowiadał o tém co się w Łęczycy działo. Jagna słuchała tak obojętnie jakby nie ledwie już życzyła, by go uazad do Sandomirza wygnano.

— Tuście wy mu szczęścia nie dali — rzekła — co mu potem że więcej ludzi się kłania? Tam spokojny był, tu mu grożą! a ta wiedźma życie z niego wysysa! Wypędzą go? wróci tam, lepiej będzie.

— Nie wróci tam, nigdzie mu nie dadzą potem spocząć, jeżeli ztąd wygnają — odparł Stach — będzie tak błdził po cudzych kątach jak Władysław i Mieszek, odbiorą mu wszystko! Zginąć może!

Bronić go trzeba, — dodał — bo wszyscy ślepi, nawet Biskup, a na niego zmowy straszne!

Stach się zapalać począł, a Jagna mu przerwała.

— Naprzód go brońcie od téj złéj pokuśnicy, ta od Mieszka straszniejsza!

Po rozmowie z Jagną, poszedł Stach na zamek aby się ze służby przy skarben uwolnić. Rajec, gdy do niego z tém przybył, uląkł się, zakrzyczał i rękami zatrzepał. Strach go ogarnął.

— A cóż ja pocznę bez was, niedołęga stary — zawolał — mnie i pana okradną. Niedojrzę sam, a złych ludzi pełno, nie będzie komu powierzyć klucza! Jeżeli wy pójdziecie precz, ja z wami chyba, bo niepodolam już.

Zagroził mu że do księcia z żalobą nań musi iść.

— Ojczy mój — rzekł Stach, który starego kochał i szanował, na nie się nie zda skarżyć, bo ja muszę precz. Da li Bóg, powrócić mogę, służby się nie wzdragam, ale pilne sprawy mam, i wy mnie ani żadna siła nie wstrzyma. Teraz odpuścić, a, później — kto wie? mieć mnie będziecie.

Stary się uspokoił tém, chciał jeszcze nagrodę wyrobić u księcia dla odchodzącego, dodając że z rąk własnych Kaźmierza ją otrzyma; czém Stach przełękły, do nóg mu padł aby tego nie czynił. Rajec niewiedzial już co myśleć, gdy jak o łaskę zaczął go prosić aby mu nie dawano. Badał długo, rozpytywał, frasował się i nie z niego nie dobywszy, puścić musiał zapłakany. Wymógł

na nim Stach że przed księciem wcale nie wspomni nawet o odprawie jego.

Wieczorem gdy już zastępcę znaleziono, klucze oddawszy, Stach o mroku przeniósł się do dworku Jaguy, która go przyjęła nie zbyt rada i trochę pomieszana. Rosło w nim przywiązanie do niej i zajęcie jej losem a w miarę tego dziewczę zdawało się stygnąć i coraz stawać mniej przystępnem.

Nie długo też natrętnym jej być miał, bo się zaczął wybierać w drogę. Potrzeba było dowiedzieć się co się z Mierzwą działo, który znaku życia nie dawał.

Stach miał go w podejrzeniu i naocznie chciał się przekonać co myślał i robił. Juchim utrzymywał że o nim niewiedział wcale.

Żyd, któremu biec pieniędzy wydzierżawiono, dla Stacha który do tego dopomógł, był z poszanowaniem wielkim. Działo mu się dobrze, zdawał się też sprzyjać księciu — lecz i temu Stach nie bardzo nfał. W dworku Skarbuego więcéj coraz było życia i ruchu, ludzi się tam przesuwało dużo, zwożono kruszce w sztabach, rozsyłano drobne pieniążki worami.

Ile razy się tu Stach zjawil przyjmowano go jako zwierzchnika, któremu cześć i wdzięczność należała. Na wyjezdném zapragnął się z Juchimem rozmówić i pospieszył do niego.

Skarbny pospiesznie wystąpił na spotkanie, kilku swoich, z któremi miał coś do czynienia,

spiesznie odprawił, kazał wina podać i z uprzejmością wielką gościa przyjąć się starał.

— Niewiecie co o Mierzwie? — spytał Stach — od bardzo dawna nic od niego niema.

Juchim głową pokiwał z wyrazem jakimś wątpliwym.

— Nie daję o sobie znać — dodał przybyły — chyba gdy mu płacić trzeba.

Juchim milczał, zdawało się że oskarżać go nie chciał a bronić się obawiał.

— Co wy myślicie? — mówił dalej Stach — ważyłżeby się na zdradę?

— Miłościwy panie — odparł żyd po namyśle — nic nie wiem — ale to człowiek biedny a bieda wiele może. Ma dużo dzieci, dużo bab, dużo nałogów — Kto go wie! kto go wie!

Stach wiedział że podejrzana rodzina Mierzwę z różnych istot złożona, związanych z nim nierozgmatwanemi węzłami, znajdowała się w Krakowie, zapytał o nią Juchima.

— Ich tu dawno niema — odparł żyd — powywozili się do Raciborza...

Wszystko to było podejrzanem, a żyd, który to wskazał Stach, nie zaprzeczał, nie bronił zdawał się zle domysły potwierdzać milczeniem.

— Przysiągł nam, płacimy mu! — mówił Stach — jeżeli cnota zdradza — źle będzie z nim.

Po długim milczeniu, Juchim odwrócił się do mówiącego.

— Miłościwy panie — rzekł — gdy baba garnek rozbity bierze, i chce w nim gotować a z garnka się poleje, ja nie wiem czy baba winna czy garnek? Ja nie wiem nic — co ja mogę wiedzieć! tylko to jedno znam, że Mierzwa był garnkiem rozbitym, a wasza miłość mogliście to widzieć!

— Samiście mówili za nim! — odezwał się Stach.

Juchim długo pomyślał, zmarszczył się, zdawał chcieć przypominać i zakończył — I tego ja nie wiem. Za nikogo nie ręczę, nawet za siebie, miłościwy panie, broń Boże nieszczęścia! Człowiekowi skóra swoja droga!

Zbyty tak dwuznaczném powiedzeniem Juchima, Stach tém był niespokojniejszy. Ufał tylko w swą dobrą gwiazdę że mu się uda zasiąść gdzieś na czaty i, choć miał do czynienia z bardzo przebiegłym człowiekiem, wyśledzić go i podpatrzyć.

Myśląc o tém nazajutrz jak się do Raciborza niepoznanym dostać, Stach szedł właśnie na miasto ku targowicy, gdzie była gospoda kupców endzoziemskich. W chwili gdy przechodził, gromada ludzi skupiała się około dwóch włochów z Lombardy od Werony, ze skrzywkami na plecach, z kijami w rękę, stojących pośrodku. Szedł naówczas już handel ten przez Alpy, nad Ren, z kąd się dostawał do Frankonij, Erfurtu, Magdeburga, a ztąd do Czech i do Polski. Lombard-

czyey przynosiii drobne wyroby włoskie, pierścienie, łańcuszki, noże, korale, krzyżyki, rzeczby z kości sloniowój i t. p. Wędrowali oni czasu pokoju do Krakowa i głębięj.

Ci dwaj, którzy tu przybyli, z trudnością się porozumieć mogli z otaczającymi. Po niemiecku źle i mało mówili, a na razie nie było nikogo coby im mógł za tłumacza służyć.

Po stroju ich poznawszy włochów, których się napatrzył Stach, gdy swego pana strzegąc wędrował z nim w wyprawie do Medjolanu — zbliżył się ku nim.

Wielka była radość cudzoziemców gdy swoją mowę z ust jego posłyszeli. Chwycili się go błagając aby im tu chciał być pomocą.

Niemiał Stach nic lepszego do zrobienia — zabrał ich do domu swego — po drodze już przyszło mu na myśl iż, zmówiwszy się z niemi, za wynagrodzeniem mógłby jako Włoch przebrany wędrować do Raciborza.

Prowadząc ich do dworku począł już rozgadywać się z niemi.

Młodszy z nich Andreco, żwawy, rozmówny, śmiały, szczególniej przystał do Stacha. W dworku izba się dla nich znalazła, a tuż za kupcami ludzie się poczęli cisnąć za kupią, szczególniej mieszczeni ciekawe błyskotek, które włosi zawsze z sobą nosili. Stach pomagał im służąc za tłumacza i pośrednika. U bramy na ławie postawiwszy

kióbbi swe włosi targowali dzień cały z wielką się oświadczając wdzięcznością dla opiekuna swego. Jagna przez okno tylko popatrzawszy na to co rozłożyli, pogardliwie się odwróciła. Nie dbała teraz wcale o to co ją przystroić mogło.

Nim wieczór nadszedł, Stach się w myśli swój powędrawania z włosami utwierdził mocniej, niewiedział tylko jak to zagać, nieobudzając w nich podejrzenia.

Z Andream siedząc do późna, Stach, nalawszy mu wina którego dawno nie pił, poufną zaczął rozmowę, zwierając mu się iż rozmiłowany był w pewnej niewieście do której dostąpić nie mógł. Włoch mu się naprzód za posła i pośrednika ofiarował — ale tego nie starczyło. Stach objawił mu myśl swoją iż do miasta w którym mieszkała, mógłby z nienii iść za kupca przebrany, a po drodze i na miejscu sprzedaćby wiele dopomógł. Włoch, jak tylko się dowiedział że o miłosną szło sprawę, z wielkiem współczuciem się oświadczył, i gotów był dostarczyć ubrania. Twarz ciemniejszą uczynić łatwo było.

Ręczęc za dobry odbył towaru na Szlązku, Stach oprócz tego ofiarował sowite wyuagrodzenie. Stała się więc umowa nazajutrz, i zejść się miano na gościńcu, który wskazał. Tam zmieniawszy odzież wędrować z niemi miał do Raci-borza. Jeden Żegieć, któremu Stach ufał wiedzieć miał o tém, przed Jagną nawet Stach nie przy-

znał się do tego co przedsiębrał. Poszedł się tylko opowiedzieć jej że dla spraw księcia i śledzenia obrotów Mieszka, jutro w drogę puścić się musi.

Jagna dosyć była rada zawsze gdy wyjeżdża tym razem jednak spytała.

— A gdy cię tam poznają i pochwycą?

— Nie wiele na tém straciecie — odparł Stach smutno — jam ci się wam nie przydał na nie piąte koło u wozu.

— A bez was — rzekła Jagna — sama jedna na świecie! Gdy jesteście tu, trwożę się i przykro mi, gdy odejdziecie, niepokoję się.

— Jednak pójsz muszę — odpowiedział Stach — a da li Bóg, powrócę. Jam tu ani mąż ani sługa — przybłąda na lasce..

Uśmiechnął się gorzko.

— Inaczéj z nami być nie może — rzekła Jagna — tylko żeście tu nie przybłądą a bratem. Ja w sercu trupa noszę, z nimby wam w niem jak w grobie było niezdrowo.

Główką potrząsała. — Siostrą wam jestem dobrą — po co wam więcéj?

Na to nieodpowiedział Stach, ale ujęty jej głosem tęsknym i okazaną przychylnością, nie zataił już, że z kupcami się chce dostać do Raciborza.

Jagna słuchała z uwagą, obcy ludzie byli jej podejrzani.

— Dwu ich jest, czarnych i strasznych jak zbójce, nuż cię zabiją? — szepnęła.

— Na ich dwu mnie jednego będzie dosyć — śmiejąc się rzekł Stach — Prędzój oniby się mnie lękać mogli, bez noża jednego i drugiego nie pójde, a na męztwie mi nie zbywa

Tak się skończyła rozmowa, pożegnanie było chłodne znówu — choć z progu rzekła mu, że za nim tęsknić i niepokoić się będzie o niego. Stach i za to dobre słowo był wdzięcznym.

Drugiego dnia kupcy wyciągnęli do miasta i Stacha też nie stało. Żegicę pojechał go szukać niby i z niczém powrócił.

Gdy suknie włoskie wdział Stach i węzełek na plecy wziął, twarz nieco uczerniwszy, w istocie trudno go było poznać. Andrea i Luca, dwaj jego towarzysze, którym dobrze z nim się działo nie tylko złego nie myśleli, ale gotowi byli choć na najdłuższą wędrówkę. Poil ich, karmił, za tłumacza służył i do handlu wielce dopomagał.

I to też dla nich coś było warto, że się z nim przez drogę o nieznanym kraju rozgadać mogli. Po dworach i osadach pomniejszych nie było się po co zatrzymywać, zamków na gościńcu nie spotykali i pieszo powoli się tak wlokąc, naostatek i Raciborski gród ujrzeli.

Bolko puścił go był i dał na mieszkanie staremu stryjowi, który tu ze trzema synami przebywał. Prócz Mieszka nie było nikogo. Na pod-

zameczu w mieście włochoy gospodą stanęły, i Stach z niemi. Jako cudzoziemców, z których jeden ledwie coś języka rozumiał nie strzeżono się ich wcale, Stach postrzegł zaraz że niepotrzebując wiele, nasłucha się dosyć. Gospoda w której się zatrzymali była razem karczmą dla ludu, w której miód i piwo sprzedawano. Zachodziło do niej różnej gawiedzi wiele, szczególniej z zamku i z tych co do niego przybywali. Rozmawiano o Mieszku, o jego obrotach, o dworze o posłańcach, jakby naumyślnie dla tego, który pilnego nadstawiał ucha.

Na zamku panował ruch, z którym się nie tajono. Ludzie jacyś kupkami ściągani przychodzili ze Ślązka i wielkopolski. Uzbierać ich miało. Konnych guano w różne strony. Włosi się wyprzedawali, Stach podsłuchiwał. Gdyby nie Mierzwa, który na zamku mógł się znajdować i tamby był z przekupniami się wcisnął. Szczegółom mu jednak posłużyło lepiej niż się spodziewał, choć nie rychło. Cały jeden dzień na ławie przesiedziawszy, drugiego gdy trochę z gospody się wychylił na gościniec, chcąc ku zamkowi rzucić okiem — postrzegł jadącego człeka, którego dobrze znał.

Byłto Barwin Skarbny Mieszka terażniejszy, który w Krakowie matkę mając i siostry, często tam bywać musiał, a nawet się w służbę do Kaźmierza chciał wprosić. Stacha do tego używał

by mu pomógł, bo Mieszkowi tylko z musu i mimo woli służył. Niedowierzając mu, zbyto Barwina niczem, choć Stach znał iż go za swego prawie mógł liczyć. Na Stachu on polegał, że się prędzej później do Krakowa do rodziny dostanie i chleb znajdzie.

Nim się namyślił co miał począć, dać się mu poznać czy nie, Barwin, który bystre miał oko już go zobaczył, bo strój obcy uderzał. Nie chciał uciekać Stach, aby się nie zdradzić, dał mu więc przystąpić blisko, stanąć i zapatrzyć się.

Barwin nie będąc pewien swego, choć miał podejrzenie, do gospody wszedł, z Włochami trochę pobelkotal, bo coś niecoś języka ich rozumiał przez łacinę, i zaraz w podwórze, gdzie Stach siedział, powrócił. Zaczepił i jego z włoską, spojrzeli sobie w oczy, głos zdradził — poznał go.

Z ciekawością wielką Barwin na stronę mniemanego kupca odciągnął — pytając co on tu myślał i z czém przybył, a dokąd się udaje?

Trzeba było śmiałością nadrobić i coś ważyć, Stach mu więc odpowiedział naprzód, pytaniem czy chce do Krakowa się dostać i mieć urząd o który się starał?

— A! radbym się ztąd wyrwał jednej godziny — zawołał Barwin.

— Nie zdradźcież mię i posłuzcie — rzekł Stach biorąc go za rękę — ja wam ręczę że nie pożałujecie.

Słuchał pilno Skarbny — Czego chcecie? mówcie, wasz jestem!

— U was się coś gotuje? — zagadnął gość.

Barwin głową potwierdził — O tém wróble na dachach wiedzą — rzekł.

-- Cóż robi Mierzwa? — badał go dalej.

— Służy wiernie dawnemu panni — mówił Skarbny — o tém też dawno wiedzieć powinniście. Sciągnął tu do siebie rodzinę i mienie, a czasem się tylko do Krakowa wymyka aby ztamtąd języka przywiozł.

— Dobrze i to wiedzieć — rzekł Stach — A no teraz idzie mi o to abym się z nim nie zetknął, bo mnie pozna i wyda.

— Nie spotkacie go teraz — odparł Barwin — bo go posłano do Poznania czy Gniezna i dziś dopiero nocą powrócić może.

— Cóż wy tu sposobicie? — pytał Stach dalej.

— Chyba o tém musicie wiedzieć — mówił Skarbny.

— Nie wiem nic.

— Byliście w Łęczycy?

— Byłem ci —

— Ztamtąd książę Bolko wrocławski, który Mieszkowe listy woził do zgody z Kaźmierzem, przyniósł nam dobre wieści.

— Jako dobre? co wam w głowie? — przerwał Stach.

— Jużci dobre — rzekł Barwin — kiedy książę Kaźmierz dla pokoju i zgody Poznań mu oddaje.

— Ależ tam Otto siedzi!

— Z nim się jakoś poładziemy — ciągnął Skarbny dalej — Bolko nam zapewnienie przywiózł że Gniezna i Poznania Mieszkowi nie będą odbierać, byle je sobie wzięt.

— Jako? Nie może to być — zawołał Stach — bajdy wam prawiono. Wszakże Poznańczycy, zaszyszawszy iż im Mieszka dać chcą, o mało buntu nie podnieśli?

— My i to wiemy — odparł Barwin — ale Poznańczycy w Łęczycy a na swoich śmieciach inni są. Mniejszych ziemian Mieszek wszystkich ma za sobą, bo ci starszyźnie zazdroszczą, a liczbą ją przenoszą.

Sluchając Stach słupiał.

— Niemoże to być chyba! — zawołał — kłamstwa jakieś są i zdrady w tém. Czyżby książę Kaźmierz Gniezno które trzyma sam i Poznań dany Ottonowi miał oddawać dobrowolnie? komu? bratu który go słuchać nie będzie.

— Tak jest — rzekł Skarbny — my to wiemy że umowa potajemna stała, o której u was w Krakowie mówić wara, Kaźmierz się na to zgodził. Co potem z tego wyrośnie — nie moja rzecz.

— Wyrośnie to że Kaźmierzowi przez wdzię-

czność Kraków zechce odbierać! — krzyknął Stach zapominając się.

— Mieścież się na pieczy — dodał Barwin.

Rozmawiali dłużej, Stach chciał wątpić o tćm co słyszał, lecz dowody były mocne. Zatrwożył się więc i poczał myśleć co mu trzeba było czynić. Zmierzchało już gdy razem z Barwinem, poszli ścieżkami jemu znanemi, na których spotkać się nie obawiano nikogo, ku zamkowi. Tu na własne oczy mógł się Stach przekonać że wielkie przygotowania do wyprawy czyniono.

Mówiono głośno o pochodzie do Gniezna.

Barwin opowiadał że Kietlicz przodem tam odprawiony, opatrzył zamek i opanowanie go miał ułatwić, Mierzwę z czćmś posłano do Poznania.

Stach, jak ukropem oblany czekać już tu nie miał czego. Nie mógł pojąć dobroduszości Kazimierza, który na siebie oręż dawał nieprzyjacielowi. Trzeba było z wiadomością o tćm pospieszać do Biskupa.

Barwina więc musiał zjednać sobie, aby mu konia dostarczył nocą i sukni innych, gdyż włoskie zrzucić miał w gospodzie. Skarbný, chcąc go sobie pozyskać, na wszystko się godził. A że Mierzwy o mroku nie obawiał się, choćby powrócił, — weisnęli się więc małą furką na gród do środka. Zamku nie bardzo strzeżono, Mieszek tak się czuł bezpiecznym tu, iż bramy stały otwo-

rem. Żołnierzy było dosyć. Weszli więc niepostrzeżeni pomiędzy czeladzie.

Synowie Mieszka właśnie w podwórzu konie sobie wybierali, Stary siedział na ławie w pod-sieni i przypatrywał się milczący. Na wszystkich twarzach radość i ożywienie widać było wielkie. Stach jeszcze z Barwinem stał za ścianką w podwórzu, gdy z pośpiechem wielkim wpadło na zamek kilkanaście koni. Kietlicz powracał z Gniezna.

Wstał idąc przeciw niemu Mieszek, rozmowa poczęła się głośna. Niepocześnie odziany dla niepoznaki Kietlicz, zasapany jeszcze, donosił panu iż Areybiskupa w mieście nie było i ludzi na zamku mało, tak że znienacka napadłszy we dnie, gdy się najmniej pilnowano, łatwo gród ubiedz było.

Zaczęto się na głos z siłami liezyć, dnie rachować. Jeszcze Kietlicz stał rozповідаjąc, a Bolko starszy syn księcia, radośnie wykrzykiwał i w ręce bił, gdy i Mierzwa się we wrotach zjawił, powracający z Poznania. Stach skrył się ostrożnie, obawiając lisiego oka jego, ale nie ustąpił. Barwin go i mrok osłaniał.

Mierzwa wprost z konia podszedł z pokłonem do kolan pańskich, zaczął coś szeroko, wywijając rękami opowiadać, ale mowy jego dosłyszeć nie było można, bo schrypłym głosem, kaszlem przerywanym, niezrozumiale belkotał. Zdawa widzieli tylko jak się, wedle swego zwyczaju, to po twa-

rzy tarł, to na palcach coś liczył, to w różne strony ukazywał.

Mieszek i Kietlicz mocno nacierali na niego, bo długo sprawę im zdawał z tego co przynosił. Na twarzach widać nie było aby nowiny które przynosił zle być miały. Kilka razy Kietlicz się odezwał głośno.

— A no! będzie jak powinno być!

I tego dosłyszał Stach jak gruby ów pański namiestnik do Mierzwy wołał. — A no, słowo mamy że przeciw nam nie pójdą, wojować nie będą, byleśmy wzięli sobie Poznań i Gniezno.

Otto się bronić nie będzie, ani się spodziewa — —

Wszyscy trzej potem szli, Mieszek przodem, za nim Kietlicz, z tyłu Mierzwa do zamku, za niemi młode książęta. Barwin tym czasem do swojej stajni zaprowadził gościa, konia z siedzeniem mu wybrawszy, opończę też własną przyniósł i dla bezpieczeństwa go za wrota wyprowadził. Rad że mu się dostać szkapę udało, Stach nie wybierał patrząc tylko aby młoda była, w czém się omylił, bo do spiesznej a dingiej jazdy młodeż się na nie nie zdała.

Nigdy Stach powolnym nie był, paliło się w nim zawsze bez miary, teraz jak opętany, chwili nie tracąc, włochów się datkiem zbywszy, puścił się pod noc w drogę.

Myśląc i przemyśliwając nad tém co na własne uszy słyszał, nie chciał temu uwierzyć ażeby

Każmierz dobrowolnie bratu oddawał Wielkopolskę; sądził że tę wieść puszczono umyślnie dla dodania żołnierstwu ducha

Chciał dostać się w porę do Krakowa, aby zamachowi zapobiedz.

Dotąd wiodło mu się szczęśliwie, teraz szło jakby na przekorę. Ów młody koń Barwina, szparki a gorący, sił wiele nie miał; rwał okrutnie z kopyta, a w przód tak ustał że choć go było w ręku prowadzić. Boki mu powciągało, jeść nie chciał i gdy się nad rancem na łące położył, zdawało się że tam zdechnie.

Zeszło więc czasu dużo nadaremnie, a gdy koń się trochę orczywił i można było znowu się na nim puścić w drogę, musiał Stach go oszczędzać, aby znowu nie zasłabł. Byłby go może rzucił gdzie po drodze a innego szukał, ale się nigdzie stada nie trafiło spotkać.

Tak, dłużej się daleko wlokąc niż rachował zrazu, na koniu z którego już nie nie miało być, bo ledwie dychał, dostał się do dworku nocą.

Gdy się nie rychło do wrót dostukał i stary Ilreczyn sam mu otworzył, pierwsze pytanie jego było o Jagnę.

Stary zabełkotał coś niewyraźnego, a potem dodał — że spać musi.

Poszedł Stach do swjej izdebki, do której zbiedzony Żegieć pospieszał. Było około północy i za

późno aby iść zaraz do Biskupa. Musiał to odłożyć do rana.

Gdy Hreczyn odszedł i sami we dwu zostali z Żegciem, Stach ponowił pytanie co się tam działo z Jagną. Żegcieć tylko ramionami ruszył.

— Wcześniej poszła spać! — rzekł — bo zwykle do północy siaduje a tu jej przybywszy nie widział.

Nie było odpowiedzi.

— Gadajże! — przynaglił Stach.

— Co mam gadać, gdy — niema o czem — odparł sługa i pomilczawszy dodał. — Jęj bo pono w domu niema.

Zerwał się Stach jakby weń piorun uderzył — przyskoczył do sługi — kłamiesz! — krzyknął.

Żegcieć dodał — A niema jęj, sam widziałem gdy wychodziła — dotąd Hreczyn we wrotach czy w oknie czeka na nią.

— Wyszła sama?

— Sama.

— Dokąd?

— Któż ją wie! — rzekł Żegcieć.

— Pierwszy to raz?

— Nie pierwszy — odparł smutnie sługa.

Przybity stał Stach — własne nieszczęście z pańskim pomieszało mu w głowie — beczwładny, odrętwiały padł na łożo a Żegcieć do nóg mu przyskoczył.

— Panku miły — począł — zlituj się, czego masz za tą dziewczką przepadać!

Odepchnął go Stach — marzyło mu się jedną godzinę ze dworku wynosić.

Cisza była na mieście, noc ciemna, w tém Hreczyn do izby wpadł przerażony — słychać było dzwon zdala na Wawelu.

— Na mieście, czy na zamku — ogień! — krzyknął — Pali się — łunę już na niebie widać! Gore!

Z sąsiednich dworków z tym okrzykiem — Gore! Gore! ludzie wysypywać się już zaczęli. Jedni wołali — Ogień na zamku, drudzy na podzameczu, niektórzy biegli na łunę. Stach bezmyślnie prawie chwycił się jak stał z pościeli i wybiegł za nimi.

Głuchy gwar słychać było w budzącém się mieście, dzwony po jednym się odzywały, lud zwołując na ratunek — coraz gromadniej bieżano ku pożarowi.

W górze na obłokach krwawa zarysowywała się luna, rosła, w karmazyn i rubiny się stroiła, a na jój tle kłębamii ciemny dym się zwijał iskrami dziany. Stach uląkł się czy nie na zamku gorzało, ale gmachy jego sterczały ciemne na rozpalonej łunie. Ogień dalej i niżej gdzieś być musiał, właśnie w tym kierunku gdzie się dwór Doroty miał znajdować. Stachowi i to na myśl

przyszło że Kaźmierz mógł tam być, biegł więc co miał sił ku ogniowi.

Leciał mijając ludzi, rozpychając tłum, potracany, zatrzymywany, torując sobie drogę gwałtem, gdy w ciasném przejściu uczuł nagle dwie ręce, które mu się splotły i uwiesiły na szyi, krzyk potém straszny usłyszał i blada twarz spadła mu na piersi.

Była to Jagna z dzikim wyrazem na licu, jakby obłąkana. Gdy ją miał pochwycić, dziewczęciu się ręce rozwarły i bezsilna upadła na ziemię. Skoczył Stach ratować omdlałą, zaledwie zdolałwszy zasłonić od tłoku, który cisnąc się zewsząd, mógł ją nogami stratować. Nieprzytomną podniósł z ziemi. Włosy miała biegiem rozwiane, ręce jakby sadzą i dymem powalane, spaleniznę czuć od niej było.

Stach niemogąc z nią tu pozostać wśród ciżby, gdyż piesi i jezdni zewsząd naciskali, biegnąc ku pożarowi, chwycił ją na barki i niosąc omdlałą zawrócił nazad do dworku.

Zdało mu się gdy ją trzymał, że się parę razy rzuciła, jakby oprzytomniawszy, krzyknęła coś niewyraźnie i znowu wróciło omdlenie. Z ciężarem tym dopadł wręście do wrót swych, gdzie Hreczyn, Żegieć i służba cała stała. Uchronić się ich oczów nie było podobna, bo życie ratować musiał. Spostrzegłszy panią swą w tym stanie Hreczyn i dziewczki krzyknęły rozpaczliwie, po-

chwycono ją na ręce i tak do izby, na posłanie wnieiono.

Służebne przypadły cucić i oblewać panią, Stach już o pożarze nie myślał. Jagna wkrótce oczy otwarła, powiodła niemi dokola, poznała Stacha, krzyk się jej wyrwał z piersi, usiadła na łożu. Oczy miała obłąkane, a choć życie wróciło, przytomności jeszcze nie odzyskała.

Przy świetle lampki dostrzedz mógł Stach, że suknia na niej i ręce były posmalone. Pogasłe ale nadgorzałe kawałki pakul przylegały do jej odzieży. Trzęsła się, milczała, Stach także. Hreczynowi dała znak aby się oddalił, odprawila sługi, Stach z nią jeden pozostał.

Nagle jakby coś sobie przypomniała, zerwała się, zachwiała na nogach, pobiegła do okna, wyjrzała. Blask luno ogromnej aż tu dochodził, z dziką radością rozśmiała się do niej. Wskazała palcem w stronę pożaru.

— Pali się! pali! spali się wiedźma przeklęta! — krzyknęła.

Ogień w piérwospy, na cztery rogi — wrota zaparte, ludzi nie było! spali się! spali.

Klasnęła w ręce. Stach słuchał i niemogąc zrozumieć patrzył jej w oczy — powtarzała ze śmiechem mściwym — Spali się!

Odwiódłszy go potem od okna — poczęła żywo po cichu — Zrobiłam dobrze? nie prawdaż? To ja jej dwór podpalilam!

— Czyj? — spytał Stach.

— Wiedźmy tej co jemu życie odbierała!

Namiętność z jaką to mówiła, przeraziła słuchającego.

— Tak — kończyła dysząc -- stróż był przekupiony — kilka nocy tam chodziłam, podkladałam pakuły, huby, siarkę, a dziś ogień zaniosłam... Stałam patrząc póki dobrze nie rozgorzało. Wszyscy już spali. Paliło się po cichu, płomień szło do góry.

Załamala ręce. Może ją wyratowali! Nie — to nie może być! Nie. Idź ty, idź — ja już sił nie mam — bież — zobacz czy wiedźma spalona.

Sił jój zabrakło i padła na pół zemdlona śmiejąc się tym śmiechem serdecznym, który się dobywa z największej bólesci, na postrach uszu ludzkich.

VIII.

Na zamku zrana czeladź na podsieniach zebrana o ogniu wczorajszym rozmawiała.

Palilo się pod samym zamkiem, w domu Wichfrieda, w którym wdowa mieszkała. Sam książę z czeladzią biegł na ratunek, ale dwór spłonął mimo niego prawie cały — a z nim mówiono — bogactwa wielkie.

Wichfriedowi się nie nie stało, a książę przyrzekł mu i dom odbudować i komory zapełnić znowu.

Ten który opowiadał, okiem jedném pomrugiwał chytrze i szeptał bardzo cicho.

— A baba? — spytał jeden.

— Licho bab nie bierze — dołożył inny — z ognia czy z wody wyciągną je zawsze. Nie się

jěj nie stało.. Wichfried ją wyniósł i zaraz do innego domu zaprowadzili.

— Sam książę tam był —

— Gadają — ciągnął pierwszy — że ją druga jakaś baba podpalila z zazdrości — widzieli ją jak uciekala. Gorzała slyszyć na niěj odzież i włosy.

Podpalono tego, na cztery rogi.

— Gdyby nie chowany kruk, w izbie zamknięty, który wrzawy narobił, wszyscy spali i byliby zgorzeli wszyscy.

— Kruka лихо nadało! — rzekł jeden.

— Wichfriedowa to żonka ta z Tęczyna!!

— Jaka żonka? — podehwycił inny — on jěj stróżem nie mężem, a tych co kolo niěj — ani zliczyć.

Palcem jeden na komnaty książęce ukazał.

— E! stara baba! — przerwał komornik któryś z pogardą.

— Ta! ta! żadna jěj młoda nie dotrzyma — ciągnął pierwszy — ma takie ziele co jak się niem potrze zaraz młodnieje i taką wodę co jak się umyje, kwitnie by róża, i taką maść że jak się nią wysmaruje, wszyscy za nią iść muszą. Wiedźma okrutna!!

— Wojewoda Szczepan co już ledwie dysze, a i ten tam się suwa, Biskup go klnie i dzwoni nań — nie pomaga — mówił inny.

— Wichfried też zżółkł przy niej jak воск: — śmiał się trzeci.

Znowu ten co palcem pokazywał na izby pańskie, zwrócił się w ich stronę — ale o księciu mówić nie śmieli.

— Jakby już młodych nie było? — zamruczał znowu jeden.

— Domostwo się paliło jak słomy kupa — Strach! — opowiadał znowu pierwszy z komorników.

— Dobrze podłożono? — śmiali się.

— Kto to wie? — zaprzeczył któryś.

— Wszyscy! Widziało wielu jak podpalaczka uciekała.

— A czemuż ją nie łapali?

— Ale! Aby urok rzuciła lub chorobę. Już taka co się porwała na tę wiedźmę, sama nie gorsza być musi.

Umilkli wszyscy zobaczywszy Wichfrieda, który blady i zadumany, zły szedł z miasta, poминаł dworskich i prosto kroczył do księcia.

Każmierz spoczywał chory i zmęczony, u łóża jego siedziała księżna ręce załamując, dopytując napróżno coby mu dać pić, albo jeść. Książę nie chciał nic, nie śmiał nawet patrzeć na żonę, łagodnie jęj tylko odpowiadając, jakby się pozbywał. Z drugiej strony łóża siedział kniaź Roman, zwykle wesół, teraz gniewny, patrząc na twarz księcia niespokojnie.

— A po co wam było samemu w ogień biedz — mówił — kiedy ludzi tylu macie? Zamkowi nie groziło, a Wisła blisko.

W tém w progu Wichfried się pokazał. wszyscy nań spojrzeli, najpierwszy Kaźmierz, który znacząco oczyma go badał. Wichfried pomięszany był — nie swój.

— No! no! — odezwał się kniaź Roman — *ne żurysia* (mówił do Wichfrieda) lepszy dwór będziesz miał z łaski twego pana, pocałuj go w rączkę i nie myśl o tém!

Księżna wstała —

— Byłe z tego memu panu choroby nie było! — rzekła.

— Z czego ma być choroba? — odparł Roman — Przeżegnaj się! Co? albo my to lalki słomiane? Niech tylko pójdzie do łaźni, a winnikami go wytrą, a wina z korzeniami zagrzać każ, wyspi się, spotnieje i będzie zdrów. A on z czego ma być chory?

Wstał i kniaź, jakby przyjście Wichfrieda dla księżnój i dla niego było znakiem do oddalenia się. Bolko, synaczek który w głowach u ojca siedział, pocałował go w czoło i za matką a dziadem się wysunął. Kaźmierz dopiero śmielój podniósł oczy.

— Gadał? — rzekł — mogli to być? podpalono?

— O! że podłożono ogień to pewna — ode-

zwał się Wichfried — i mądrze i po cichu! pod każdy węgiel, pod dach podetknięto pakule i ogień. Wrota z zewnątrz były podparte, dopóki z miasta-ludzie nie podpadli.

Twarz księcia pobladła.

— Czyżaż sprawa? — spytał cicho.

Wichfried się wahał z odpowiedzią.

— Wierzyć mi się nie chce — rzekł — mówią że uciekającą, popaloną babę jakąś widziało. — Leciała krzycząc.

— A nie schwytano jęj?!

— Któż wie co za stworzenie było! — szeptał Wichfried — Ludzie niektórzy zaklinają się że ją widzieli lecącą w powietrzu!

Książę oczy spuścił.

— Może to sprawa braci! — rzekł po chwili.

Wichfried głową potrząsał — Nie — babska robota, tylko niewiadomo czyja!

— A Dorota? — spytał Kaźmierz.

— Leżała chora i wystraszona, wstała już. Napój jęj baba dała, odżegnała chorobę. nie będzie jęj nic.

Kaźmierz szeptał jakby sam do siebie — Baba podpałiła? Kto? jaka?

W tém podkomorzy wszedł oznajmując Biskupa Gedkę, trzeba było wyjść naprzeciw niemu. Książę wymógł na sobie że twarz wypogodził nieco — ruszył na spotkanie i wprowadził Biskupa, który twarz miał bardzo nachmurzoną. Po-

patrzył znacząco na Wichfrieda jakby go chciał oddalić, a choć rozmowa sam na sam z Gedką zawsze Kaźmierzowi przykrą była, bo przychodził często z napomnieniami i strofowaniem — musiał skinać na Niemca aby odszedł. Choć niechętnie Wichfried się miał ku drzwiom.

Gedko zasiadł w krześle i dłonią podparł zamyślony, twarz miał zmienioną, wejrzenie niespokojne.

— Złe wam wieści przynoszę — odezwał się zwolna — więc nie spieszę z nimi; choć nigdy zawsze nie ich mieć nie możecie, dla odwrócenia złego...

Mieszek, niespokojnego ducha, choć go już lata przywieść były powinny do upamiętania, nie daje nam tchnąć. To co w Łęczycy chciał wyprosić, teraz myśli wziąć siłą. Zabiera się już zajeżdżać Gniezno wasze i Wielkopolskę. Wy, miłośnicy książe, zdajecie się dotąd o tym nie wiedzieć, bo nie nie czynicie. Gniezna bronić trzeba. Poznania, Ottonowi go dawszy, nie można mu pozwolić odbierać.

Spojrzał na księcia, który stał ani zdziwiony ani poruszony tą wiadomością — słuchał spokojnie.

— Ja mam doniesienia pewne — potwierdził Biskup — przychodzę pytać co czynić myślicie?

Książe wahał się dosyć długo z odpowiedzią. Gdy szło o rzeczy sumienia i przekonań, pan ten

łagodny zawsze, często lekki, stawał się twardym i nieugiętym. Śmiało po królewsku podniósł głowę i na zapytanie — co myślał czynić, odparł krótko —

— Nie — mój ojciec.

Gedko podniósł oczy, czekał tłumaczenia.

— Tak jest, nic — kończył Kaźmierz — nie uczynię żadnego kroku. Mieszkowi ojciec Wielkopolskę za dzielnicę naznaczył, nie godzi mi się mu jej przeczyć i odbierać. Zabierze Poznań, Gniezno — dam mu je trzymać. Tak każe sprawiedliwość.

Zżymnął się Biskup.

— Sumienie wasze znam — rzekł — szanuję głos jego, ale, książę mój, nie o Wielkopolskę tu idzie, nie o Mieszka, o państwo twoje całe. Brata waszego nie znacie tak jak my. Dziś chce Poznania, jutro się upomni o Kraków. Mając siłę zwiąże się z bratankami szlążkami i — padnie na was! padnie!

— Wówczas ja bronić się będę — odparł książę. — Lecz ze strachu aby się to nie stało, nie mogę go pozbawiać ojcowizny. Tak samo dla obrony od napaści, na życie jego mógłbym nastawać. Nie — tego uczynić nie mogę. Stanie się wola Boża — ten co widzi serce moje, ratować mnie będzie!

Gedko zamilkł, rozmowa była trudna, przeko-

nanie niepodobne, Kaźmierz stanowczo wolę swą objawiał.

— Zatem patrzeć będziemy obojętni na to, jak się na nas gotować będzie napaść niechybna i nieprzyjacielowi broń damy w rękę? Westchnął — Stań się wola Twoja panie!

Biskup mówił dalej powoli, z rezygnacją — Z Poznania, z Raciborza, z Wrocławia mam wiadomości pewne, na tém się nie skończy że Wielkopolskę wam wydrą. Mieszek w znowie jest z Szlązakami, zabiega około chorego Leszka, aby i ten spadek mu po sobie zostawił, a nie wam. Dzieciak słaby, którego lada fraszka zyskać sobie można, odda mu Mazowsze i Kujawy. Naówczas pomyślcie no! Wielkopolska, Mazury, Kujawy, Szlązko, Pomorze staną przeciwko wam. I wy dajecie się téj srogićj burzy zbierać nad głowami waszemi — nie czyniąc nic??

— Widzę ją — tak — ale uprzedzić nie mogę — odpowiedział Kaźmierz. Mieszek dotąd nie dał mi powodu wątpić o sobie. W Łęczyce owszem Bolko mi od niego przyniósł zapewnienie posłuszeństwa i zgody.

— A! a! zapewnienia! — rzekł Gedko — Co Mieszka kosztują słowa? choćby i przysięgi — dla panowania wszystko poświęci!

— A ja, ojcze mój, dla panowania nie poświęcę sumienia — odezwał się Kaźmierz silnie — Czémże ono jest obok spokoju méj duszy, gdy

w niej się czuję czystym? Dajcie mi iść tą drogą a resztę zostawmy Opatrzności.

Biskup poruszony wyciągnął ręce aby go objął i uściśnął.

— Tak! — zawołał — tak! Opatrzność chyba czuwać będzie nad tobą — bo ty na nią zdajesz wszystko z ufnością dziecięcia!

A więc — Stań się wola Twoja!

Kazmierz stał wzruszony, ale uradowany niemal.

— Ojciec mój — począł — o zamiarach Mieszka po trosze wiedziałem. Dopóki tylko własną dzielnicę odzyskać chce — nie stanę mu na drodze. Wątpię jednak aby ziemianie poznańscy, którzy w Łęczycy na samą wieść że ja im Mieszka chcę dać, tak się poruszyli — mieli go łącno przyjąć teraz.

— Ziemianie! -- odparł Biskup — temi porusza wiatr który silniej zawieje.. Dziś są z nami, jutro będą przeciw nam. Mieszek ich część sobie pozyskać potrafi, śmielsi go okrzykną, słabsi zamilczą, ci co się odgrażali pierwsi przyjdą z poklonem!!

Budować na sercach ludzkich, rachować na tłumy ruchome jak morskie fale — to klecić na piasku..

— Buduję na Opatrzności — rzekł książę.

Gedko się zadumał.

— Starajcież się łaskę Bożą pozyskać sobie — dodał — abyście każdej chwili czystym byli przed

obliczem Jego. Wielbię ja cnoty wasze, ale nad słabościami boleję. Nieszczęsne te niewiasty na zgubę was wiodą!

Kaźmierz nigdy się nie tłumaczył, gdy Biskup go upominał, i teraz pokornie zmilczał.

— Odpędźcie precz, te kusicielki — mówił Gedko — czas jest! dziecko moje. Nie przystoi wam płochosć, a u ludzi dajecie się na pośmiewisko.

Po przestanku, Kaźmierz rzekł cicho — Dziękuję wam, ojcze, za naukę. To co mi mówicie, sto razy ja sam powtórzyłem sobie. Oprzecz się nie mogę złemu!

— Bóg miłościw — dodał Biskup — czeka cierpliwy, aliści dla upamiętania dotknąć was może, w tém co najdroższe, w dzieciach waszych...

Aby osłodzić tę groźbę straszną, Gedko uściśnął znowu księcia. Rozbrajała go pokora. Tak rozstali się czule, serdecznie, ale rozmowa nie przyniosła innego skutku nad ten, że przekonała Gedka iż Gniezno i Poznań były stracone.

Po wyjściu jego, Wichfried, który nie daleko czatował, zjawił się zaraz, domyślając że się bez upomnień nie obeszło i że skutek ich zatrzeć potrzeba było. Zręczny niemiec nigdy wprost nie mówił przeciw Biskupowi, ale uniał obrócić myśli w inną stronę i poważne sprawy lekko malować.

Wszczął więc zaraz znowu mowę o Dorocie, jak ona oddaną mu była, a we wczorajszym niebezpieczeństwie nie o siebie ale o przybyłego Kazimierza się trwożyła. Wichfried donosił że miał już opatrzony dom inny, który natychmiast miano przerabiać i przysposobić dla wdowy. W pożarze jak powiadał straciła ona wszystko, i potrzeba było myśleć aby nawykła do wygod, nie czuła ich braku.

Książę słuchał z jakąś niecierpliwością i niechęcią, zamykając niemiłą mu rozmowę rozkazem aby ze skarbcu wzięto dla Doroty, czego tylko potrzebowała i sownie ją opatrzone.

— Nie mówcie mi już tylko o niej — dodał — nie przypominajcie mi grzechu mojego. Chcę się z tych pęt uwolnić Biskup spokoju mi nie daje, sunienie gryzie, muszę się przemódz i wyswobodzić. Ogień ten palcem był Bożym!

— Ogień złość ludzka podłożyła — przerwał Wich'ried — przy pomocy Bożej i ludzi spodziewam się odkryć sprawcę. Zazdroszczą wdowie wszyscy, co dziwnego że radziby ją upiec żywą? Sprawa to niewieścia nie Boża.

Książę się zmarszczył — Nie mówcie mi już o niewiastach, — przerwał — co było bólu w mem życiu to przez nie. Dostyc mam tego com doświadczył. Jeżeli Bóg oswobodzi mnie z tego czaru jaki rzuciła na mnie — nie chcę spojrzeć więcej na żadną.

Niemiec uśmiechnął się niedowierzająco.

— E! — rzekł — czarów tu żadnych niema. Niewiasta jest osobliwa jakiejś pewnie drugiej we wszystkich tych ziemiach nie znaleźć, rozumna, piękna, serca wspaniałego, i do Miłości Waszej przywiązana jako pies. Nie potrzeba napoju ani uroku aby się w niej rozmiłować, a rozmiłowawszy trwać w tém. Starzy i młodzi, ktokolwiek ją ujrzy głowy tracą i szaleją!

Każmierz słuchał z wyrazem twarzy, zdradzającym walkę duszną, to marszcząc się, to uśmiechając, to chcąc potakiwać to przeczyć, bronić się i nakazać milczenie. W końcu uściskał Wichfrieda, i szepnął mu.

— Ty jeden mnie nie potępiasz? Grzeszny jestem! lecz i pustelnicy na Sinaï popadali w ten grzech, któremu słaby człek nlega. Milcz, proszę, nie mów o tém więcej.

Przywołano starego Rajca, aby ze skarben wydał co było dla Doroty potrzeba. Książę jakby sumieniem gnany do żony się udał. Wichfried do wdowy..

Dom do którego się ona czasowo schroniła należał do wojewody Szczepana, ale ten go nie zajmował. Nie był tak obszerny jak dwór który wczoraj spłonął, a stał w niewielkiej odległości od dymiącego jeszcze pogorzeliska.

Wśród popiołów i niedopalonych głowni dużo ludzi ubogich z kijmi się kręciło, rozrzucając wę-

gle gasnące i szukając stopionych kruszców, o których wieść chodziła że się ich tam mnogość wielka miała znajdować. Po za opalonemi parkanami, uratowane sprzęty, wozy, pościele, ludzie Doroty przenosili do Wojewodzińskiego dworu, około którego skupiała się ciżba różnobarwna.

Zdała tłumy ciekawych przypatrywały się nadciągającym mnogim przyjaciółom i znajomym Doroty, którzy z miasta i ze wsi spieszyli jedni z podarkami, drudzy dla dowiedzenia się o wypadku, dziwnie już opowiadany i tłumaczony.

Duchowieństwo głosiło że z nieba ogień padł na tę Sodomę i Gomoreę.

Przed dworcem stały posiadlane konie, wozy ładowne, kręciły się ezeladzie pańskie, stawali przyglądać i przysłuchiwać kupey i mieszczanie. Zawóz był jak na targowicy w dzień niedzielny.

Niektórzy palcami sobie ukazując pogorzelisko i dwór opisywali pożar z temi dodatkami, w jakie od wezora, z ust do ust przechodząc, powieść się przystroila. Zadziwiająca to praca myśln ludzkiego nad słowem które z ust jednych wychodząc, w drngich już inne przybiera barwy, w trzecich rysy niektóre grubieją, nikną inne, dalej zmienia się obraz, rośnie, maleje, wykrzywia. rozdyma i ci co własnemi oczyma na wypadek patrzyli, nie poznają go nazajutrz przestrojonego w cudowną jakąś legendę.

Stało się to z pożarem na podzamczu. Jedni widzieli babę która podpałała, inni wiedźmę leącą w powietrzu, inni ogień z nieba rzucony. Byli co obwiniali braci z Tęczyna i gachów zazdrosnych — i niewieścią zemstę.

W domu wojewodzińskim, ochłonawszy już ze strachu, piękna Dorota przyjmowała cisnących się druhów swoich.

W ogromnej izbie z belkami zczerniałemi u pułapu i ścianami pstro pomazanemi, zarzuczonej nagromadzonym już bez ładu sprzętem, wdowa strojna, z włosiem utrefionym i namaszczoneym, w sukni bramowanej obcisłej z rękawami długimi, wpół siedząc, wpół leżąc — otoczona mężczyznami rozповідаła wczorajsze przygody swoje. Coraz ktoś nowy przybiegał — zalecając się, przynosząc coś dla pogorzałej. Przyjmowała wszystkich i wszystko.

Najbliżej niej siedział Wojewoda Szczepan, zapomniawszy na wstyd, z policzkami zarumienionemi, zazdrosnym okiem spoglądając na młodzież, cisnącą się do płochęj niewiasty, uśmiechając się z kolei każdemu.

— Tylkom co oczy zmrużyła — mówiła — cicho było we dworze, pozamykano wszędzie, bo stary mój dobrze porządku pilnuje. Spać mi się chciało, sen kleił powieki jak po makowej polewce. Zdawało mi się żem w podwórzu usłyszała furtki skrzypnięcie, ale jakże to być mogło

kiedy tam stróż chodzi i wcześniej ją zamykają? myślałam sobie. Wiatr szumiał zdala. Budzę się, coś jak światełko błyszczy mi przez szczeliny okiennicy, oczom nie wierzyłam, a sen morzył. Upłynęło czasu trochę, coś zaszelpotało pod ścianą — wiatr albo psy moje biegają! Co tam! Na raz zaleciała mnie spałenizna... czułam że coś gorzało.. Sądziłam że ogarek nocny w drugiej izbie zagasnął i swądu narobił. Sen tak morzył, ani się ruszyó!

Cieężko się robiło na piersi, duszno... tchnąć coraz trudniój. Zmora jakaś, myślałam! W izbie trzeciej chowany mój kruk krzyczeć zaczął prze-razliwie, słyszałam jak bił skrzydłami i miotał się — Coś mu się stało! Ledwie powieki mogła podnieść, patrzę — przez szpary w okiennicach jasny ogień płonie, w izbie dym, a tu już i krzyk dziewczek mnie dochodzi. Zerwałam się, do drzwi trafić nie mogąc. Wrzawa otaczała dom — Gore! gore!

Biegłam do wyjścia zgubiwszy pamięć, bijąc się o ściany. Na podwórzu biegali ludzie, dym się wciskał do izby i płomienie, na dachach trza-skały dranice. Gdy mi drzwi otwarły służebne, nie wiem już co się działo ze mną i kto mnie na rękach z płomieni wychwyił.

Budynek gorzał cały, a dziedziniec stał jeszcze zaparty, zewnątrz łamano wrota; bo z obu stron były kołami zabite.

Piekło do koła! Żem przeczyła tę noc — cud chyba!

Opowiadali i drndzy, Wojewoda drżał i lzy mu ciekły z powiek zaczerwienionych.

Wszyscy świadczyli że widziano niewiastę uchodzącą, że stróż który u wrót stał zniknął nikomu nie było tajno. Zląkł się i uszedł, zdradził czy spalił się? różnie sądzono. Ktoś musiał jednak być sprawcą ognia i pozabijać wrota.

Wdowa mówiła, płakała, śmiała się, a że już jej dawne życie wróciło, rzuciła oczyma, wdzięczyła się, wyciągała ręce białe i kibić, okrągłą dosyć, na popis stawiała. Młodzi śmieli się powiadając że zazdroszczą temu co ją wynosił z pożaru.

— Nie lada to siłacz być musiał — rzekł jeden — bo jest co nieść!

— Choćbym się poderwał i popalił — zawołał drugi — a radbym was na ręku ponieść.

Żartowano już, nie oglądając się na słowa. Na tę rozmowę i śmiechy wszedł Wichfried, którego tu wszyscy za gospodarza niemal uważali. Koso nań popatrzał Wojewoda; wdowa ze zrzęczością wielką wszystkich ilu było, choć się oczyma jedli, umiała tak trzymać aby do swaru nie przyszło.

Jednemu i drugiemu szepnęła w porę coś uśmierającego, ścisnęła ręce nieznacznie, dawała mruganiem przestrogi, Wichfried zresztą najmniej

zazdrosnym był, chyba za swojego pana. Zobaczywszy go niektórzy się zaraz do wyjazdu zabierać zaczęli. Wojewoda pozostał jako we dworze gospodarz, co mu większe prawa dawało.

— Nie będziemy waszój miłości długo dworu zajmowali — rzekł do niego niemiec — bo dom nowy już mamy, który dziś jutro opatrywać się zacznie.

— Siedźcie, ja dworu tego niepotrzebuję — odparł stary.

Wichfried coś po cichu poszeptywał, tak że i Szczepan posiedziawszy trochę, wyniósł się za innemi. Po wyjściu jego wdowa przystąpiła do Niemca.

— Cóż on? co? — zapytała.

— Ze skarbcza kazał dać co do domu potrzeba i grzywien dosyć.

Oczy się jej uśmiechnęły.

— Ale dokończył Wichfried — chodzi zmitrężony, przybity, bo mu Biskup powiedział że na wasz dom z nieba ogień padł za grzech jego..

— Z nieba! kiedy podpalaczkę widzieli — krzyknęła Dorota — to i koły do wrót z nieba chyba pospadały!

-- Podpalaczkę? — zawołał Niemiec — któż ona mogła być?

Dorota ramionami ruszyła.

— Albo to ich tu mało jest coby mnie dawno

z kamieniem u szyi do Wisły zanosły? Siła ich którym się księcia chce — ale im go nie dam.

— Nie robota to braci? — pytał Wichfried.

— O! ci by mnie też żywcem spalili ale to nie ich sprawa.

Rozmowa przerywana ciągnęła się długo, głośna i cicha, zgodna i sporna; na ostitek wdowa się dopominać zaczęła o księcia, kiedy przyjdzie, a Wichfried za to ręczyć nie mógł i nie bardzo obiecywał.

— Powiesz mu żem chora, że umieram, że proszę laski choć na chwileczkę, musi przyjść — zawołała Dorota. — Długo mu tak dać zostać nie mogę. Jak dzień, dwa się nie zjawi, sama pójdę!

Chodziła mocno poruszona.

— Mogę się odziać po męzku -- kto mnie pozna? Ty mnie poprowadzisz. Gdy go niema dłużej, strachem mrę, tam wszyscy na mnie — tam bij zabij na Dorotę. Niech co chce będzie — nie puszcze Kaźmierza! Porzuci mnie, umrę, wołała przerywanemi słowy, po izbie chodząc i przyskakując do Wichfrieda. Szepnął w końcu iż książę mu oświadczył że jakiś czas sam być pragnie.

— A ja nie chcę aby był sam! — odparła Dorota.

W końcu Niemiec, który próbował się sprze-

ciwieć, na wszystko przystawał, odprawiła go na zamek nazad.

We dworku Jagny okiennice były pozamykane, Stach chodził po gościnnej izbie. Część noce spędził przy niej, pochwycił co w gorączce mówiła; jawnem było że Jagua z nienawiści ku niewieście, ku której niechęć zawsze okazywała, ważyła się na podpalenie. Zkąd się jednak brała ta sroga nienawiść Stach pojąć nie mógł. Żadnem słowem, nawet w gorączce nie zdradziła się Jagua.

Gdy się nieco nad ranem uspokoiła, służebne przestraszone do snu ją ukołysały. Stach czuwał do rana. Gdy zasnęła skorzystał z tej chwili i zaniósł do Biskupa to z czém przybył. Natychmiast potem wrócił do dworku, i zastał ją śpiącą jeszcze. Kilka razy w noce dawać jej wodę musiano, paliło ją pragnienie, potem sen kamienisty trzymał jak nieżywą do południa.

Stach przychodził kilka razy, stawał i patrzył na uśpioną. Zasypiała głęboko, z wargami spalonymi, ale dysząc lekko i jakby uspokojona. Gdy się w nią wpatrywał mocno, jakby poczuła jego wzrok, otwierała oczy nagle, błysły źrenice z pod powiek i zamykały się znowu. Sługi płakały, sen ten dziwny wydawał się im ostatnim.

Sprowadzono starą lekarkę, która popatrzyła, poszeptała i odeszła mrucząc że wstanie zdrową.

Już dobrze z południa, poruszać się zaczęła

Jagna, obracać, potem z ciężkim westchnieniem podniosła, zatoczyła oczyma. Stach stał w progu, zobaczyła go, musiała przypomnieć sobie co sen zatarł w pamięci. Dłoniąmi jeszcze zczernionemi od dymu, potarła czoło, odgarnęła włosy i popatrzywszy na swe ręce wzdrygnęła się nieco. Spokój powrócił. Skinęła na Stacha aby przyszedł ku niej, a gdy się pochylił, szepnęła mu do ucha.

— Spaliła się wiedźma?

— Nie — rzekł Stach — wynieśli ją z płomieni.

Oczyma wielkimi, strasznymi zatoczyła w około niedowierzająco.

— Nie spaliła się? Nie?

Zadumała głęboko i padła płacząc na posłanie.

— I ogień jej nie bierze! — mruczała — a ona go zgubi!

Stach pytań nie śmiał zadawać.

— Nie splonęła ona — rzekł po chwili — ale was widziano gdyście od ognia bieżeli. Nuż wydadzą! nuż pozna kto!

Z wyrazem pogardliwym Jagna zwróciła twarz ku niemu.

— No — to mnie spalą na stosie! — odezwiała się — a wy pójdziecie patrzeć wszyscy! Przyjdzie i ona i książe. Uwiążą do słupa! Raz trzeba umierać — to łatwiej jak żyć!

Stach się odważył na pytanie.

— Zkądże wam do niej ta nienawiść?

Z pół uśmiechem odpowiedziała mu Jagna.

— Alboście to nie widzieli psa i kota co się w życiu nigdy nie spotykali, a zszedłszy się na drodze padają na się? Tak z nią i ze mną. Nienawidzę jej!

Wstrząsnęła się cała i wpatrując długo w róg izby, jakby zapomniiała o Stachu.

— Nie spaliła się! — mruczała — A wrota były zaparte, a dach płonął cały, a spali wszyscy.. Kto ich pobudził?

— Mówią w mieście że kruk! — rzekł Stach.

— Szatan nie kruk — krzyknęła — szatan, co więdźmy pilnuje. Kruk? czarny! Djabeł! I ona jak kruk żyje żrąc co spotka żywym czy padłem.

Drugiego dnia wstała Jagna, lecz, ona co zawsze była silną i wytrwałą, wlokła się ledwie, przeszedłszy chwilejąc się przez izbę na ławy padała. Twarz miała wybladłą, oczy zapadłe.

— Ona się nie spaliła — mruczała chodząc — a ja zgorzałam aż mi duszę pali!

Złagodniała bardzo. Nie płakiwała dawniej nigdy, teraz powieki miała od łez czerwone i strumienie ich płynące na licu bladym drogi krwawe popaliły.

Tylko przed Stachem udawała mężną, dłonią

suszyła oczy, starając mu się uśmiechać. On patrzył na nią nie mówiąc nic.

Jednego dnia rano odezwał się dzwonek i a Wawclu, na mszę pierwszą wołając do św. Wacława. Jagua nigdy prawie, lub rzadko do kościołów chodziła. Głos tego dzwonka pierwszy raz przemówił do niej, jakby ją coś wołało, jakby ku sobie ciągnął. Opierała mu się długo, dopominał się — zdało jej się że rozumiała głos jego, że musiała za nim pójść.

Narzuciła czarną chustę na siebie i nikomu nie mówiąc cała drżąc, spiesząc się wybiegła za próg domu. Ranek był chmurny, ciemny, niebo zaciągnięte.

W progu spotkała się ze Stachem.

— Dokąd? — spytał.

— Muszę, muszę — ja nie wiem. — Bądź spokojny, powrócę — odparła niewyraźnie i spiesźnie.

Nawykła była czynić wolę swoją, nikt nie śmiał jej wstrzymywać. Skinęła tylko, rzuciła się do wrót, wybiegła. Stach choć się uląkł, nie poszedł za nią, wzbronila mu. Z początku szła spiesząc zdyszana, zwolniła potem kroku, otuliła się chustą — lżej jej było. Nie szukając jej, nie myśląc drogi na zamek znalazła, minęła bramę ciemną. Kościół stał otwarty. U wielkiego ołtarza zapalone były świece, u progu kilku żebraków stało, nikogo więcej. Cisza i spokój do-

mu Bożego obwiał ją, krokiem śmiałym posu-
nęła się aż do krated. Tu usiadła na ziemi, chu-
sta którą była osłonięta osunęła się, opadła, twarz
błada ukazała się cała okolona rozrzuconemi
włosami.

Ciekawie na ołtarz patrzeć zaczęła. Sama te-
raz niewiedziała po co tu przyszła, modlić się nie
umiała prawie. Tego co ją nauczyli w dzieciń-
stwie zapomniała. Przyglądała się wszystkiemu
co ją otaczało. Na ścianie wisiał Chrystus stra-
szny na krzyżu przybity, z głową zwieszoną,
z której włosy okrwawione spływały. Cierniem
poorane miał czoło, ręce opłynięte krwią, z boku
sączyła się krew, nogi były nią zbroczone.. Mę-
czarnie konania wyprężyły piersi, ręce, ramiona,
nogi. — Pod stopami miał głowę trupa.

Jagna wpatrzyła się w niego; dla niej był
to obraz życia - - patrzała i napatrzeć się nie
mogła.

— Wiecznie tak krwią płynąć, męczyć się,
być tak przybitym samemu, bo wszyscy swoi ode-
szli precz wystraszeni śmiercią, konać i niemóć
umrzeć, wołać i nie być słyszany m.

Łzy jej z oczów się polały; zwróciła je w dru-
gą stronę. Tam z kamienia wykuty na desce
z glazu stał Chrystus drugi. Niósł swój krzyż na
ramionach i szedł nim przygnieciony. Tłum go
otaczał który ona знаła, tłum zbrojów z urągowi-
skiem na ustach, z pięściami zaciśniętymi, osza-

lały, wściekły. Chrystus ten szedł, a nie poruszał się, szedł tak wiecznie i nie było końca jego pochodowi ani ich szaleństwu.

W górze, spoglądała, tkwił krzyż jeden jeszcze i na nim Chrystus, a nad nim gołąb w powietrzu z rozpostartemi skrzydłami. Jeden gołąb litościwy!

U ołtarza śpiewano, dzwoniono i modlono się — ona siedziała nieruchoma, patrzyła ciągle i dumiała. Lżej jej tu było jakoś wśród tych wizerunków męczarni.

Zaszeleściło coś, zaszeleło w ciemnym kącie kościoła, weszli ludzie jacyś i stali nieruchomi, pokryci mrokiem. Jagna popatrzała na nich obojętnie i odwróciła oczy.

Ksiądz przeżegnawszy ją odszedł od ołtarza, zgaszono światło, ci co stali po kątach wysuwać się zaczęli, ona jeszcze siedziała.

Zawsze niewiedziała po co przyszła, co ją tu zawołało. Czekala aby jej znak dała własna dusza iż iść może nazad, bo że nie przyszła z własnej woli, ale musiem jakimś — to czuła dobrze.

Teraz cicho już było, skończyło się wszystko, trzeba iść było czy nie? Zawahała się. W tém stary człek w sukni czarnej zbliżył się do niej dotknął jej ramienia, i wskazał na drzwi do połowy już zamknięte. Jagna wstała powoli, obejmowała się ku ołtarzowi, ku Chrystusowi, ku gołębiowi u góry i posłuszna ku drzwiom iść poczęła.

Tu dopiero uczuła chłód i osuniętą chustą ogarnęła się znowu.

Oczy jej po tym spoczynku widziały więcej i jaśniej. U drzwi stała kamienna kropielnica, zajrzała do niej. Wodę widać było na dnie, dotknęła jej palcami i zmoczyła czoło gorące — ochłodziło ją to. We drzwiach kilku żebraków patrzyło na nią ciekawie — minęła.

Deszcz pruszył, ranek chmurny zmienił się w dżdżysty. Od kościoła ku zamkowi widać było podwórze długie, Jagna puściła tam wzrok — puste stało, tylko ludzi kupka opodał się zatrzymała, i ku niej czy ku kościolowi patrzyła. Obejrzała się na nich, oni patrzyli na nią, jeden szczególnie, ale twarzy jego nie widać było, postawę miał, ruchy — jakby tego kogoś którego znała. Ale niemógł być nim! powiedziała sobie — o nie! Ten by nie stał tak daleko, taki martwy!

Po oślizłej ziemi zwolna poczęła zehodzić ku domowi, slaniając się trochę bo jej było słabo jakoś. Deszcz padał rzęsiściej coraz. We wrotach minął ją orszak konnych jadących na zamek śmieli się i wygadywali, popatrzyli na nią — pojechali.

Nie pilno było do domu.

Dziwila się po co tam chodziła? Na zamek? Czy dzwonek wołał czy serce? niewiedziała teraz. Obejrzała się za siebie czy kto nie goni, nie było

nikogo — a czuła jakby ją co ścigało, ale to był wiatr ze slotą, który dał i moczył.

Nim doszła do dworku strumienie wody lały się z niej, i dobrze z tém było bo chłodziły.

We drzwiach stał pod daszkiem poglądając w ulicę Stach; zobaczywszy ją szerzej otworzył furkę, wśliznęła się nią nie mówiąc ucie, nie tłumacząc, smutnie się uśmiechnąwszy do niego. Powłókł się za nią, zdejmując z niej chustę obmołką, nie pytał, ona mówić nie mogła.

Po długiem milezeniu odezwała się.

— Chrystusa widziałam! Niepocziwi ludzie powiesili go, okrwawili, poranili. Straszny Chrystus!

— Byłaś w kościele? — spytał Stach.

— Tak, byłam w kościele na zamku. Cicho w nim, paliły się świece ksiądz coś szeptał, coś śpiewał, a z Chrystusa ciekła krew.

Stach uradował się tém w duszy że Jagna zwróciła się do kościoła i do Boga, zapytał czy nie chciała księdza, bo księża pocieszać umieją i nauczać życia.

Spójrzała nań dziko dziewczyna, potrząsła głową.

— Nie! nie — rzekła — Chrystus więcćj mówi niż wszyscy księża — widziałam Chrystusa, nigdy go nie zapomnę!

Nazajutrz Stach myślał że zechce znowu może

pójść do kościoła, ale zrana słyszała dzwonek i słuchała go obojętnie. Nie wołał jej.

Powróciło życie dawne. Siedziała patrząc i niewidząc nic, czasem przebierając dawne swe szaty i odzież, do których przylgłego szczęścia szukała. Brała je, rzucała, uśmiechała się, płakała i siedziała nieruchoma. Gdy Stach mówił, często nie zdawała się go rozumieć. I płynęły tak dni długie, długie, a że Stach pilniej teraz nie miał roboty, musiał siedzieć i patrzeć na tę biedną istotę, której zrozumieć nie mógł, a która go wcale słuchać nie chciała.

IX.

Dnia jednego, dzień to był słotny i smutny. Wichfried wszedł, jak zwykle, nieoznajmując się do izby księcia. Zastał go stojącego w oknie, zapatrzonego w podwórze.

Zmokły płaszczyk, tylko co zrzucony leżał na ziemi. Niemiec nawykły czytać w Kaźmierza twarzę, poznawać z niej myśli i uczucia jego, popatrzywszy uląkł się tak była dziwnie zmieniona trwogą jakąś, i wzruszeniem nadzwyczajnem.

Gdy się zbliżył ku niemu chcąc zapytać, Kaźmierz zawołał nagle.

— Widziałem ją! ona tu jest!

— Kto? — spytał zdumiony Niemiec.

Ale Kaźmierz już był zamilkł, jakby żałował wyrzeczonego słowa, zdając się namyślać czy ma

mu odpowiedzieć. Wichfried natrętnie powtórzył pytanie.

— Ktoż? Kto?

Książę niechciał mówić, co tém niespokojniejszą obudziło ciekawość.

— Wasza miłość, zdajecie się jakby przelekłym? Któż to być może?

— Oua! — zawołał Kaźmierz wybuchając a głos wnet tłumiać ostrożnie — Ona! moja pierwsza! Ta — z Gaju! Pierwsza moja i ostatnia! Jedną jej com żałował i żałuję — Ona to była, ale jak strasznie zmieniona, zwiędła, wybladła — Ten kwiatusek tak świeży! to liczko z którego tryskało życie weselem — Cóż się z nią stało? co się z nią stało? — powtórzył niespokojnie — Wichfriedzie niewiesz uic?

— Nic niewiem — odparł Wichfried obojętnie — A! to stare, zabyte rzeczy! Ja wątpię żeby ona tu być mogła — książę widziałeś coś sobie wymarzył. Gdzieżby ona tu być miała?

Kaźmierz się oburzył.

— Nie omyliłem się — rzekł — ona to była.. W ubraniu nędzném, starém, opuszczona.. Siedziała u ołtarzu, patrzała, oczyma dziwnemi, jakby niewidziała nic.

Wichfried ramionami ruszył.

— Jeszcze i dziś jest piękna — dodał książę — choć straszliwie zmęczona nieszczęściem..

Któż wie co się z nią stało! Wydali ją za mąż? Ojciec? Żyje-li ojciec?

Wichfried, któremu ten niepokój Kaźmierza był przykry, rzekł zimno.

— Nie wiem! Po co się dowiadywać o to? po co troszczyć? Wznawiać stare rzeczy..

Książę odwrócił się od Niemca z tak widocznym oburzeniem, iż Wichfried zmiarkował że za daleko się posunął. Wolał ofiarować swe posługi, aby go kto inny nie wyręczył.

— Dowiemy się o niej łatwo — dodał po namyśle — choć, wiem na co się to przydać może?

Ruszył ramionami — Dosyć tego co jest, żeby odgrzebywać co było! Zapomniane to..

— Nie zapomniane! — zaprzeczył książę silnie — nie! Nigdy o niej nie zapomniał, była pierwszą i ostatnią! A te wszystkie!

Ręką rzucił z pogardą, twarz mu gorzała.

Wichfried się rozśmiał — Cóż Dorota?

— Nie wspominaj mi tej zbytnicy! — zawołał Kaźmierz wybuchając — ani słowa o niej. Szatan to jest, inaczejby tej siły nie miała nademną. Modłę się, odpędzam ten szat, i powraca. Nieczystą siłę ma!

— Jak one wszystkie — dodał Wichfried — bo niema dwóch rzeczy podobniejszych do siebie, choćby najróżniczsze były, nad dwie niewiasty..

Książę nie odpowiedział. Niemiec czuł że tracił u niego, uląkł się. Niewiedział jak ma postąpić aby się nie dać temu usposobieniu w umyśle zagnieździć. W żart obrócić tego smutku i zgryzoty nie było podobna, czekał aż książę się odezwie. Po chwili milczenia powtórzył że Dorota bardzo jest nieszczęśliwa. Chciał mówić dalej, gdy Kaźmierz przerwał zuiecierpliwiouy.

— Weźmij dla niej co chcesz ze skarba — obdarz ją w imieniu mojem i uiech od niej będę wolny!

— Wolny? — odparł smutno Wichfried — ale to od was zależy, miłościwy panie.

— Odemnie! — począł książę — Tak odemnie, od ciebie, od nałogu w grzechu. Nie jestem panem siebie. Namiętność ta sprowadza mnie z drogi rozumu i statku. Wieczory które spędzałem z ludźmi rozumuemi, od których się coś nauczyć było można, upływają na płochych zabawkach, zostawiających po sobie gorycz i smutek.. Duchowui z pogardą patrzą na mnie, ja sam brzydzę się sobą. Wszystkiemu winna ta uiewiasta, którą zła godzina przyniosła.

Chodził poruszony, Wichfried nigdy go takim nie widział.

— Miłościwy panie — odezwał się — część winy spada na mnie. Wiem to — kochając was, służyłem i w tém chcąc przynieść rozrywkę nie zgryzoty.

— Ja cię nie obwiniam— przerwał Kaźmierz— winienem ja sam! Westchnął i mówił dalej, żaliliwszy się nad niemcem, który stał zafrasowany.

— Wichfriedzie kochany, ciężkie brzemieć wkłada Pan Bóg na tych, których na świeczniku stawia, dając im w ręce wodze, aby narody prowadzili. Nie należą oni do siebie. Co drugimi przebaczone im zakazane, co drudzy utaić mogą, oni nie zdołają. Każdy ich uczynek odbija się w tysiącu, każde słowo zarazę niesie. Szczęśliwymi im być niewolno dla siebie, ułomnemi się być nie godzi.

Panowanie też kapłaństwem jest, i jak ono męczeństwem. Dlatego nigdy nie żądał władzy wielkiej, aby nie stać na oczach tysięcy. Tam, w Sandomirzu szczęśliwszym byłem.

— Za wielkość płacić trzeba! — odparł Wichfried zimno. W miłość czynicie sobie dobrowolne męczeństwo.

Ustala rozmowa, Kaźmierz się rzucił na siedzenie i sparl na rękę. Wrócił do pierwszej myśli.

— Ona to była w kościele — rzekł powoli — oczy mnie nie omyliły. Przyszła pieszo, sama, unctioną chustą okryta, nieszczęśliwa, zboliała, wiadać to było z twarzy. Cóż się jej stało? Ja chcę wiedzieć — jam powinien być uwiadomiony.

Wichfried do usług zwykle pochopny, stał dosyć obojętny. Powracające to przypomnienie niecierpliwiło go.

— Jeżeli pomódz jěj, ratować ją można — dodał Kaźmierz — to mój obowiązek. Mam jěj niedolę na sumieniu, zerwałem z nią okrutnie!

Zamruczał coś niemiec o poszukiwaniu, ale niewiele przyrzekał. Książę popatrzał nań i nie nalegał więcéj. Stał jeszcze długo Wichfried usiłując myśli odwrócić w inną stronę, ale nie otrzymał odpowiedzi; dla pozbycia się go Kaźmierz rozkazał zawołać kanclerza, aby się od niego dowiedzieć o przywiléj dla Cystersów przygotowany i umowę z benedyktynami o łowy w ich lasach. Wichfried widząc się zapomnianym, bo książę się do niego nie zwracał, wyszedł w końcu, rozmyślając nad tém, czyby mu nienależało i w tém swojemu panu posłużyć.

Po wyjściu kanclerza, książę spiesźnie wołać kazał Smoka do bocznej komory. Temu zaufać mógł we wszystkiém. Kosztowało go zwierzać mu się, ale niepokój, jaki go opanował, nie dozwalał rozmyśłu. Smok przybiegł zdyszany.

— Smocze — zawołał książę — gdyśmy jeździli do Gaju, tyś widział Seiborzanękę?

Potwierdził Smok głową, wytrząszczył oczy, pytanie to teraz mu się dziwnem zdało. Czasy się zmieniły.

— Poznałbyś ją?

— A no, pewno! — odparł Smok.

— Ona tu jest w mieście — dodał Kaźmierz. —

Widziałem ją w kościele odzianą ubogo. Nikomu ani słowa o tём, idź na zwiady.

Smok nśmiechnął się, do kolan pokłonił, ale z miejsca nie ruszył. Mówił w ogóle mało, i niezręcznie. Kaźmierz rozkaz powtórzył, na twarzy Smoka widać było zafrasowanie jakieś, jakby niewiedział co począć. Książę jnż się domyslał, że zechce może wymawiać się od ciężkiego poselstwa, a znając Smoka, zdziwił się mocno. Smok gotów był zawsze w ogień i wodę, jak powiadał, dla swojego pana.

— Szukaj, proszę, idź! przynieś mi rychło wiadomość co się z nią dzieje!

Smok nie ruszył się jeszcze, skłonił się do nóg i jakając rzekł.

— Cóż ja mam chodzić, szukać, ja o nią wiem!

— Jak to? wiesz, że ona tu jest?— krzyknął książę przystępując doń — pocziwy Smocze! wiesz?

— Ona tu dawno — począł Smok krótkimi słowy — ludzi jój widziałem. Wiem, dwór mają, pono i mąż jakiś n niej jest. Gadają, że ona z nim nie żyje, tylko go wzięła, aby dziewczką nie być. Scibor umarł.

Książę słuchał z zajęciem nadzwyczajnem, z radością prawie, kazał powtarzać, rzucał pytania, badał, a Smok to głową, to ustami dawał odpowiedzi. Gdy skończył książę, dobył garść gro-

szy i nasypał w dość obojętnie nastawioną dłoń slugi.

— Smocze — rzekł odchodząc — ty mi będziesz potrzebny.

Z inną twarzą, ale z niemniejszym niepokojem wrócił książę do izby, mówiąc w duchu.

— Wszyscy pono o niej wiedzieli prócz mnie i Wichfrieda!

Litość budziła się w sercu, stare wspomnienia wracały żywe. Chciał wiedzieć o niej więcej, wszystko, pomódz, ratować, pocieszyć, ale stał na świeczniku, jak mówił, krok jego każdy był śledzonym. Ludzie wszystko mogli na złe tłumaczyć? Goryczy panowania i niewoli jego nigdy nie uczuł mocniej. Potrzebował rozmysłu i ostrożności.

Nie dano mu nawet postanowić co czynić, gdy już Żyra i Jaksa ze sprawami większemi nadeszli.

Wichfried tymczasem myślał także, czyby mu zaspokoić księcia nie było bezpieczniej. Sam dowiadywać się ani mógł, ani chciał; ludzie których się radził kogoby użyć w pewnej sprawie poufniej, nastreczyli mu Stacha z Przegaju, powiadając (co nietajnym było), że biskupowi posługiwał w ważnych rzeczach i człek był przebiegły. Szukał go na zamku i doszedł zaraz, że przy skarbcu służbę opuścił. Rajce mu wskazał jego mieszkanie.

Z południa mienice już do wrót stukał. Stach, który znowu na Szląsk gdzieś z poleceniem od

Gedki wybierał się w drogę, i szedł właśnie do stajni konie opatrywać, zdziwił się odwiedzinom niemiłego mu Wichfrieda. Weszli do izby.

Nieniee długo się zbierał, nim nastękawszy na ciężką służbę, wydał się z czem przychodził.

— Książę nam starzeje — rzekl — na starość dziwaetwa po głowie chodzą. Zacheiwa mu się różności, człowiek nie wie, jak mu dogodzić.

Nie tajemnica to, dodał ciszej, że gdy w Sandomirzu był, miał tam miłośnicę, do której biegał i po kilka dni z nią przesiadywał w lesie. Na łowy jeździł, ale nie o zwierza mu chodziło! — Zaśmiał się.

Wiedziałem o tém dobrze, bo się przedemną z niczem nie tai. Dawne to sprawy. Gdy go do Krakowa wzięli, musiał się z dziewczyną rozstać. Córka była ziemianina, urodziwa i młoda. Niełatwo go puściła, bo go miłowała bardzo. Zdawało się, że książę o niej zapomniiał dawno; a no—nie!

Jeszcze mn ona pono w głowie. Przywidziało się teraz księcin, że ją w kościele zobaczył wynędzniałą i zbiedzoną, każe mi ję szukać po mieście!

Ruszył ramionami Wichfried.

— Pomoglibyście by mi do tego?

Stach, który z uwagą słuchał, wszystkiego co się księcia tyżyło, spytał.

— A jakże się ona zwała?

Pomyślawszy Wichfried schylił mu się do ucha i szepnął.

— Córka Scibora ze Sciborzyc!

Stach pobladł strasznie, zmieniło mu się lice. Zamilkł osłupiały. Potrzebował długiej chwili, aby przyjść do siebie. Spadła mu z oczów zasłona. Los chciał, aby ta, do której się przywiązał, należała właśnie do tego pana, dla którego przysiągł wieczną służbę i ofiarę.

Pomiędzy słowa rzecz nie umiał, Wichfried widząc go drżącym i bładym, patrzył zdumiony.

— Co wam? przebaknął. Wiecie co o niej?

Stach pospiesznie głową potrząsł, nie chcąc się zwierzać Wichfriedowi. Niemiec ciągnął dalej poufnie.

— Choćby Sciborzanka tu gdzie się znalazła, oddalić ją potrzeba, nowa tylko bieda z tego urośnie. Biskup i tak już za jedną Kaźmierza przesładuje, gorzej będzie z dwiema. Dorota z Tęczyna lepij mu przystała, bo niewiasta rozumna i ostrożna, ta zawsze szaloną była.

Mówił tak długo, a Stach przychodząc do siebie, słuchał nie odzywając się, naostatek oświadczył, że dowiadywać się będzie. Wstał Wichfried.

— A gdy się o niej dowiecie, radźcie na to — dokończył — aby sobie ztąd szła, bo z Dorotą dla niej wojna niebezpieczna!

Zaleciwszy, aby mu znać dał do zamku co

wyśledzi, niemiec wyszedł, klapnąwszy Stacha po ramieniu i obiecując mu opiekę swą.

— Sprawcie się dobrze! nie mówcie o tém nikomu, przynieście mi wieść co rychlej.

Po wyjściu niemca, Stach stał jeszcze z oczyma w ziemię wlepionemi, w rozpacz i obawie, rozmyślając co uczynić, gdy Jagna wpadła z oczyma zaiskrzonymi.

— Czego on tu chciał, ten poseł szatana? — zawołała stojąc w progu — ten niecny stręczyciel? niemiec ten przeklęty. Noga jego niepowinna nigdy przestąpić drzwi tego domu. On tu? on z wami? Czy i ty już jesteś przyjacielem wiedzy! Ty?

Stach patrzył na nią z politowaniem i grozą, słowa mu paliły usta, a mówić nie śmiał.

Przedłużone to milczenie, do którego nie nawykła u Stacha, zmieniona twarz, gniewne oczy dały Jagnie do myślenia. Zaczęła ostygąć, przystąpiła doń szarpiąc go za rękaw.

— Mówże! — zawołała.

— Tyś się taila przedemną! — wybuchnął Stach. — Wiem teraz wszystko! Wichfried mi przyszedł powiedzieć, że Jagna Sciborzanka była miłośnicą Kaźmierza!

Jagna słuchając zbladła, ale wnet krew ją oblała.

— A tak! — odpowiedziała — Jagna się tego ani zapiera, ani wstyda. A tak! była mu nie mi-

łośnicą, ale żoną, gdy jeszcze innćj nie miał. Ta druga, choć ksiądz błogosławił, nie będzie mną, co pierwsza! Gdyby go nie zmusili, nie porzuciłby jćj, byłaby dziś z nim na zamku panią! Gdyby nie czary niepoeziwe nie wydartoby jćj Kaźmierza — wiedźma ohydna! Tak — ja mu byłam wszystkim, nie zapomni nigdy o mnie.

Nie okłamałam was, że w sercu trupa noszę, bo on dziś trupem dla mnie. Dlatego, że on mi miłym choć zmarły, nie chciałam ci być żoną, tylko siostrą i służebnicą.

Tak! wiesz wszystko! rób co chcesz!

Stach stał skamieniały, twarz mówiła jak cierpiał, męczył się nie mogąc odpowiedzieć, nie wiedząc co powie. Jagnę litość zdjęła może, zmierzwiwszy go oczyma, łagodniejszym poczęła głosem.

— Gniewu na mnie nie możesz mieć! Wstydnę ci nie zrobiła! Fałszem nie powiadała, nie obiecywałam nic.

— Ale ja żyjąc z tobą, jak pies się przywiązał do ciebie! — zawołał Stach — a to, nie?

Zarnmicniła się Jagna, lży jćj stały w oczach, strzepnęła rękami.

— Jam temu nie winna! — rzekła ciszej.

Stach rzucił się na ławę, myślał mówić jćj wszystko, czy tać? oznajmić, że książę pytał o nią i szukał, czy nie?

Zdało mu się lepszym nie kłamać.

— Niedarmo niemce się tu przywłókł — odezwał

się ponuro — Po co ci tu siedzieć było? po co do kościoła na zamek chodzić? Chciałaś żeby cię książę zobaczył? Teraz po mieście trzęsą i szukają ciebie! Ot z czem Wichfried tu przyszedł, a mnie wybrał na zwiady!

Rozśmiał się gorzko. W tém Jagna która pochyłona słuchała chciwie chwytając słowa, rzuciła się z twarzą od radości oprómnioną nagle zmienioną, odmłodzoną, oszalała. Biła w ręce wołając.

— On mnie widział! On! Posyła za mną! Poznał! On! A! nie może to być! Powtórz że on śle mnie szukać! On! mój pan, mój król, sokół mój jedyny, złoty! On! Więc ta czarownica nie całe mu serce wyjadła? O! dobry pan!

I przerwała zwracając się do Stacha.

— A tyś mi nie powiadał nic! ty!!

Stach mruknął.

— Choćby i dlatego nie spieszyłem, bom nie wiedział czy go nienawidzisz czy kochasz

— Ja! — wołała Jagna w uniesieniu — nie przestałam go kochać nigdy. Odepchnął mnie bo musiał, na to panem jest! O! tamta by mi go nie odebrała gdyby mu ziela pić nie dali. Nie będzie kochał ino mnie, tak jak ja tylko jego! Oczyma czar rozbiję!

Stach patrząc na nią dziwił się cudowi. Nie-wiasta przed chwilą zwiędła, blada, zbolala, zmie-

niła się w mgnieniu oka. Słowo jedno oddało jej młodość, siłę, życie — stała się prawie taką jaką była gdy do Gaju pędziła aby ukochanego zobaczyć. Śmiała się, płakała, biła w dlonie, kręciła się po izbie, szalala. Uczucie wezbrane pędziło do ust słowa, których powstrzymać nie mogła.

— A! ja mu wszystko zapomnę, byle on mi powrócił! Dowiaduj się, śle po mnie — idź! mów, jam tutaj — chcę mu do nóg paść!

Wzdrygnął się Stach i rzucił.

— Wstydu nie masz! — zawołał gniewny.

— Niemam! — odpowiedziała — bo kocham!

Upamiętać ją nie było podobna. Stachowi się serce ściskało jakby pęknąć miało. Wstał z ławy i chciał odejść; przerywanym głosem rzekł tylko.

— Czyń co chcesz. — Idę precz. — Poprzyśnięciem służyć panu, ale z Wichfriedem jedną drogą nie pójdę — nie. — Nie moja to sprawa!

Chwiejnym krokiem szedł do drzwi, gdy Jagna go za ramię chwyciła.

— Takci to się do mnie jak pies przywiązał? — poczęła śmiejąc się — A no! jak pies, prawda, nie jak człek, bo zapłaty za to chcesz..

— Od ciebie? ja niechcę nie!! nie! — krzyknął Stach — tylko wolnym być!

— Mnie tej wiedzynie i niemcowi dając na pastwę — odparła Jagna — aby głupią i bez-

bronną życia zbawili! A no, tak! tego chcesz! Zabija mnie — tyś chciał!

Odwrocił się Stach z brwią namarszczoną — Ja ci stręczycielem i przejemcą do księcia nie będę — zawołał — Chceszli ztąd precz iść, uciec od złego, i ójdem za tobą, bronić będę, a drugiej Doroty czynić ze Ściborzanki nie dam!

Na to imię, Jagna z zaciśniętymi pięściami przypadła do niego.

— Milez ty! zbóju! — krzyknęła — Ty mnie śmiesz równać z tą wszeteczną! mnie! com nigdy nie znała nikogo nad tego który mi mężem był, co mi przed Bogiem przysięgał! Mnie — z Dorotą!!

Stach znowu do drzwi szedł, gdy go schwyliła oburącz i zmusiła stanąć.

— Co chcesz abym czyniła?

— Iść ztąd trzeba precz.

— Nie pójdę! nie mogę! — rzekła Jagna.

— Więc ja idę — bo na to patrzeć nie chcę, osłaniać nie będę.

— Kogo osłaniać? — zawołała Jagna — osłony mi nie trzeba, kryć się nie będę. Jestem pierwszą i prawo mam do niego! Ani ta co się księżną nazywa, większego niema nademnie!

Gdy to mówiła, Stach jedną nogą był już za progiem, — gonila za nim.

— Stójże — wołała — ja cię trzymać nie będę, pójdzisz gdy zechcesz.. ale ująć ci nie dam

teraz z pogardą dla mnie, po tych słowach którymś mi w twarz cisnął.

Blagającym jej, namiętnym głosem ujęty Stach zatrzymał się raz jeszcze. Dziewczę poznało że osłabł i złamanym był i pociągnęło go napowrót do izby.

— Stachu! — wołała — ty mnie nie możesz, już nie powinien mnie porzucać. Nie zdradziłam cię, bądź mi jak byłeś bratem.

— Gdybym ci na prawdę bratem był — rzekł Stach — nieczyją miłośnicą nie dalbym ci być, abym się nie sromił za ciebie.

— Srom! srom! — zakłamując ręce poczęła Jagna — ja nie wiedziałam o sromie gdy go pokochałam. Dziećmi poczęliśmy się miłować, byłam mu i jestem żoną taką jak ta co mi go odebrała. Zmusili go do niej, nieszczęśliwym jego i mnie zrobili. A ta wiedźma zieleń napoiła i struła!

Głos jej brakło, wiedziała że Stach patrzy groźnie — błysły jej oczy, przyskoczyła do niego.

— Słuchaj! ty — kłamcą byłeś — ty nie ja! Tyś nie Zabor z Przegaju, ty jesteś Stach z Konar. Ja cię wydałam abyś szedł precz ze sromem.. Srom na tobie nie na mnie!

Rzuciła mu to w twarz nawzajem, pobił ale trwogi nie pokazał.

— Odegnaj cię! — powtórzyła.

— To pójdę — rzekł chmurno.

— Nie zleknieś się?

Potrząś głową — Tak i powinno być — do-
dal — za to żem cię miłował, zapłacisz mi! Na
taką płacę od niewiasty człek zawsze musi być
gotów!

Jagna ręce zalamala.

— Każ mi czynić co chcesz — poczęła — po-
słucham, tylko mi nie mów abym się go wyrze-
kla, gdy chce powrócić do mnie, bo umrę! Każ
mi lepiej zaraz umierać! Zabij sam nie powiem nie

Stach znękany upadł na ławę. Jagna twarz
zakryła rękami, potem pobiegła do wody, wy-
chyliła kubek cheiwie i wróciła wpatrując się
w niego, rozgorączkowana i drżąca!

— Wyrwać go trzeba tój wiedźmie! — po-
częła szeptać — to ja tylko mogę! ja zrobię!

Nie słuchał prawie Stach, pogrążony w sobie,
zachwiany, przeklinając życie. Tak chwilę długą
przesiedział walcząc i jęcząc, niewidząc stojącej
ciągle przed sobą.

— Dotrwam mu wiernym! — rzekł w końcu
do siebie — choćbym i sromu się napił. Taka
dola moja! Srom mu dam na ofiarę za życie!

Ręką spotniałą otarł czoło.

— Coż ty chcesz abym czynił — odezwał się
słabym głosem.

Jagna padła przed nim na kolana.

— O! ty dobry człowiecze — krzyknęła —

jabym ci nogi całowała! Ty nie porzucisz biednej!
nilitujesz się — mów?

— Nie porzucę — rzekł Stach.

— Idź do niego, oznajm mu o mnie...

— Ja nie mogę — odczuwał się cicho — Po
znałby mnie mógł. Mnie dla niego na świecie
niema. Ja jestem — policzek! Pókim ja żyw on
skrzywdzony.

Słów mu zabrakło.

— Tak! — odparła Jagna — ty jesteś poli-
czek — ty iść nie możesz.. Hreczyn mój pójdzie
do niego, wrzekomo z żalobą, z poselstwem ode-
mnie. Wichfriedowi o mnie ani słowa! Rozu-
miesz! Niemiec wróg mój bo z wiedźnią trzyma.

— Czyń co chcesz — rzekł Stach — mnie
i tak inne sprawy wołają, muszę precz.

— Ale powrócisz — przerwała Jagna chwy-
tając go za rękę — Oni mnie gnać ztąd i palić
zechcą i zabijać może, trzeba byś przy mnie był.
Wiedźnia ustąpić musi albo ja umrzeć.

Nie sprzeciwiając się więcej, Stach mileżał.

Tegoż dnia zawołała do siebie Hreczyną, który
dla niej na wszelką usługę był gotów.

— Pójdiesz na zamek — rzekła mu — po
co chcesz, z czem ci się zda, z żalobą do pana,
po jalmużnę. Będziesz tam stać i czekać dopóki
mu nie rzucisz w ucho że Sciborzanka tu jest,
w tym dworze — i czeka na niego.

Stary Hreczyn, oczyma tylko błagał ją aby tego nie czyniła nie dala mu się odezwąć.

— Chcę tego, pójdziesz i powiesz mu — rozumiesz!

Sługa westchnął i poklonił się pokornie, ale łzę miał w oku.

— Nikt prócz księcia słyszeć tego niema — dodała — idź zaraz, a niewracaj z niczem.

Hreczyn namyślał się długo, poszedł potem do komory swój, odział się ubogo, próbował jednej i drugiej sukni, z kolei kilka podeptał nogami niecierpliwie, wreszcie licho przybrany, z kijem w ręku ku wrotom pociągnął. Jagua niecierpliwie się i zżymając czatowała w oknie na wychodzącego. Gdy go ujrzała, worek który miała nagotowany w ręku, wysunęła ku niemu.

— Weź, byś miał czem kupić odzwiernych.

Hreczyn powłókł się ku zamkowi. Dostać się do księcia nie było naówczas trudno nawet najbiedniejszemu człowiekowi. Za czasów surowego Mieszka puszczano wszystkich z żałobami wedle starodawnego zwyczaju, u Kaźmierza drzwi każdego czasu dla biednych stały otworem. Nie odsyłano do urzędników, chyba gdyby pana nie było. Gdy na zamku się znajdował, sam sądził i słuchał. Lecz przy tych posłuchaniach stali zawsze u boku księcia urzędnicy, dwór i komornicy. Rzadko bywał sam bez świadków. Masiał Hre-

czyn szukać takiej zręczności, aby go jednego spotkał.

Dla ludzi co na posłuchanie w zamku oczekiwali, miejsce było w przedsieniach, lub w podwórzu i pod walami. Hreczyn siadł zdala aby mógł się rozpatrzeć i wyczekać. W torbie miał chleba kawałek, bo kto wie jak długo siedzieć trzeba było. Cały dzień zszedł do wieczora bez skutku. Gdy wrota zamykać miano, nie wracając do dworku przypadł gdzieś u płota w kuczki i tak noc przedrżemał.

O świcie, gdy otwarto bramę, wsunął się pierwszy, a że właśnie kościół odmykano, stanął przy drzwiach jego. Wiedział że książę codziennie tu na ranną mszę przychodzi, myślał że może samego trafi w kościelnym progu. Nie zawiodła go nadzieja; Kaźmierz szedł przodem a za nim zdala dwór. Hreczyn się jak żebrak pokłonił, i gdy książę z kalety dobywał jałmużnę, którą każdego obdarzał — odezwał się żywo.

— Miłościwy książę — nie po jałmużnę przychodzę, a z poselstwem od Ściborzanki. Pozdrowia was i do nóg waszych pada. Jest tu.

Hreczyn oczyma mierząc zbliżających się, pośpieszał z resztą.

— Czekaj na was, ale nie godzi się aby o tym drudzy prócz was wiedzieli, dla sromu biednej niewiasty.

— Męża ona ma? — spytał książę.

— Nigdy żadnego nie miała — odparł stary sługa.

Nadchodzili już dworzanie.

Książę rzucił mu pieniądz i słowo — Będę u niej.

Służba chciała starego odepchnąć, gdy Kaźmierz rzekł.

— Dajcie mu pokój, z żalobą do mnie szedł — niech odejdzie z Bogiem.

Ustał Hreczyn, lecz choć mu się tak powiodło szczęśliwie, jak struty do dworku powrócił. W sumieniu mu było ciężko, obawiał się o panią, niósł wieść która jak kamień ważyła. Gdy wrota zaskrzypiały, Jagna okiennicę odsunawszy, głowę nachyliła z pytaniem.

— Hreczyn? z niczém?

Czekała pół żywa na odpowiedź, pierś cisnąc ręką.

— Z niczém? — powtórzyła.

— Sprawilem coście kazali — rzekł sługa.

Krzyknęła z radości.

Stało się wnet czego niewiasty służebne zrozumieć nie mogły. Od czasu przybycia do Krakowa, Jagna nie myślała o stroju, chodziła w sukni jednej, odziana ubogo, niewiedząc co na siebie brała. Nagle dobywać kazala ze skrzyń suknie, chusty, gźła szyte, wszystko co miała najdroższego.

Siadła każąc czesać i splatać włosy, które po-

plątane wiązała ladajaką taśmą. Wszystko jej teraz było brzydkie i ubogie, stroiła się, zrzucała, przybierała niecierpliwie, a na szczerst najmniejszy zbiegając do okna.

Przez cały dzień kładła co tylko miała, dziewczęta pytając jak jej w tém było — to śmiejąc się, to chmurząc. Wdziała naostatek suknię czarną, gźło białe, kolce i pierścienie, włosy zapłotłszy jak niegdyś nosiła, siedziała w oknie i czekała..

Czekała dzień i wieczór cały i noc już była a nie przybył nikt. Płakać zaczęła — a gdy sen morzył, legła jak stała na łożu, budząc się co chwila i do ciennych okien zbiegając.

Nazajutrz tak samo, stroiła się rano, do okna szła i nie ruszała się od niego. Dziewczęta zdawa patrząc strachały się jak obłąkanicy. Dzień zchodził powoli, jeść niechciała, piła wodę tylko i przysłuchiwała się szmerom ulicy, nie dając się odciągnąć od okna.. Nie było nikogo.

Kaźmierz powrócił z kościoła innym jak poszedł, Wichfried dostrzegł to pierwszy iż weselszy był ale niecierpliwy i roztargniony. Chciał zaraz korzystać z tego aby pociągnąć do wdowy. Książę się nań oburzył.

— Idź że ty mi z nią. Znać was nie chcę! — zawołał groźnie.

Zmieszany Wichfried zamilkł, ale tém bardziej czuwał nad nim i pilnował. Książę go z różnemi

połeceniami odsyłał. Dawna ponętałość zmieniała się w chłodną jakąś i sztywną, niemiec próbował wesołym być, Kaźmierz mu się marszczył.

Tak dzień jeden i drugi upłynął, a Wichfried coraz był niespokojniejszym. Uparty niemiec stał na czatach do późnej nocy, dopóki mu komornicy nie powiedzieli iż książę do snu się położył i nikogo wpuszczać nie kazał.

Nie udało mu się i ze Stachem, do którego biegał sam, nie mogąc zastać, a wręście odprawił go kwaśno Zabor z Przegaju, tём że się do podobnych spraw nie nadał, i o Ściborzance nie wie nic, a na Szlązk jechać musi, radząc mu by sobie kogo innego szukał.

Nazajtrz ponowilo się to co wczoraj; Wichfried pilniejszym był na służbie niż kiedy, nie dowierzał księżcin i obawiał się o siebie. Kilka razy zagadnął o Dorotę, Kaźmierz się odwrócił i zbył kwaśném milczeniem.

Odprawiany dla ważniejszych spraw, niemiec nie odchodził daleko, siadał w pierwszćj izbie i w kości z komornikami grał, ku drzwiom spoglądając. Wieczorem Kaźmierz szedł do księżnćj i dzieci, zostawając go samego, aż póki komornicy drzwi zamykać nie zaczęli. Naówczas Wichfried uchodził do wdowy zdawać sprawę z tego co się działo, biedowali oboje.

Jednego wieczora, gdy Kaźmierz do snu się miał kłaść, posłał pacholę po Smoka. Odział się

opończę ciemną, tylnemi drzwiami z nim po walcach do wrót doszedłszy, furtę otworzyć kazał, i z zamku się wyniósł. Noc była ciemna, nie poznał nikt, a gdy w kilka godzin później nazad powracał, nie spotkał nikogo; komornicy co u drzwi sypiali, skrzypnięcia drzwi nawet nie słyszeli.

Smok tylko ze zwieszoną głową, chmurny, gdy na swój barłóg powrócił nocą, prześladowali starego towarzysze, iż się nie rękło o siwych włosach wybrał na noce wycieczki.

X.

Nazajtrrz wieczorem u stołu książęcego zasiadała znówu ta gromadka ludzi poważnych, z którą Kaźmierz czas lubił spędzać słuchając ich i ucząc się a zagrzewając do myśli wielkich. Ci sami tu byli, których widzieliśmy w jego towarzystwie. Opat Lueynsz, Scholastyk Lambert, Benedyktyn jeden z Tyńca, mistrz Wincenty i dziekan krakowski Pełka, domniemany już naówczas następca biskupa Gedki, prawa ręka jego.

Jak zwykle, gdy się tu duchownych kilku zebrało, którzy rozmowę ożywić umieli coraz nowemi opowiadaniem, jeszcze mis nie zdjęto, a już żywo rozprawiano nie o tém, co nadto teraźniejszość przypominało, lecz co od niej oderwać mogło.

Mistrz Wincenty ze wszystkich najmłodszy, pamięcią, wymową, żywością umysłu przodował.

Słuchali go zdumiewając się niewyczerpanej erudycji i łatwości strojnego słowa. Cystersi, do których zakonu skłonność i przywiązanie wielkie okazywał, zazdrościli go księciu i kapitule, przykładując uczonemu i świętobliwemu młodzieńcowi.

Nawet gdy najposepuniejszej był myśli, a na sercu ciężar miał największy, Kazimierz wśród tych przyjaciół swych odzyskiwał swobodę ducha i wesołość, zaponinał o powszednich troskach, zatapiał się w rozmyślaniach nad wielkimi zagadnieniami natury i przeznaczeń człowieka, do których legendy treścią swoją pobudzały.

Były to czasy cudów i cudownych ludzi, pobożności gorącej, umiesień ku niebu, ascetyzmu i zapалу religijnego. Były to czasy, gdy suknię św. Bernarda powołującego na wojnę krzyżową rozdzierano na drobne szczątki, gdy na krzyże niestało tkaniny, aby niemi obdzielić tysiące; czasy, gdy święci ludzie widzieli nad sobą rozwierające się niebiosy, gdy pustelnicy karnili się łzami i modlitwą, w postach trwając całe miesiące; czasy, gdy na wagę złota i dyamentów kupowano relikwie świętych, a klasztorom pobożnym nadawano całe księstwa, aby bez troski o chleb głośiły chwałę Bożą.

Na zachodzie rodziły się rycerskie poemata, na wschodzie odegrywały się one pod murami zagrożonej Jerozolimy, na północy legendy, jak

wędrowne ptaki przylatywały zwiastując wiosnę wiary.

U stołu książąt, u ogniska możnych panów, gdy wieczorem zasiedli ludzie, a mnich pośród nich, świętym powieściom nie było końca, w których często i ze wschodu przyniesiona baśń, przeciwstoczona i przeobleczone szatą nową występowała.

Tego wieczora właśnie mistrz Wincenty drugie już opowiadanie miał rozpocząć, na które z niecierpliwością oczekiwano. Mowa była o niewdzięczności ludzkiej, o której szeroko i długo rozwodzili się goście książęcy z powodu pogłosek, jakie chodziły o synach Władysławowych, obdarzonych i osadzonych na szlążkach dzielnicach, że się zdradziecko z Mieszkiem i innemi nieprzyjaciół Kaźmierza wiązali.

Książę wiary temu dawać nie chciał, ale zła wola ich jawnie się już okazywała.

Mistrz Wincenty, gdy inni na niewdzięczność powstawali, wedle zwyczaju swojego, zapowiedział, iż o tém ma piękną do przytoczenia historycę dawną, a gdy się książę jej dopraszał, tak począł.¹⁾

„Król pewien nad państwem swem namiestnika postanowił, którego serce przez wywyższenie w taką się dumę i złość wbiło, iż wszystkich ludzi zmuszał, aby myśli jego i rozkazy spełniali.

¹⁾ Gesta Romanorum.

Nieopodal od pałacu pańskiego był las pełen zwierza dzikiego, nakazano w nim doły kopać, gałęzmi i liśniami je pokrywając. aby zwierzęta w nie wpadały. I stało się raz, że namiestnik ów przez las jadąc, rozmyślał w sobie, jak potężnym był, że nadeń w całym państwie nikogo silniejszego nie było. Tak dumając a jadąc dalej, na doł najechawszy, padł weń z koniem i wyniść z niego nie mógł. Tegoż dnia do tego samego dołu wpadł był już wprzód lew, później małpa, naostatek waż. Namiestnik widząc się otoczony dzikimi zwierzęty, uląkł się bardzo, o pomoc na głos wołając.

Krzyk ten usłyszawszy, chudзина pewien imieniem Gwidon, który na osiołku zwykł był drwa z lasu wozić, nadbiegł do dołu.

Począł mu namiestnik obiecywać bogactwa wielkie, jeśliby go ratował i wydobyć się pomógł.

Na co rzekł Gwidon — najmiłościwszy panie, nie mam z czegoby mi żył, susz tylko zbierając się żywie, gdy dzień stracę, szkodę poniosę wielką. Na co odpowiadając namiestnik, nagrodę mu przyrzekł wielką, byle go z owej jamy wydostał. Gwidon usłyszawszy to, szedł zaraz do miasta, sznur przyniósł długi i spuścił go do dołu, aby namiestnik się doń uczepił, a on wyciągnąć miał. Aliści, gdy sznur się spuścił, skoczył lew naprzód i wyciągniony został, a zaryczawszy, pobiegł w las; gdy wtóry raz sznur spadł, skoczyła doń małpa

i dobyła się z jamy w las uciekając, za trzecim razem węża Gwidon wyciągnął, który świsnąwszy uszedł na puszcę. Naówczas namiestnik wołać począł. — Miły mój, niech będzie błogosławiony Bóg za to, żeś od dzikiego zwierza jest wolny; spuśćże teraz sznur ku mnie. Tak się i stało, podpasał się nim, a Gwidon go do góry wyciągnął. Dobyli potem konia, na którego siadłszy namiestnik do pałacu wrócił, a drwał poszedł do domu.

Żona zobaczywszy, iż z próżnemi rękami przybywa, zasmuciła się, ale on jej przygodę swą opowiedział i przyrzeczenie otrzymania nagrody, które ich pocieszyło. Rano tedy szedł Gwidon do pałacu, i odźwiernego posłał do namiestnika z oznajmieniem, iż na łaskę jego czekał. Ten zaś raz i wtóry zaparł się, iż w żywe oczy człeka nie widział, a gdy precz odchodzić nie chciał, różgami go się osiłe odgrażał. Za trzecim razem gdy przybył jeszcze, odźwierny go osmagał tak okrutnie, iż ledwie żyw został. Dowiedziawszy się o tem żona Gwidona przybyła z osiołkiem i zawiozła go do domu, kędy chorzał długo i czasu choroby wszystko co mieli na przeżywienie stracili.

Gdy nareście ozdrowiał, powrócił znowu do lasu susz zbierać. Tu mu zaszyły drogę dziesięć osłów objuczonych, za którymi lew postępował, wprost idąc z nim do Gwidona. Poznał go odrazu, iż ten sam był, którego on z jamy wydo-

był. Lew zbliżywszy się, nogą mu znak dał, aby osły do domu zabrał — co się też stało. Szedł za nim lew i odprowadziwszy go do wrót domu, zaryczał biegnąc nazad do lasu.

Ogłosić kazał Gwidon po kościołach, czy komu osły nie zginęły, a gdy się nikt nie zgłaszał, juki otwarto, a dostatki w nich znaleziono, które posiadłszy, stał się możliwym.

Gdy znowu do lasu szedł, a żelaza z sobą nie wziął do rąbania drzewa, spojrzawszy do góry małpę postrzegł, którą z jamy wyciągnął. Ta rękami i pazurami gałęzi nałamała tak wiele, iż stało na obładowanie osła i Gwido powrócił do domu ze zdobyczą.

Trzeci raz przybywszy do lasu, gdy siedział siekierę przysposabiając, ujrzał węża którego z dołu dobył, niosącego w pysku kamień trzema barwami zafarbowany, z jednej strony był biały, z drugiej czarny, z trzeciej czerwony. Wąż pysk otwarłszy i kamień mu na kolana upuściwszy, zniknął. Gwido z kamieniem poszedł do miasta do takiego, co nim knęczył. Ten obejrawszy i własności jego uznawszy, dawał mu zań chętnie sto złotych. Ale kamień sprzedany, nazad do niego powrócił. Tak nabywszy majątku z pomocą kamienia tego endownego, zaciągnął się drwał jako rycerz w służbę pańską. Król o nim słysząc, zawołać go kazał do siebie żądając, aby mu kamień ten sprzedał, albo go precz z państwa wysłał. Gwidon rzekł.

— Miłościwy panie, kamień ten sprzedam wam, ale jeśli mi nie dacie co wart jest, powiadam, że on do mnie powróci. Dał mu król złotych trzy-sta, ale kamień potem znalazł się u Gwidona, który go panny odniósł. Dziwując się król rzekł.— Powiedz mi, jakoś ty do tego kamienia przyszedł? Naówczas od początku całą historję opowiedział drwal, jako przez namiestnika był osieczony, a co od lwa, mialpy i węża otrzymał. I poruszyły się wnętrzości pańskie przeciw namiestnikowi, którego wnet przywołać kazał.— Co słyszę o tobie? — zawołał. — Nie mógł przeczyć obwiniony. — Król rzekł -- o niegodziwy i niewdzięczny, za to coś mu uczynił, winien być wisieć i co masz, powinno być ukrzywdzonemu oddane... Panowie rady sąd ten potwierdzili, i Gwido państwem rządził.

Gdy mistrz Wincenty opowiadanie swe dokończył, ozwał się ktoś, że Kietliczowi by los owego namiestnika należał, na co scholastyk Lambert odpowiedział, iż państwo spisków złych ludzi obawiać się nie ma potrzeby, gdyż królestwo sprawiedliwych pan Bóg ma w opiece.

Książę usłyszawszy to, dodał, że i on w tej opiece zawsze największą ufność pokładał, ale bolał nad tém, iż wszystkie państwa i królestwa miały swych opiekunów, rzeczników i orędowników w niebiesiech, a jedno tylko to państwo jego własnego patrona nie miało, gdyż św. Wacław

czeskim był, a Wojciech święty nie rodził się też na tej ziemi, choć na niej był uczczony.

Wtrącono zaraz co z pomocą św. Dyonizjusza we Francyi się działo, potem o błogosławionym Tomaszu Kautuaryjskim, aż dziekan Pelka rzekl.

— I my byśmy też swojego biskupa, który męczeńską śmierć poniósł, za łaską stolicy rzymskiej mogli mieć na ołtarz podniesionym, jako zasłużył, bo i u jego grobu enda się dzieją

Na co mistrz Wincenty, który równie jak Pelka znał Rzym, iż przystęp tam był trudny i robota ciężka dla zmieniających się papieżów, odparł.

— Wszyscy święci do całego chrześcijańskiego świata należą, Rzym onych szczątków i ciał świętych z czasów prześladowania wiary pełen jest. Łatwiejby więc było u papieża zwłoki jednego ze świętych wyprosić, któryby się stał opiekunem królestwa tego, niż wyjednać ubłogosławienie. Kaźmierz wnet jawnie się checiwie tój myśli, począł wołać, iż szczęśliwymby się czuł, gdyby za jego panowania Kraków uzyskał patrona, o którego do Rzymu, prosząc, koniecznie wysłać chce posłów.

— A jako rycerski nasz kraj jest — dodał Pelka — tak nam też Bóg łaskaw i biskup rzymski da rycerza pewnie, któryby na straży stał i broił nas.

Wszechła się tedy mowa o Rzymie, który dzie-

kan Pełka opisywać zaczął, jak jest w świętości bogaty, iż tam każda niemal garść ziemi męczeńską krwią i błogosławionych stopami jest uświęcona. Książę rozgorzał niezmiernie myślą tą, jakoby dla siebie i królestwa opiekuna zyskał, i o niczem już więcej nie mówiono tylko o tem. Opowiadano o cudach, jakie kości świętych ściągaly, o wielkiej dzielności pośredników, o relikwiach po wszystkich krajach rozproszonych, w które jedna tylko Polska najuboższą była, cały bowiem skarb jej składał się z tego co Bolesław wykupił od Prusaków, Petrek do Wrocławia wyprosił, a królowa Salome dla dzieci swych zostawiła. Rozprawiano jeszcze różne piękne legendy przywołując o opiece świętych i duchów błogosławionych, gdy pomimo pory spóźnionej, balas się dał słyszeć u wnijsia.

A że w tej porze nikt niezwykły był przybywać, rzucili się komornicy pańscy obaczyć co się stało, gdy w progu biskup Gedko się ukazał.

Już pora, o której się tu zjawił i to, że sami nie wahał się na zamek jechać, zwiastowały, iż z próżnemi nie przyszedł rękami. Oblicze też stareca obleczone smutkiem, mówiło o niedobrym poselstwie, wszyscy ruszyli się z miejsc zatrwożeni, a książę, który się był ożywił rozmową, niespokojny naprzeciw pasterza pospieszył.

— Synu mój — odezwał się Gedko poważnie— nie chciałem abyście z ust obcych dowiedzieli się

o tém, co wam przynoszę; zarazem smutek, radę i pociechę niosąc.

Zamilkł trochę.— Oto przed godziną może — dodał — poseł do mnie przybył z Gniezna od ks. Zbysława. Mieszek opanował to miasto, a drobni ziemianie i rycerstwo Poznań mu też oddało!

Biskup mówiąc to, ręce załamał; książę stał prawie niezmienny, spokojny, głowę tylko lekko skłoniwszy.

— Cóż się z Ottonem stało?— spytał po chwili.

— Mówią, że się przed ojcem ukorzył i z nim przejednał — przebaczenie otrzymawszy.

— Bogu tedy niech będą dzięki! — przerwał Kaźmierz — Bogu dzięki!

W tém Jaksza wystąpił z za stoła.

— Miłościwy panie — począł głośno, poruszony mocno — tego ścierpieć nie można, musimy iść na Gniezno! Do ciebie ono należało, więc nietylko przeciw synowi, ale przeciw tobie się porwał! Jeżeli mu to ujdzie bezkarnie, możemy się go i w Krakowie spodziewać!

Zawtórowali temu Goworek i Mikołaj Lis brat dziekana.

— Trzeba nam iść nań! — zawołali — i to nie mieszkając, aby nie miał czasu ludzi gromadzić i na inne się rzucić dzielnice. Po Mieszkni wszystkiego się spodziewać można. Dowodna rzecz iż ze Szlązakami jest w porozumieniu, a siłę zdobywszy, nie zaśpi.

Potwierdzali to wszyscy. Gedko się nie sprzeciwiał. Książę słuchał milczący. Ten i ów wyrzawali się z gorącemi mowami przeciw Mieszkowi i Kietliczowi. Chcieli niektórzy arcybiskupa Zbysława wzywać, aby kłatwą przywłaszczyciela odegnał. Oburzenie było powszechne, gniewni panowie słów nie mierzyli, wszczęło się wołanie i narzekanie straszne, jakby wnet na wojnę się zabrać miało.

Patrzyli wszyscy na księcia, który stojąc naprzeciw biskupa słuchał, czekał i ust nie otwierał. Biskupowi z myśli swój nie potrzebował się spowiadać, gdyż wprzód mu ją już był objawił, lecz gdy Jaksa o cześć i potęgę pańską dbały, nalegał, aby wojsko zbierać i wysyłać, Kaźmierz go ręką i wejrzeniem zatrzymał.

— Jakso miły — odezwał się — spytajcież mnie co ja trzymam o tém. Za miłość twą dla mnie dziękuję ci, lecz jakem to zawczasu mówił, przeciw ojcu i bratu nie pójdę. Wicie wszyscy, iż ojca wołać było, aby Mieszek Poznań trzymał, wraca więc do tego, co mu było przeznaczone. Na ojca bym się więc porywał a razem na brata, gdybym mu odbierał co doń należy. Niech używa w pokoju!

Zdumienie wielkie ogarnęło wszystkich, spoglądali na się z niedowierzaniem; nikt jednak przeciw tak stanowczo wypowiedzianej woli pana występować nie śmiał.

Najodważniejszy Jaksa rzekł cicho.

— Wola twa, miłościwy panie! sprawiedliwym chcesz być z niesprawiedliwymi, daj Boże, byś za to był wynagrodzonym.

— W sumieniu mém już jestem — odparł książę.

— W tém, w czém się miłość wasza rozgrzeszyć nie chce, oni się łatwo rozgrzeszą — dodał Jaksa. — Niebym nie mówił, gdyby się na tém skończyło, ale dusza moja czuje, że to dopiero początek.

Synowie Władysława i Mieszek roszezą prawa do Krakowa, choć papież rzymski nowy porządek następstwa, na prośbę ojców duebownych i naszą zatwierdził prawem swem zwierzchniem. Nie chcesz panie z braćmi wojować, będziesz musiał bronić się zdrajcom.

Mikołaj Lis powtórzył toż samo. Książę stał niewzruszony i spokojny.

— Mili moi — zawolał — ziemianie i doradcy! Żądajcie po mnie czego chcecie, uczynię wszystko z ofiarą władzy i mienia, ale nie chcecie odenmie, abym przeciwko sumieniowi i sprawiedliwości szedł — bo tego nie uczynię — nie.

Gedko głowę spuścił i westchnął.

— Gotujmyż się przynajmniej ku obronie a rybło! — zawolał Jaksa. — Jako mnie żywym widzicie, co przepowiadam, to się stanie. Nie mó-

wilbym tego, gdybym ludzi nie znał, a myśli ich nie wiedział. Gotujmy się, póki czas!

Nie tają się oni z tém, że swą dzielnicę chcą odzyskać, bo za swą ją uważają. Bolko mówi, że ona mu należy, Mieszek, że była jego i doń powróci.

Słabego Leszka oblegają, na Mazury i Kujawy wytrzeszczając oczy chciwe. Nie mówię sam za się, ale za wszystkich ziemian i ojcyców, którzy pod jarzmo ich iść nie chcą.

Ty panie o sobie myśl, my też musimy!

— Do obrony bądźmy gotowi — rzekł Kaźmierz — nie jestem przeciw! Do napaści nie poprowadzicie mnie. Łatwy jestem na wszystko, co się duszy mój nie tyczy, ale poczciwości mój dla panowania nie dam — i — raczej je rzucę...

Z siłą wielką wymówiwszy te wyrazy, książę zwrócił się do biskupa Gedki, zapytując go, czy krwawe było zdobycie Gniczna.

— Miłościwy panie — uśmiechnął się biskup z goryczą — im człowiek dłużej na ludzi patrzy, tém ich mniej rozumie. Wielkopolanie z waszej ręki Mieszka nie chcieli, a wzięli go dobrowolnie z ręki Kietlicza; bez oporu i owszem z radością wielką! Gniczno ubiegli bez żadnego krwi rozlewu. Rycerstwo samo mu przyszło Poznań ofiarować, nie chcąc z nim wojować. — Stało się jako pomyślał!

— Bogu niech będą dzięki! — powtórzył Kaźmierz — zwłaszcza, gdy i syn pojednany z ojcem!

Obrócił się do Jaksy.

— Wierżaj mi, miły mój, że człowiek co wszystko stracił i nie odzyskać nie miał nadziei, a przyszedł potem do posiadania choć części tego, co miał za zgubione, nie waży potem łatwo odzyskanego. Dlatego nie wierzę, iżby Mieszek się na mnie miał porywać, a stanie się to, druhu mój, ufam w ziemiany krakowski i moich Sandomirzan, że nie dopuszczą, aby nas gołą ręką ujęto.

Jaksa głową potrząsał.

— Ja też nie wątpię, że bronić się będziemy — rzekł — bo choćbym sam jeden u boku twego pozostał, dałbym się zabić broniąc cię — ale!

Nie dokończył, obejrzał się w koło i zamilkł.

— Mówcie! — wtrącił książę.

— Ryb przed niewodem łapać nie chcę — począł Jaksa — daj Bóg hym się omylił. Wprowadziłeś cię na tę stolicę jako jeden mąż wszyseć zgodnie, ale dziś, choć ojcowskiem sercem rządysz nami, czy wszyseć się przy tobie ostoją — ja nie wiem!

Książę słuchał zdumiony, kończył Jaksa powoli.

— Jest we krwi naszój, miłościwy panie, żeśmy nieustannie przerabiał radzi cośmy zrobili.

Myśleli ziemianie sadząc was na Krakowie, że ziemiom tym koronę dawną i dawną jedność przyniesiecie, że wrócą czasy Chrobrych i Mieszka praojca. Z Krakowem, Sandomierzem, Lublinem, z Wielkopolską, ze spadkiem po Leszku, którego

życie na włosku, już się jedno wielkie państwo składało. Z niem czoło byśmy stawili Rusi i mogli ją zawojować całą, Pomorze, Prusy, Łużyce. Nie ja jeden roilem tak, roili i drndzy. Nie chcesz ty panie czynić tego, azali nie znajdują się, co powiedzą— bierzmy Mieszka, ten wahać się nie będzie, w potęgę urośniemy.

Każmierz słuchał w myślach pograżony głęboko.

— Wierz mi Jakso na nieprzyjaciela sereaby mi nie brakło, na braci go nie mam, po ich ciałach do tej potęgi dla was, nie pójdę.

Many dosyć siły, aby się oprzeć nieprzyjaciolom i bronić, dlaczegóż zawojowywać chcecie? Jestli państwo szczęśliwsze, gdy wielkie, na które jednemu człowiekowi jako ja nie starczy oczu i siły, aby niem rządził?

Na pogan idźmy! Chrześcijańskie państwa nie sąż nam wszystkie w Chrystusie braćmi?

Wiercie mi, na małuczkiembym wolał siedzieć, byłem je szczęśliwem widział!

Gedko nie mówił nie, Jaksa też zamilkł.

Ciężka chwila minęła, patrzano po sobie smutno.

— Uznacie więc Mieszka na Poznaniu? — zapytał biskup.

— Pierwszy krok do mnie nie należy — rzekł książę. Zmилczę i czekać będę, bo on pierwszy do mnie przyjść powinien, nie ja do niego. Jeżeli

zwierzchnictwa mego, które woła ojca przywiązane jest do Krakowa nie uzna —

— Naówczas — wtrącił Jaksą — Wasza miłość musicie iść nań.

Każmierz ani potwierdzał, ni przeczył.

— Czekajmy więc! — szepnął Gedko smutnie.

Wszyscy już dostrzedz mogli, iż na Kaźmierzu odebrana wiadomość przeciwnie spodziewanemu uczyniła wrażenie, weselszym był, ożywił się. Uściskał Biskupa, zwrócił się do Jakсы, dziękując za serce, jakie dlań miał i dla państwa jego.

Podczaszemu skinął by wino przyniesiono.

— Wesolój myśli bądźmy — zawołał — ja się najlepszego spodziewam! Mieszek uspokojony a nauczony tém co przebył, szczęśliwie rządzić będzie, zgoda nam wszystkim zaświeci!

Nikt nie zdawał się podzielać téj radości księcia, lecz nikt mu téż jęj zatrwać nie chciał. Biskup pożegnał go i odprowadzony do przedsienia, odjechał. Inni pogwarzywszy jeszcze nieco między sobą, żegnali pana i rozechodzili się.

Nakoniec Kaźmierz sam z Wichfriedem udał się do izb swoich. Niemiec, który w sprawy publiczne nie rad się męszał, słuchał rozmów milczący, widać było że raczej tych zdanie podzielał, co na Mieszka nastawali.

Z nśmiechem na ustach wszedł książę na próg sypialni, zwracając się do Wichfrieda z tą samą

co do innych czulością. Widać było że szczęśliwy sam, innych też był rad wesolemi widzieć.

— Stało się, — zawolał do niemea — czegoś zdawna pragnął! Mieszkowi wróciło się co mu należało!

Miałem dlań obowiązki, sierota wychowywałem się na lasce jego, starszym był, ojcem mi się stał. Zmuszony byłem, Bóg i ty świadkiem, zająć miejsce jego, należało mu choć to co wziął! Cieszę się i Bogu dziękuję!

Wszystcy są w błędzie — dodał. — Mieszek zostanie spokojnym i mnie nie zamąci pokój.

Korzystając z tego usposobienia księcia, Wichfried zaraz zwrócił rozmowę na przedmiot weselszy, na to że się księciu należała po trudach rozrywka, i o wdowie przebiegnął.

— Miłościwy panie, ja tu zawsze aż do utrudzenia miłości waszój, przychodzę jako rzecznik za nieszczęśliwą wstawiać się niewiastą. Za co ją karzecie? Co uczyniła iż łaskę waszą straciła? Patrzę na nią i lituję się, bo we łzach się roztopia, choruje i wyrzeka.

Nagle rozjaśniona twarz księcia zmieniła się zupełnie, spojrzal na Wichfrieda surowo.

— Uczynilem dla niej com mógł, uczynię co chce, ale powrócić do niej, nie mogę, — rzekł sucho. — Cierpiałem dosyć — wszystko skończone.

— Lecz cóż się stało?

— Nieszczęśliwy błąd mój naprawilem — od-

parł ksiązę — zwyciężyłem się. — Widzieć jęj niechcę.

Wichfried przeszedł się po izbie.

— Ta niewiasta zginie marnie! miłością wielką przywiązała się do was!

— Wichfriedzie — przerwał ksiązę — spokój mój szanuj!

— Dla spokoju waszego począłem o tém — odparł niemiec — niewiasta gwałtowna jest, wszystkiego, nawet zemsty po nięj spodziewać się można.

Namarszczył się ksiązę.

— Strachem mnie nie weźmie nikt! — rzekł. Wiem co się u nięj dzieje, na gachach tam nie zbywa, jest pocieszać komu.

— Nieprzyjaciele potwarze prawią!

— Przyjaciółni memi są co mi oczy otwierają — rzekł Kaźmierz.

Niemiec zmuszony, przestał na tém, nie szedł jednak.

— Nie ciągnę ja ani namawiam was — dodał po przestanku, — aliści łatwiej by te więzy zwolna było potargać, niż nagle. Raz lub dwa szedłbyś ksiązę pocieszyć ją, uległaby słowu rozumnemu. Dziś rozpacza i rozum traci.

— Stokroćby mi było trudniej powoli więzy te kruszyć — odpowiedział Kaźmierz — postanowiłem nie widzieć jęj, spokojny jestem; ty jako druh mój, reszty dopełnij.

— Miłościwy panie, — z wymówką począł Wichfried — jam ufność waszą postradał, nie wszystko wiem, przeto niewiele mogę. Sprawa to jest drugiej niewiasty.

Każmierz popatrzał nań zarumieniony i głową wzruszył.

— Czas płochych zabawek minął dla mnie — rzekł powoli i smutnie, starszym jestem, spokoju pragnę.

Po rozmowie téj niemiec widząc że mu się książę zwierzyć nie chce, urażony nieco, nieśmiejąc jednak czynić wymówek, postał jeszcze chwilę, zagadał o lowach, o rzeczach obojętnych i wyszedł dając uciec księciu że się czuł pokrzywdzonym. W progu już Kaźmierz go uderzył po ramieniu i rzekł wesoło.

— Druhem mi bądź jak byleś, ja ci serca nie odbiorę!

Tak się rozstali, niemiec pokłoniwszy się, wyszedł zniechęcony i gniewny, postał w sieni i po namyśle pociągnął do wdowy...

Dorota mieszkała już w swym nowym dworze, łudząc się i przygotowując ciągle do powrotu księcia. Nowe mieszkanie swe z pospicchem wielkim przybrała we wszystko czego jęj mógł dostarczyć skarbiec pański. Przepych tu był większy niż w spalonym domu, bo Dorota ściągnęła co jęj pozostało na Skalach. Sama zajmowała się w początku przybieraniem, rozstawianiem,

ozdobą nowęj siedziby. Roila że tu dwór księcia i mnogich gości dostojnych przyjmować będzie.

Wichfried po trosze utrzymywał ją w tym błędzie, prawdy nie mówiąc, a spodziewając się ciągle księcia sciągnąć do niej. Łudziła się więc niemal codziennie oczekując jego przybycia, każdego wieczora stroiła się do niego. Niemiecc różnemi przeszkody nicobecnosc tłumaczył.

Dnia tego już mu wykłamać się trudno było. Szedł więc powoli po głowie szukając czém ją zbędzie i gniewy jej rozbroi. O tój porze co dnia i teraz wszystko było pogotowiu. Wdowa przechadzała się po izbach rozkazy, dając swym dziewczętom, które strojne też wyglądały przybycia pana.

Piękna jeszcze Dorota, choć lata już ją nieco ciężką i otyłą uczyniły, miała nie ów wdzięk młodości, który obudza zachwyt i cześć, ale drażniący powab dojrzałego owocu, narzucającego się ustom spragnionym. Białe jej ramiona odsłonięte nieco, obejmowała dnia tego jedwabną suknię w lazur ze złotem tkana, z wrzorzystej tkaniny wschodniej. Z pod rękawów jak utoczone, śnieżne, wypieszczone wysuwały się ręce, złotemi obwieszone pierścieniami. We włosach miała czółko kamieniami sadzone, na szyi splot cienkich łańcuszków. Twarz, gdyby nie namiętne jej poruszenia, które każdy szczęst wywoływał, jeszcze by miała wdzięk rysów prawie młodzieńczy, tak

mało czas ją odmienił. Gdy się ustroiła jaśniała dawną pięknością swą królewską.

Wśród ciszy na dworze, gdy Wichfried do drzwi zastukał, choć zdala posłyszala Dorota naderzenie i stanęła twarzą się ku wnijściu zwracając. Wyraz jej przestraczem i niepokojem był zmieniony, ręką cisnęła gwałtownie bijące serce. Starła się odgadnąć czy niemiec sam czy z nim przychodził. Słuchała — kroki powolne, mierzone zbliżały się — sam był? -- nie?

W głowie i uszach szumiało tak że nie rozemnać nie mogła, Wichfried nie spieszył. I to już było złym znakiem. Jak przyrosła do podłogi, niernochoma czekała nań z twarzą do drzwi zwróconą ciągle.

Niecierpliwiła się, nie przychodził. Poskoczyła już sama ku wnijściu, gdy niemiec podniósłszy czerwoną zasłonę, opieszalym krokiem, jak znużony, ręką pot ocierając z czoła — wsunął się mileczący.

Czekała jeszcze, odzywać się nie śmiejąc, a on mówić nie spieszył.

Wybuchnęła naostatek.

-- Cóż? nie ma go? nie będzie?

-- Nie mógł — odparł niemiec — właśnie dziś najgorsze nadeszły wieści, Mieszek opanował Gniezno i Poznań. Potrwożeni wszyscy — wojna być może. W takiej chwili trudno mu biegać dla rozrywki...

— Gniezno! Poznań! — krzyknęła — cóż muie do Gniezna i Poznania! Całą noc go przecie męczyć ci starzy nie będą!

Ręce zacisnęła, patrząc bystro na Wichfrieda.

— Prawdę mi mów!

— Prawda jest! pytajcie innych!

— Gniezno! Poznań! — poczęła — ale dawniej mu nic nie przeszkadzało!

— A no! zestarzał — rzekł niemiec.

— Nie! nie!

Poruszyła się gwałtownie, przebiegając izbę krokami szybkimi, jakby gonila lub uciec chciała sama od siebie.

— Mówił kiedy będzie? — spytała stając.

— Sam nie wie! Jutro może na koni go posadzą!

— I pojedzie nie widząc mnie?

Wichfried ramionami ścisnął.

— Księciem jest i nie wolnym! — rzekł.

Dorota z pogardą nań spojrziała.

— Kłamstwa! wymówki! zdradziectwa!

Łzy pociekły z jej oczów, ale gniewem wyciśnięte, ścięła usta okropnie i miotając się znówu biegła po izbie. Wichfried postawszy nieco, padł na ławę, wyciągnął się, podparł, zadumał. Stała przed nim.

— Mów mi prawdę — poczęła targając go, — mów wszystko, ja się lżę karmić nie chcę, po-

winnam wiedzieć wszystko! Nie chce mnie znać? ma inną?

Milezenie było prawie przygotowaniem do pożądaney prawdy, niemiec tarł czoło i pył strzepywał z sukni.

— Co ja ci mam mówić! — ozwał się ponuro. — Ostygł! o niczém więcej nie wiem... Mnie się nie zwierza!

— Inną musi mieć — zawołała Dorota — ja to czuję. Ci co się mnie pozbyć chcieli, dali mu ją. Z was przyjaciel dobry gdy wam oń nie mówi nie!

— Tai się, bo wie żem wasz.

— O śmieszny człowiecze — zawołała Dorota — a któż ci broni psy na mnie wieszać, aby z niego wyciągnąć co wiedzieć potrzeba?

Nogami uderzyła w ziemię.

— Muszę dojść gdzie ona, kto ona, aby się jej pozbyć! Nie możesz ty nie — wezmę innego.

Wichfried spojrział na nią.

— Weźcie sobie innego — rzekł — jam już dla was ufność jego postradał. Odwraca się ode mnie i tai — dość mi!

Ruszyła ramionami Dorota.

— Wszyscyście tacy! jeden od drugiego nie wart więcej na żdźbło.

Niemiec nie bronił się już nawet, siedział jak złodowaciały.

— Łaj — odezwał się — wolę już słuchać, mymówek i lajania, niżeli darmo leżeć w ogniu. Stracilem łaskę jego przez ciebie.

— A ja żem jego straciła — zakrzyknęła Dorota — nie przez kogo, tylko przez ciebie! Innyby mnie potrafił obronić — a ty!

Spojrzeli sobie w oczy. Dorota nagle zaczęła się w gniewie miarkować, przystąpiła doń rękę mu kładnąc na ramieniu.

— Dość tych swarów! — odezwała się. — Radźmy. Padliśmy oboje, razem się podnosić potrzeba. Niechęć więcej nie, tylko mi go daj na jedną chwilę, na krótką, na jedną. Moja sprawa aby mi się wrócił! Widzieć go muszę!

— He! he! — rzekł niemiec — zna on to żeś straszna i tej chwili się boi, ani go ściągnąć! Rozśmiała się Dorota dziwnie.

— Miałam napój przygotowany — szepnęła schylając się — zaręczyła mi Czechna że umarłegoby obudził. Warzyła kilka nocy — ale ja mu go muszę dać z własnej ręki.

Niemiec nie odpowiadał.

— Dla tej co mi go chce odebrać, znajdzie się inny! — dodała mrngając.

Z niedowierzaniem szyderskiem popatrzał na nią Wichfried.

— Co wasze napoje! — odezwał się — Małoś to go Inbezykami poila, a przeto się zmudził i odbiegł! Wiecznie go mieć nie możesz!

Dorota odwróciła się od niego, nie chciała się nawet spierać, tak swego była pewną.

— Nie zechce przyjąć — poczęła na pół do siebie — no, to się przebiorę i pojde sama, napój zaniósę z sobą. Wieczorem, po mężku zawieziesz mnie.

— Ja? nie!

— Do czegoż się zdał? — zapytała z gniewem wdowa.

— Abym wam wybił z głowy co niemożliwe — rzekł Wichfried — szukajcie innych, jeśli ich macie za mało — z nim!! skończona!

Dorota niesłuchając prawila.

— Czechna wróżyła, patrzyła na wodę — mówi że ma inną! Któż mu ją dał? sam jej nie wyszukał? Może ty?

— Eh! — rozśmiał się Wichfried — dość mi jednej. Nie wdam się więcj w te sprawy! nie!

— O! wy! boście do niczego!

— Tak, jam do niczego! — potwierdził obojętnie.

Zniecierpliwiona wdowa odskoczyła, ręka jej podniosła się, zdawało się że go uderzy, ale popatrzyła przez ramię i odeszła. Wichfried leżał na ławie. Od progu zawróciła się Dorota i siadłszy znowu przy nim, chwyciła za ramiona, potrząsała.

— Rozbudź się, mów! Niepoznaję ciebie! I ty już nie masz litości nademną. Ja ginę!

— A ja nie mogę nic! Żal mi was — odezwiał się uziemiec cicho. — Czyńcie już co się wam zda. Straciłem rozum...

Po chwili namysłu, Dorota która trzęsła się z guiewu — cchlódła, pomyślała, uśmiechnęła się i ukazała że wieczerza stała gotowa w drugiej izbie.

Widać było przeze drzwi stół szytym okryty obrusem, lśniący od naczyń złocistych, dziewczęta stały przy nim jedne z nalewkami i ręczniki, drugie przyświecając.

Jak gdyby już zapomniała guiewu i trwogi Dorota ociągającego się Niemca podwiodła ku stolowi.

— Wprawdzie sami będziemy! — odezwiała się szydersko — a no płakać nie ma czego!

Skinęła aby dziewczę kubek podało. Wichfried spragniony wychylił go cchiwie. Zasiadli poufale szepejąc z sobą, Dorota, choć podrażniona i guiewna, ustami się śmiała, udając lekkomyślną. Niemiec pod wpływem ożywczym napoju zaczął patrzeć weselę i usta śmielęj otwierać. To z czém się wprzód ociągał i wahał, teraz mu się z nich samo dobywało.

Dorota wyciągała go na słowa, słuchając bacznie i umyślnie okazując zobojętnienie.

— Jeżeli księżę mnie opuści — mówiła — znajdę innego opiekuna, na nich mi jeszcze nie

zbędzie. Choć mnie ogadują i czernią, nie jeden choćby ożenić się gotów!

— Na księcia nie wiele już rachować — wyrwalo się niemcowi. — Nie wiem ja nic, ale mi się zdaje, że ta za którą niegdyś szalał i po lasach biegał, znowu tu być musi.

Dorotę krew oblala, lecz nie przerywając dala mu się rozgadywać.

— Znalazła się pono w Krakowie i gdzieś ją zobaczył w kościele — kończył popijając Wierfried. — Z początku dopytywał się, niepokoił, jam mu do tego pomagać nie chciał, nie wiem czy wyszukał!

— Ta za którą po lasach się upędzał? — przerwała wdowa, oczyma rozognionemi spoglądając na niego, jakby zeń wzrokiem prawdy dobyć chciała.

— Ta! ta, którąście wy pono widzieli nawet!

— Mówił więc o niej?

— Jakoby najrzał ją w kościele — odparł niemiec — ale wątpię by mógł wyszukać!! Ja mu nie pomogę, a inny nie potrafi...

Widząc że już więcej się nie dowie, Dorota zerwała się od stołu, wybuchając tak gwałtownie, że dziewczęta stojące za nią, cofnęły się przejęte strachem.

— On! on jej nie znajdzie — krzyknęła — ale ja ją wyszukam! Dla tego to patrzeć już nie

chce na mnie! Wyszukam ją i pokażę mn —
trupem!

To mówiąc wdowa porwała kubek, wychyliła
go duszkiem i na stół cisnęła.

— Zobaczemy, która z nas zwycięży!

Niemiec ruszył ramionami.

KONIEC TRZECIEGO TOMU.



Biblioteka Raczyńskich

JK 413



JK0413